

De 11  
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 153.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

SERYA V.

Luty.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 226 —

Ukończono druk dnia 3 lutego 1879 roku.

# T R E Ś Ć.

	stron.
I. Pamiętniki Kantora katedry krakowskiej. Przez Lucyana Siemieńskiego. . . . .	177
II. Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej (według źródeł hiszpańskich). Przez A. G. . . . .	192
III. Syn Margrafa. Tragedya z X wieku w pięciu aktach. Przez Bronisława Grabowskiego. Bolesławowi Ładnowskiemu w hołdzie autor. . . . .	212
IV. Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rosyji. Przez Jana Blocha. Część druga. . . . .	263
V. Sumienie i moralność. Przez K. Łuczycznego. . . . .	287
VI. Zabobony meteorologiczne ludu nadnarwiańskiego. Przez Zygmunta Glogera. . . . .	302
VII. Hieronim Spiczyński (wiadomość bibliograficzna). Przez Gustawa Zielińskiego. . . . .	306
VIII. Kronika poznańska. . . . .	315
<b>IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
Alfred de Musset. Szkic biograficzno-literacki, według nowych źródeł, przez Jadwigę Krausharową. Warszawa, 1879 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	326
Artur Grottger. Szkic biograficzny, przez Klemensa Kan-teckiego. Lwów. Nakładem Przewodnika Naukowego i Literackiego. 1879 r. (w 8-ce, str. 150). Przez R. . . . .	335
Pamiętnik Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 1877/8. Warszawa, w drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 1878 r. (w 8-ce, str. 221, i LVI). Przez K. Wł. W. . . . .	339
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . . . .	342
XI. Nekrologia. . . . .	352



De. II. 1.

PAMIĘTNIKI KANTORA

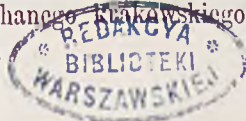
# KATEDRY KRAKOWSKIEJ.

PRZEZ

*Lucyana Siemińskiego.*

Poznałem starszka najmniej ośmdziesiątletniego, który będąc synem muzyka przy katedrze krakowskiej, obrał ten sam zawód, i dotąd go praktykuje, a co największa, przy tak podeszłym wieku zachowuje w pamięci nietylko wrażenia, ale i opowiadania słyszane w młodości. Można sobie wyobrazić, jakie skarby mieści ta pamięć starca, co była świadkiem tylu historycznych zdarzeń, odegranych tak w zamku jak i w samym Krakowie. Ze zaś oprócz tego przymiotu posiada i właściwe ukształcenie, szczególniej w rzeczach dotyczących się kraju, więc i wiadomości jego tém są cenniejsze, i wcale nie stoją na równi z temi pamiętnikami jakiegoś krawca lub stróża o wojnie hiszpańskiej, co plółł koszałki opałki, zwyczajnie jak prostak, nie pojmujący tego, co się wkoło niego działo. Prostota dopóty jest prostotą, póki nie przechodzi w głupstwo. Mój starszek przeciwnie, i czuł i rozumiał odegrywający się przed nim dramat historii i życia, a mając wstęp do różnych towarzystw (bo gdzież muzyka wstępu nie daje?), zebrał wiele ciekawych szczegółów z potocznych rozmów, szczegółów, niezapisanych na wielkich kartach dziejów. Lecz gdy ten zbiór przypomnień, pisanych raczej sposobem notatek pomieszanych bez ładu, niż w sposób porządnego i ciągłego opowiadania, wymagał pewnej ogłady wystowienia i pewnego porządku; ułożyłem go przeto i ogładziłem, nie tykając w niczém właściwego mu zapatrywania się, co mi tém snadniej przyszło, że poczciwa szczerłość i prostota, więc serdeczne ukochanie drogich wspomnień, powlokły te zapiski taką barwą, jak owa zielona śniedź wiekowa na bronzowym posążku, której nie godzi się ścierać, jako głównego świadka autentyczności. Wiarogodność bowiem i autentyczność w pamiętnikach są warunkiem niezbędnym, inaczej pomiędzy prawdą historii a igraszką fantazyi i dowcipu, trudno byłoby graniczną przeprowadzić linią.

Aczkolwiek tedy niniejsze pamiętnikowe zapiski nie są płodem biegłego pióra, ani pochodzą od człowieka, któryby grał znakomitszą rolę w wypadkach; jednakowoż mają zaletę nieobojętnego, choć cichego i na uboczy stojącego obserwatora, a w sposobie oddania rzeczy, mają tę prostotę naszego kochanego krakowskiego malarza Stachowicza, co



jako artysta jest prawie niczem, ale jako samouczek, w pewnych chwilach natchniony, jest czemsiś: bo to on jeden przechował nam na płótnie te wszystkie postacie i sceny, na jakie patrzył w swoim czasie. Dlatego zostaną one zawsze jeśli nie chluba narodowej sztuki, to materiałem drogocennym dla artysty wyższego duchem i umiejętnością. Podobnie i z niniejszych pamiątek skorzystać może i czytelnik chcący się przenieść w tamte czasy Krakowa, i pisarz historyczny, który z nich weźmie niejedną rzecz, a zarazem pozna, z jakiego punktu zapatrywała się średnia klasa na zdarzenia przesuwające się przed jej oczyma. Zapewne wiele rzeczy jest tu opuszczonych lub słabo dotkniętych, wiele takich, które daleko lepiej i dokładniej były już podane; ale niemało znajduje się zupełnie nowych szczegółów i rysów, obchodzących nietylko miejscowość, a nawet i ogół dziejów krajowych. Uważam je przeto raczej za drobny przyrządek do historii, niż za ważny dokument; za pogadankę starca, zawsze mile przez młodsze pokolenia słuchaną, niż za skończony obraz wieku lub miasta. Ażeby dobrze poznać i przenieść się w ubiegłe czasy, w tyle nam drogie, i tak już upoetyzowane tęsknotą wspomnienia, nigdy nie będzie do zbytku podobnych relacji i zapisków, byle, jak napomknąłem, nosiły na sobie znamie wiarygodności; inaczej bowiem obudza się nieufność do opowiadającego, który wprawdzie mniej wymagających słuchaczy może bawić niby Münchauserowskiemi andronami, ale znających się na rzeczy, a starających się poznać ją z każdej strony, zawsze będzie obrażał. Wreszcie, prawda ma to do siebie, że choć mniej wdzięcznie i powabnie podana, realniejszą korzyść przynosi niż najbardziej urocze kłamstwo, mogące zająć wyobraźnię, ale nie napełnić ani serca, ani umysłu.

L. S.

### O muzyce w Krakowie.

Nie zaczynam wspomnień moich od zdarzeń, których byłem świadkiem, bo to w dalszym ciągu się znajdzie; lecz jako muzyk, będę mówił o muzyce, bo ta sztuka zapełnia całe moje życie i osładzała niejedną gorzyc, którą się piło. Niemam zamiaru pisać tu historii muzyki roranciej na naszej katedrze, bom się temi poszukiwaniami nie bawię; jednak mówiąc o stanie w jakim ją zastałem, wypadnie coś i o dawniejszych czasach przypomnieć.

To już wiadomo, że przed Zygmuntemi znano tylko muzykę wojenną, jak surmy, trąby, kotły, piszczałki, którychto narzędzi muzycznych używano i po kościołach podczas odpustów i świąt uroczystych, a których osobliwe egzemplarze zachowują się dotąd w bibliotece Dominikańskiej <sup>1)</sup>.

Jednakowoż w celniejszych miastach i klasztorach Benedyktynów, Cystersów, Dominikanów, w których było dużo zakonników przybyłych

<sup>1)</sup> Pożar ostatni zniszczył te drogie zabytki razem z bogatą biblioteką.

z cudzych krajów, znajdowały się już organy. Gdy zaś sztukę grania na nich posiadali wyłącznie sami ci zakonnicy, przeto twierdzić można na pewne, że u nas muzyka, jak wszelkie inne sztuki, miała za kolebkę kościoł. O stanie muzyki w tych dawnych czasach niewiele mamy wiadomości, można się tylko domyślać z dochowanych tu i owdzie starych nut muzycznych po klasztorach, że sztuka ta nie stała u nas niżej jak gdzieindziej. Co zaś do muzyki światowej, takowa dopiero zaczęła się od Zygmunta I, gdy z Boną Sforcją przybył wielki poczet włoskich śpiewaków i różnych artystów instrumentalnych z harfami, mandolinami, rebekami, teorbunami, *viola'-mi d'amor*. Z przybyciem tych cudzoziemców, muzyka światowa rozszerzyła się i stała się niezbędną na okazałych dworach panów, zaprowadzających u siebie kapele na wzór królewski.

Pamiętka po tej muzyce Zygmuntofskiej zachowała się dotychczas tradycyjnie w fundowanem przez Zygmunta I Kollegium Rorantystów, złożonem w proboszcza, dziewięciu prebendarzy muzyków i kleryka. Wszystkie to byli ćwiczeni w muzyce wokalnejsi artyści, którzy mieli obowiązek śpiewać codziennie na głosy, na włoski sposób Roraty, anniwersarze za królów i inne wotywy. Po założeniu tego Kollegium Rorantystów, pierwsze w tym rodzaju nabożeństwo odbyło się dnia 19 sierpnia 1543 r. w oktawę Wniebowzięcia Najświętszej Panny, pod której-to wezwaniem ufundowaną była kaplica Zygmuntofska. Pierwszym proboszczem i dyrektorem śpiewaków był ksiądz Czach czyli Czech Mikołaj z Poznania, po którym zostały różne partycyje z mszalnego śpiewu, trudne dziś do odczytania. W spisie proboszczów i kantorów przychodzą same prawie nazwiska polskie. Lecz gdy każda, choćby najlepsza instytucja psuje się z czasem, toż i z Rorantystami się stało, jak to się pokazuje, gdy w r. 1574 królowa Anna Jagiellonka nagania księdza Zajęca z Pabianic, proboszcza tego kolegium, że nabożeństwo odprawia się bez figury czyli bez muzyki. Odtąd w spisie muzyków roranekich widzimy obok innych nazwisk mniej sławnych, imię księdza Grzegorza Gorczyckiego, kapelmistrza muzyki orkiestrowej katedralnej, który żył za czasów Sobieskiego, a umarł za Sasów. Był to znakomity kompozytor muzyki kościelnej; partycyje swoje przypisywał księdzu Porembskiemu; i dziś jeszcze nie przestały one być ozdobą śpiewów roranekich. Obok tego trzeba wiedzieć, że Jezuici, którzy także nie chcieli pozostać za drugimi w okazałem odprawianiu służby Bożej, ściągnęli do siebie wszystkich najlepszych muzyków i utworzyli kapele, ale tylko kościelną, gdyż nowy sposób stosowania jej do rzeczy światowych nie był jeszcze w użyciu, wyjąwszy kilka dyalogów, wyprawionych z powodu różnych uroczystości, a którym przygrywała szumna muzyka z trąb i kotłów złożona. Po upadku Jezuitów, znów się rozpierchło całe grono dobrze usposobionych muzykantów; jedni się poczepiali przy kościołach parafialnych i kolegiatach, inni po dworach senatorskich, po większych miastach i cudownych miejscach, zarabiając stosownie jak komu szczęście służyło.

W owych czasach miał Kraków kilku bardzo biegłych w swojej sztuce organistów, i to nie przybyszów, tylko czystych Polaków. Do liczby tych należy Józef Zygmuntowski; był on członkiem kapeli przy zgromadzeniu Jezuitów, lecz po skasowaniu tychże ożenił się i w ustroju od Krakowa założył szkołę muzyki, tak śpiewu jak na klawikordzie i innych instrumentach smyczkowych i dętych. Uformowawszy sobie orkiestrę, dawał on koncerty w okolicy, osobliwie podczas imienin, wesel i t. p. uroczystości; ale gdy ten rodzaj zabaw spowszechniał, a członkowie kapeli Zygmuntowskiego doszli przez ciągłą wprawę do doskonałości, porochozdzili się na własną rękę probować fortuny. Jeden z nich niejaki Gołąbek, przyjął służbę przy muzyce katedralnej krakowskiej, a będąc dobrym tenorzystą, zaczął komponować małe śpiewy, a potem, formując się na mistrzach sztuki włoskiej, napisał kilka mszy, które jeszcze po dziś dzień śpiewujemy w kaplicy roranckiej.

Ze szkoły Zygmuntowskiego wyszedł sławny basetlista imieniem Kaliwoda, również Zagórski, doskonały naówczas skrzypek-koncertista, nakoniec Kwiatkowski, dobrze grający na flotrowersie i na *viola d'amor*, na którymto instrumencie o siedmiu strunach jelicianych, gra się smyczkiem. Nie mogę pominąć i Stempalskiego waltornistę; onto ożenił się w Krakowie i spłodził trzy córki, które od młodości aplikował do muzyki: najprzód do śpiewu, a potem później wyuczył na waltorniach, i tak wykształciwszy je, jeździł z nimi i dawał koncerty z dość dobrą powodzeniem.

Taki był stan muzyki kościelnej i świeckiej, gdy w r. 1780 zjawił się w Krakowie ks. Bernard Bitner Dominikanin, rodem ze Szlązka, bardzo wykształcony muzyk. Onto grywając biegle na szpinecie, który instrument był mniej wykształconym fortepianem, wprowadził jego użycie po domach prywatnych. Że zaś w owym czasie zakon Dominikanów zajął miejsce skasowanych Jezuitów, więc i zakonnicy ci używali powszechniej wziętości; téż i ksiądz Bitner umiając się prezentować w wyższych towarzystwach, a będąc przyjmowanym po domach, dał popęd i zachętę do muzyki. Do domu państwa Potkańskich znakomitego rodem i majątkiem, sprowadzono szpinet, a ksiądz Bitner zaczął na nim lekcye dawać. Szpinet był téj saméj formy co dzisiejszy fortepian, tylko mniejszego rozmiaru; zamiast młotków uderzających w struny, były przy końcach klawiszów przyczepione szczeliny płaskie z piór albo téż z cienko wyrznietej trzciny, które za przyciśnięciem klawiszów uderzały w struny od spodu. Głos szpinetu brzęczący podobny był do dźwięku dawnych cymbałków, których używanie w owych czasach było ozdobą muzyki weselnéj.

Gdy powołanie zakonne nie dozwalało ks. Bitnerowi oddawać się wyłącznie nauczaniu muzyki, proponowano mu, aby się sekularyzował, a gdy zawakowało miejsce po zmarłym proboszczu w kaplicy Rorantystów, na Zamku, tedy ks. Franciszek Potkański biskup parteński będąc już przychylnym księdzu Bitnerowi, dopomógł mu do osiągnięcia téj godności i do otrzymania sekularyzacyi z Rzymu. Piastując oprócz

tego jeszcze godność kapelmistrza przy katedrze krakowskiej, gdy skład kapeli był w bardzo biédnym stanie, obok byłych prebendarzy: Zieleniewicza, Podgórskiego, Zychlińskiego, dokompletował do liczby ośmiu członków i tak znowu podniósł śpiew w kaplicy. Co do orkiestry kościelnej zebrał zdolniejszych po Jezuitach muzykusów, i do liczby szesnastu doprowadził. Znaczniejsi z nich byli: organista Wojciech Lisiński z synami Stanisławem i Janem, którzy doskonalili się na skrzypcach. Ksiądz Bitner dostrzegłszy w tym najmłodszym Janie Lisińskim niepospolity talent, wysłał go do Włoch z dobrém opatrzeniem, gdzie wydoskonaliwszy się, słynął grą swoją tak, że, jak powiadają, Włochy przez zazdrość mieli go otruć.

Skrzypek pierwszy był Jan Zagórski, drugi Wencel Prusak, trzeci i czwarty Zychliński i ks. Lisiński, oboista Richter, flotrowersista Kwiatkowski, kwartwiolonista Krzakowski; waltornistami byli: Stempalski z synem; trębaczami Dudek i Zaskocz Czech, a do śpiewu Franciszek Kratzer, Staszyński, Szmigel, Gołąbek, który był oraz kompozytorem i pisał msze, symfonie i dzieła teatralne: kompozycye jego dotąd się utrzymują. O tym Jakóbie Gołąbku tyle wiem, że był rodem z Czech a przybywszy w młodym wieku do Krakowa, został kapelmistrem w kościele św. Piotra u Jezuitów, umarł zaś r. 1790.

Na wniosek ks. Bitnera założono przytém szkołę śpiewania na czterech chłopców, których początkowymi nauczycielami byli Gołąbek i Kratzer. Dalszy postęp i usiłowania były szacunku godne, ale nie trafiły do celu z braku ludzi i funduszków. Wszakże taki wielostronnie wykształcony mąż jak hrabia Sierakowski Wacław, kanonik katedralny krakowski, usiłował ożywić muzykę. Onto sprowadził z Rzymu kilnaście oratoryów jako to: Judytę czyli śmierć Holofernesa, Samsona, zbурzenie Jerycho, Józefa z braćmi, Beniamina i inne, przełożył je na język ojczysty pod nazwą *Kantat* i przy dobrze urządzonej orkiestrze, we własnym domu przed publicznością, zaproszoną biletami, przedstawiał. Sam on zazwyczaj miał udział we wszystkich próbach i szczególniej pilnował, aby deklamacya łączyła się z uczuciem wewnętrzném w śpiewie, gdyż prozę zastępowały zwyczajnie recytatywa jak we wszystkich operach włoskich.

Lubo w tym pamiętniku zamierzyłem sobie mówić tylko o muzyce, która mnie zajmuje z profesyi, jednakże gdy tyle miesza się wspomnień przywiązanych do czasów i osób, nie mogę opuścić szczegółów odnoszących się do tegoż księdza Wacława Sierakowskiego, który tak dzielnie dźwigał upadające nasze miasto. Długo byłoby wyliczać jego zasługi; znaczniejsze jednakże wymienię: onto pierwszy założył warsztaty sukna krajowego. Nabywszy plac między klasztorem św. Agnieszki a Koletkami klasztoru bernardyńskiego nad starą Wisłą, postawił tam gmach murowany dla warsztatów i dwu familij sukienników, obok folusz suchy z kołem trybowém, które cztery pary wołów obracały; dalej stanął i drugi dom dla postrzygacza i prasa na sukna. Sprowadziwszy doskonałego sukiennika, dał mu sześćdziesiąt kamieni

wełny na rozpoczęcie fabryki. Wyrobiono z niej czterdzieści dwie kołder białych z czerwonymi szlakami z pięknej czystej wełny, które ofiarował księciu Siewierskiemu biskupowi krakowskiemu ks. Pawłowi Turkowi, co właśnie w owym czasie zjechał dla objęcia dyecezyi; ten zaś prezent zrobił dla dworu książęcia, aby zaszczyt spłynął na fabrykę, jego staraniem w ruch wprowadzoną: rękodzielnia ta utrzymywała się lat kilkanaście. Ks. Sierakowski myśląc tylko o użytku powszechnym a zarazem o sposobie dania zarobku biędnym wyjednał u magistratu, że dom w ulicy Szpitalnej leżący, dziś obok hotelu Pollera, przeznaczonym był na skład wełny i na przędzalnię, aby w téj przędzalni żony podupadłych obywateli mogły znajdować zarobek, a zepsuta część ludności za karę, jakby w domu poprawy znachodziła zatrudnienie pod dozorem miejskim.

Tenże ks. Sierakowski nabywszy realność w ulicy żydowskiej na Kazimierzu naprzeciw klasztoru Bożego Ciała, sprowadził magiel żelazny do drukowania płócien krajowych na niebiesko i maglowania białych, do czego wziął fabrykanta ze Szlązka pruskiego. Zakład ten kosztował go około 50,000 złotych, i miał służyć jako praktyczny przykład wspierania przemysłu i handlu krajowego. Onże sam będąc proboszczem jeszcze sandomierskim, a widząc słaby stan apteki w tém mieście, powziął myśl i tam zrobić coś pożytecznego. Spodobawszy sobie jednego młodego człowieka w Krakowie, nazwiskiem Beduary, który był prowizorem w aptece panów Szastrów, wysłał go własnym kosztem do Włoch i Francyi, aby tam wyćwiczył się w sztuce formacji, a przytém dał mu znaczną sumę na zakupienie w hutach czeskich potrzebnej ilości naczyń szklanych, jako to: retort, słoików i t. p. rekwizytów a tak uposażonego Bednarego osadził w Sandomierzu. Jemu to winna i drukarnia akademicka wielce wówczas podupadła, że ją zapomógł znacznym funduszem na sprowadzenie czcionek i pras, gdzie téż dał drukować tłumaczenia swoje z Metastazego i inne dzieła o muzyce; niemniej wspomniał dzieło o *Architekturze*, co wszystko pokazuje, jaki to był umysł rzutny i jak gorliwy o dobro pospolite.

Przepraszam za ten przeskok do życia ś. p. księdza Sierakowskiego, ale ze wspomnieniem o nim stała mi przed oczyma cała ta wielce szanowna postać dostojnego prałata. Wróćmy teraz do muzyki, osobiście światowej, dla której epoką wielce pomyślną, był przyjazd do Krakowa J.W. Starosty Brzegowskiego, Jacka Kluszewskiego wielkiego amatora muzyki a szczególnież teatru.

Możny ten pan zakupił dom starostów Spiskich i połączył z obok stojącymi Krzysztoforami, gdzie urządził własnym swym kosztem teatr, mogący ze 700 osób pomieścić. Sprowadziwszy przytém włoską operę, dał przez to wielki popęd muzyce, zwłaszcza że jako sam artysta umiał doskonale skompletować orkiestrę, do której z Wrocławia sprowadził doskonałego skrzypka Hofstetera, klarncistów Malcburga a i Kaliwodę wiolenczelistę z Warszawy. Zaś resztę orkiestry kształcił pod swym nadzorem z tutejszych. Onto był pierwszy, który rozpowszechnił muzykę



*a la Camera.* W jegoto szkole wykształciło się wielu naszych najświetniejszych artystów dramatycznych, jak: Owiński, Ryłto, Franki, Kaczowski i inni; z niej wyszły i śpiewaczki sceny polskiej: panna Jasińska i Kłossowska, także Szczurowski, który później takiej sławy dostąpił na scenie. Po tym staroście Brzegowskim zostało wiele pamiątek w Krakowie.

Będąc lubownikiem nietylko sztuk pięknych, ale i wszystkiego, co mogło podnieść dobry byt kraju, założył fabrykę powozów, sprowadziwszy doskonałych stelmachów, kowali, lakierników, a wystawiane ozdobne powozy wysyłał zazwyczaj na kontrakty dubieńskie. Jemu winien Kraków wiele upiększeń; na Wesołej zakupił kilka placów, gdzie wystawił ładne domy i pozakładał ogrody; do tych należą: dom Bystrzonowskich, dom i ogród Strzelecki, pałacyk zwany Angielskie, dom z ogrodem gdzie jest Ochronka, dom w ulicy Brackiej, dzisiaj barona Larysza, gdzie jest wystawa sztuk pięknych, gmach teatralny na Szczepańskim placu i ostatnie, jego pomysłu dwa domy na Krupniczej ulicy, dziś w posiadaniu panny Krones. Wszystkie te budowle odznaczają się wytworniejszym smakiem.

Wracając znowu do wspomnień moich o muzyce ówczesnej, winniem jeszcze dodać, iż z końcem zeszłego wieku ukształciło się wielu biegłych organistów w swój sztuce; i tak: przy kościele katedralnym był Wojciech Lisiński a jego córka z nauki ks. Bitnera, słyneła w klasztorze Panien Klarysek u św. Jędrzeja, gdzie była zakonnica, z doskonałej swój gry na organach. W kolegiacie św. Anny biegły był organista Floryan Danielski; w kolegiacie i kościele farnym Wszystkich Świętych, Jakób Pasczewski; u Bożego Ciała przy kościele Kanoników reguły św. Augustyna, Jerzy Kozłowski; u księży Benedyktynów w Tyńcu, Jan Marciszewski; przy kościele Archipresbiteryalnym Panny Maryi, Jacek Górecki i wielu innych niepospolitej biegłości. Do usposobienia tylu dobrych organistów posłużyły w części owe wielkie i doskonałe organy, jakie po kościołach naszych oddawna istniały, to jest w Częstochowie, na Łysiej Górze, w Jędrzejowie u Cystersów, gdzie zajmując większą połowę kościoła, miały 42 rejestrowych głosów, trzy klawiatury i szesnaście miechów; również sławne organy w Leżajsku, w Przyrowie, na Tyńcu, w Krakowie zaś: u Franciszkanów, Dominikanów, Bernardynów, w kościołach farnych miasta, w których jeszcze podług dawniej struktury zbudowane noszą nazwiska królewskich organów. Królewska pamiątka ostatnia pozostała u Bożego Ciała w Krakowie na Kazimierzu. Mogę śmiało powiedzieć, porównyując dawniejsze czasy z dzisiejszemi, żeśmy nie byli ubodzy w muzykę, choć nazwisk muzyków nie znajdujemy w pochwalnych artykułach gazetowych; a i na fabrykantach doskonałych narzędzi muzycznych nie zbywało również w naszym Krakowie; tak: Sitarski, Ziarnicki, Wroński, Głowacki byli doskonałymi organmistrzami. Groblich lutnista wyrabiał wyborne skrzypce, które i dziś nie straciły na cenie. Pilichowski robił skrzypce i restaurował doskonale instrumenta smyczkowe. Ziątarski a później Głowacki, wy-

stawiali fortepiany kształtu stolikowego z fletami, i podług lepszego rozmiaru i form aż do końca XVIII wieku; co zaś do instrumentów dętych, były już w używaniu u artystów krajowych, ale zazwyczaj sprowadzano je z zagranicy.

Takto przez XVII i XVIII wiek wznosiła się i upadała umiejętność muzyki, w miarę tego jak możni panowie polscy, poznawszy ją w zagranicznych podróżach, i wykształciwszy w sobie smak dobry, starali się zaszczyć ją na własnej ziemi, sprowadzając najczęściej włoskich lub niemieckich muzyków, którzy krajowców wyuczali tej sztuki, a że u nas jest przyrodzona zdolność muzyczna, a zatem od czasu do czasu kształciło się wielu biegłych w tej sztuce. Można by nam zarzucić, że żadna sztuka nie rozwija się u nas sama przez się, tylko przez naśladowanie; lecz zdaniem mojem mylna to zasada. bo niech się tylko zamilowanie do jakiej sztuki upowszechni, to zaraz się pokażą zadziwiające talenta. Jednym z takich był sławny Dzierzanowski, rodem Podlasiąnin, doskonały muzyk na instrumencie zwanym *viola di amor* i na skrzypcach; na obydwu grywał na przemian z wielką biegłością, towarzysząc sobie śpiewem, do którego słowa równie jak melodye najczęściej sam inprowisował. Nie miał on nigdzie stałego miejsca pobytu, ale kolejno zwiedzał wszystkie zamożne domy, gdzie zachwycał i bawił swoim wielostronnym talentem. Wiem, że zbierano jego piosneczki i melodye przepisywano; lecz dziś, jak to zwykle spotyka genialne talenta, utwory jego przeszły na własność powszechną, a nazwisko autora zniknęło bez śladu. Niejedna z pieśni i melodyi światowych, dziś podziwiana przez znawców, jemu początek swój winna. W ostatnich latach swego życia miał on przebywać na dworze króla Stanisława Poniatowskiego. Wyrywany sobie i mile słuchany, umarł mając lat 88, w roku ile pamiętać mogę 1770.

U nas w Krakowie wielkim miłośnikiem muzyki był ks. Przyłębski kanonik katedralny krakowski, kustosz koronny, kawaler orderu św. Stanisława. Utrzymywał bowiem na dworze swoim dwunastu muzykantów pod kierunkiem Stanisława Ziarczyńskiego, dobrego wiolonczelisty. Również starosta Prażmowski, sam wirtouz na skrzypcach chował czternastu kapeli i pod kierunkiem swoim wykształcił kilku młodych skrzypków. Powróciwszy z Paryża, mieszkając jakiś czas w Krakowie, i dawał w domu swoim częste koncerty, w których udział brała żona jego śpiewająca prześlicznie, niemniej i córka dobrze grająca na fortepianie. Muzykalna ta rodzina przyczyniała się wiele do rozbudzania zamilowania muzyki. To było osobliwością w staroście Prażmowskim, że na skrzypcach grał lewą ręką, a choć miał blisko lat 70, grę jego ożywiał ogień młodzieńczy i wdzięk czarujący. Oprócz tego talentu, zawołany to był fehmistrz na szpady i pałasze, któremi bił się na lewą rękę; w jeźdźeniu na koniu także i najmłodszy mu nie sprostał: widziałem nieraz jak nad Wisłą pod Skałką, pomimo podeszłego wieku, ujeżdżał takie konie, do jakich i najmłodszy nie śmieliby przystąpić.

Takto dawniejsi panowie posiadający niespolite talenta, umieli jeszcze cenić ludzi, którzy je posiadali a co więcej wyszukiwać zdolną młodzież i dopomagając w kształceniu się, zapewniać uczciwy zarobek. W owychto czasach, ile pamiętam, ludność Krakowa była o połowę mniejszą jak dziś, ale za to liczne domy obywatelskie, połączone z sobą jakby w jedną rodzinę, nadawały pewną wspianiałość i utrzymywały godność, w której jeszcze się widzieć dawały ślady wielkich cnót staroświeckich.

### O ubieźnieniu zamku krakowskiego i o Korytowskim.

Pod koniec roku 1771 a na początku 1772, gdy się już konfederacja barska miała do upadku, a konfederaci trzymali się jeszcze zamknięci w Częstochowie, Lanckoronie i Tyńcu, mając z sobą kilkudziesięciu oficerów i wolontaryuszów francuzkich, marzyło im się jeszcze rozniecić przytłumiony ogień wojny domowej, albo przynajmniej ostatnim hazardem dowieść, że nie upadli bez rycerskiej sławy. Chociaż przeto Kraków zajęty był przez wojska królewskie i rossyjskie posiłki; chociaż w Warszawie uprowadzenie króla nie udało się i bardzo oziębiło serca do konfederatów: jednakowoż znaleźli się niektórzy obywatele, co próbowali jeszcze raz stawić czoło choćby fortem. Jednym z takich śmiałków był Rajmund Korytowski, urzędnik przy sądach ziemskich i grodzkich w Krakowie; ułożył on plan oswobodzenia Krakowa, a szczególnie zamku i połączenia się z rozpierchłymi niedobitkami konfederackimi. W tym celu przekradł się do Tyńca, gdzie się zamknęło kilkuset konfederatów pod dowództwem francuzkiego pułkownika Choisi; jemu to zakomunikował swój plan opanowania zamku.

Odkrył on, że dla ścieków deszczowych z trzech kościołów, jeden rynsztok prowadził do kanału pod mur zamkowy od strony południowej, między basztami Sandomierską i Złoczyńców, wychodzącemi ku Wiśle ponad Smoczą jamą. Kanał ten wysoki i dobrze sklepony, wyłożony płytami, trzema kratami warowny, tak był obszerny, że mogło się w nim najmniej 200 ludzi pomieścić. Tym tedy kanałem mieli być wprowadzeni konfederaci i Francuzi w ten sposób. Zwyczaj był, iż księża wikaryusze przy kościele katedralnym odprawiali jutrznię codziennie o godzinie 11 w nocy, pospolicie budzeni przez dwu Świątników, którzy ich do kościoła z latarniami prowadzili. Owóż Korytowski postanowił puścić konfederatów kanałem i przebranych za księży wprowadzić w nocy na zamek, gdzie cała załoga nie liczyła jak 300 ludzi przeznaczonych na straż żywności, bydła, amunicji i wszelkich wojennych sprzętów złożonych na zamku. Dla przywiedzenia zaś swego zamiaru do skutku, porozumiał się wprzód z księdzem poddziekanem Jurdzińskim, Franciszkiem Kratzerem byłym kantorem, w zamku mieszkającym, księdzem Łazarczykiem prokuratorem seminaryum zamkowego, a oznaczywszy dzień i godzinę, wysłał poufnego przyjaciela, który wziął kilka łodzi od

Michała Dyktarskiego rybaka po umówioną pomoc. Była to właśnie pora jesienna, dni krótkie a wczesne wieczory, mieli więc czas powrócić z Tyńca. Korytowski w kanale, przy pomocy swych towarzyszy powyłamywał kraty i oczekiwał na dany znak. Konfederaci przybyli nakoniec niepostrzeżeni. Korytowski mając dla nich komże i alby przygotowane, przebrał ich i wyprowadził z kanału. Konfederaci rzucili się na najbliższe warty, rozbroili je lub pozabijali, jeśli chcieli gwałt czynić, innych pozamykali w kwaterach, a główny odwach przy bramie, niespodziewanie napadłszy, także rozbroili. Usunąwszy tym sposobem załogę, powołali całą ludność zamkową i wzięli się do zatarasowania bramy gnojem i kamieniem, poczem wszystkich zdolnych do noszenia broni podzielono na różne komendy; trzeba bowiem wiedzieć, że Choisi przyprowadził ze sobą 11 oficerów i podoficerów, oraz ze dwudziestu kilku najdzielniejszych żołnierzy. W zamku mieszkało do 300 ludzi, między tymi znalazło się ze 30 kleryków, 15 palestry i ze 20 różnej czeladzi: ludność tę opatrzywszy w broń, porzostawiał na murach i przy bramach, co tak śpiesznie wykonanem było, że posiłkowe wojska stojące w Krakowie, dopiero nazajutrz zrana dowiedziały się o ubieżeniu zamku i osadzeniu murów przez Francuzów i konfederatów. Tymczasem pułkownik Choisi zajął się urządzeniem obrony i lustracją rekwizytów znajdujących się w zamku; oprócz kilkudziesięciu jaszczeków amunicyi, znalazły się cztery armaty należące do rossyjskiej załogi, dwie stare armatki po Szwedach, a co do żywności: przeszło sto sztuk bydła, kilkanaście kuf gorzałki, znaczny zapas zboża, słoniny i sadeł, nakoniec do czterdziestu pociągowych koni. Niebawem przyszła mu téż i większa pomoc z Tyńca.

Korytowski zawsze czynny i przemyśliwający o sposobie połączenia zrobieniem sobie komunikacyi z miastem, dobrał kilkunastu zuchów a wsadziwszy ich na koń, przemyślał o wycieczce. Gdy się tak gotował, doniesiono z miasta, że wojsko zamierza uderzyć na zamek. Jakoż w rzeczy samej nieprzyjaciele podszedłszy téj nocy pod niskie mury od ulicy Kanonnéj, wdrapali się na wał pod wieżą Zygmuntofską i cisnęli się ku bramie zamkowej, aby przez wierzch mogli się wdrzeć do zamku; tudzież od spodu chcieli bramę wyrąbać. Wcześniej ostrzeżona załoga czuwała na wszystkich punktach; jakoż dawszy ognia do oblegających, a z wieży Zygmuntofskiej zrzucając kamienie, wypadli na nich i ubiwszy wielu oficerów i żołnierzy, wzięli także coś niewolników, od których dowiedzieli się, że w Krakowie tylko małe są siły rossyjskie i że oczekują na posiłki. Wiadomość ta zapaliła Korytowskiego tém mocniej do zamierzonej wycieczki na miasto; jakoż zaraz nazajutrz przysposobiwszy dwudziestukilku jazdy, kilkudziesięciu piechoty, wypadł cichaczem z zamku uboczną bramą, która była pod narożnikiem Kurzój stopy. Korytowski znając dobrze wszystkie ulice i przecznice miasta, tak rozdysponował swoją garstką, ażeby z różnych punktów wpadła na rynek i znowu rozbiegłszy się po ulicach z wielkim hałasem dawała do zrozumienia, że to są wielkie jakieś siły.

Sam Korytowski zaalarmował główny odwach, napadając nań z ogromnym krzykiem. Miał on ze sobą służącego zawołanego franta i nie tracącego nigdy przytomności; tego zaraz posłał na wieżę Maryacką, aby z wieży wołał, że tłumy konfederatów ciągną na Kraków od Częstochowy, Lanckorony i Tyńca. To wszystko zrobiło wielkie zamieszanie w załodze wojskowej, która widziała się zewsząd otoczona. Fortel ten udał się Korytowskiemu, bo przez to zamieszanie mógł się zapatrzyć w różne rekwizyta; i tak cech rzeźniczy pozwolił sobie zabrać cztery woły na świeże mięso i dwie krowy dojne na mléko; Towarzystwo strzeleckie kurkowe oddało proch, kule, ołów i gwintowe sztucce z celstatu; sławetnemu burmistrzowi miasta Jakubowi Wolmanowi zabrano kilka głów cukru, kawy, korzeni i kilka koszów wina; kuźniarzom zabrano futra dla marznących Francuzów; pani Mateuszowa Soczyńska dała trzy beczki miodu i dwa wieprzki karmne i tak mniej więcej na różnych miejscach wybrano kontrybucye z takim pośpiechem, że jeszcze przed północą wszystko dostało się na zamek; albowiem rosyjskie wojsko uszykowane przy bramie Floryańskiej, Sławkowskiej i około zeughausu przy Pijarach, nie stawiało żadnego oporu, oczekiwało bowiem na doniesienie co się tam za miastem dzieje, a gdy się przekonali że niema żadnych posiłków konfederackich, posunęli się ku rynkowi i pod zamek. Tymczasem Korytowski podpiewszy sobie, wrócił do fortecy nie utraciwszy ani jednego człowieka.

Nazajutrz Rossyanie wyrozumiawszy cały ten fortel, zaczęli coraz mocniej trapić obleżonych i gotować się do generalnego szturm, gdyż od Warszawy nadeszły im posiłki tak w ludziach jak i amunicyi. Pierwszy atak był od ulicy Kanonnéj; domy kanoników osadzono wojskiem i armatami; baterye porobiono około murów miasta, Franciszkanów i Karmelitów Bosych, gdzie teraz kryminał; również od grodzkiej bramy od klasztoru Bernardynów i od Misyonarzy: ze wszystkich tych punktów ostrzeliwano zamek. Obrona jednak była desperacka, chociaż zawsze musiało się skończyć tём, że słaba garstka i słabe mury ulegną regularnemu wojsku i licznej artyleryi. Widząc to komendant rosyjski postanowił fortem zdobyć najsłabszy punkt pod przewozem, obok domu zwanego pod *Kaczką*. W tej stronie zamku obok byłego seminaryum były stajnie na konie przybywające z furami ze wsi. Otóż stajnia ta miała furtkę żelazem dobrze okutą i kamieniami zatarasowaną, ale mniej bacznie strzeżoną. To miejsce tedy upatrzawszy Rossyanie zamierzili niém wpaść do zamku. Chcąc zamaskować prawdziwy cel, przypuszczono szturm od innéj strony, a tymczasem oddział jeden podstąpił pod mury i wyrąbawszy furtkę, cisnął się już do owéj stajni; lecz przechodzący tam kleryk postrzegł ich i lubo przelekniiony, dopadł dzwonka refektarskiego, zaczął na gwałt dzwonić i krzyzcóć, że nieprzyjaciel opanował stajnie. Na ten gwałt zbiegło się kilku kleryków i czeladzi domowéj, którzy dawali odpór, dopóki czujny zawsze Korytowski nie przypadł z większą siłą i przeciwników nie wyparł za mury. Odtąd lepiej zatarasowano furtkę i silniej ją strzeżono.

Podobne ataki były często ponawiane; Rosssyanie jednak nie mieli ile się zdaje, zamiaru zburzenia tego zamku, gdyż lekkie ich baterye nie wyrządziły wielkiej szkody w murach. Z tego to powodu oblężenie to trwało przez całe trzy miesiące; chciano bowiem albo wdrzcć się na mury, albo załogę do kapitulacyi zmusić. Stan oblężonych z każdym dniem stawał się okropniejszym: ustawiczna czujność we dnie i w nocy, ciągłe ucieranie się ze szturmującym nieprzyjacielem, naprawianie uszkodzonych murów, wycieńczało siły konfederatów, tém więcej, że ich zapasy żywności wyczerpywały się; bydło rogate zasolone na pekefleisz, prędko było zużyte, wzięto się potém do koni, ale chuda to była strawa, bo te z głodu zdychały; z braku zaś soli wszczęły się różne zaraźliwe choroby; zboże na chleb na żarnach mielone, dawało jeszcze jaki taki posiłek; nakoniec wyłowiono wszystkie koty i wystrzelano kawki siedzące zazwyczaj na dachu katedralnego kościoła.

Od połowy stycznia 1772 r., gdy ostre mrozy cokolwiek zelżały, postrzegli oblężęncy coraz większy ruch w mieście: jakoż w rzeczy samej ujrzano od kościoła Ś. Katarzyny i Skałki usypane baterye, najezone armatami. Na dniu 30 stycznia rozpoczęli Rosssyanie wielką kanonadę od strony północnej, zpoza murów ogrodu Franciszkańskiego, na bramę i kościół, ale nie z wielkim skutkiem, bo trafne strzały sztuczowe ubiły wielu kanonierów. Od strony południowej najsilniej bito z armat, strzały jednak niosły zbyt górą lub zanisko, przez co skutek był mały; gdy tymczasem załoga zamkowa ustawwszy armaty na wieży sandomierskiej i senatorskiej, zdemontowała kilka armat nieprzyjacielskich i w wojsku wiele szkody zrządziła. Nazajutrz przez cały dzień z obu stron bito z dział; oblężeni z 8-miu swych armat wystrzelili 500 ładunków. Wtenczas-to dziwny zdarzył się wypadek, o którym mi powiadał Korytowski: że kula nieprzyjacielska spotkała się z naszą w samym wylocie, przez co wyszczerbiła się armata i jeden człowiek zginął, a dwu powaliła kontuzya. Lecz Korytowski chcąc i temu zaradzić, kazał poznosić pilniki, i dopóty piłować, póki armata nie była do użycia sposobną. Przez te dni najgorętsze strata naszych była nader małą, bośmy mieli trzech zabitych, a siedmiu rannych. Trzeciego dnia rozpoczęli nowy szturm pod zasłoną bateryi od kościoła Ś. Katarzyny i Skałki, a napędziwszy wiele ludzi z Kazimierza, kazali wśród największego ognia nieść im drabiny pod mury zamkowe i takowe przystawiać. Załoga nie przeszkadzała téj robocie, niemogąc strzelać do swoich; gdy przystawiono tedy drabiny do murów, rzucili się Rosssyanie hurmem do drabin, i już wdrapywali się na nie, gdy oblężeni zaczęli zrzucać na nich to kłody, to oddrzwia kamienne, to z okien powyjmowane ciosy, które łamiąc drabiny ludźmi zajęte i tych, co pod murami stojąc i zabijając, ogromną szkodę w szeregach zrządziły. Trudno sobie wyobrazić, jaka to była wrzawa z obydwu stron, jakie zamieszanie, a jaki huk armat i ręcznej bronil. Zdawało się, że cały zamek runie, i oblegających i oblężonych w swych gruzach zagrzebie. Na domiar, a było to już nad wieczorem, wybuchnął pożar z browaru i zabudowań

koło Bernardynów, który szerząc się gwałtownie, powiększył ogólne zamieszanie i zmusił Rosyan, obawiających się zniszczenia całego miasta, do odstąpienia od murów. Gdy się to dzieje, Korytowski korzystając z popłochu, wypada z garstką stu ludzi, i gdzie może urywa nieprzyjaciela.

Po takich wysileniach, przy braku żywności, mnożących się chorobach, gdy znikąd nie było nadziei posiłków lub odsieczy, zwątpił i sam dzielny Choisi o możności dalszej obrony, i zwoławszy radę, oświadczył, że prędzej lub później kapitulować potrzeba, na co zgodziła się cała załoga. Jakoż wysłano na parlamentarzy dwu oficerów francuzkich, a z nimi Józefa Rzewuskiego, strażnika prefektury dochodów królewskich przy młynach krakowskich, i Jana Łojowskiego, regenta aktów grodzkich, do ułożenia się o warunki kapitulacyi z hetmanem Branickim i generałem Suworowem, dowódcą wojsk posiłkowych. Gdy ta kapitulacya stanęła, wyszedł z zamku komendant Choisi ze swoimi Francuzami i konfederatami w liczbie 67 ludzi, przez główną bramę od ulicy Kanonnéj, gdzie złożyli broń, zaręczając honorem, że reszta załogi składali ludzie zamkowi. Gdy między kapitulującymi nie było Korytowskiego, tego pierwszego sprawcy opanowania zamku, przeto żądał Branicki, aby się stawił natychmiast; lecz komendant Choisi zaręczył słowem honoru, że Korytowski poprzedniej nocy zniknął niewiadomo gdzie i jakim sposobem. Wojska rossyjskie zajęwszy natychmiast zamek, obsadziły wartami wszystkie wnijścia, i przez trzy dni nie wypuszczały nikogo ani z zamku, ani do zamku; tymczasem wewnątrz robiono najściślejszą rewizyą, ale gdy nie znaleziono Korytowskiego, domyślano się, że zapewne spuścił się przez mur i uszedł.

W jaki sposób wykreślił się Korytowski z niebezpieczeństwa, zaraz opowiem: Zwierzywszy się dwom przyjaciołom ks. Jurdzińskiemu i Franciszkowi Kratzerowi, znalazł sobie dobrą kryjówkę na wieży wikaryjskiej, gdzie mu ci dwaj przyjaciele dostarczali żywności. Myślał on sobie, że gdy pierwsza trwoga przejdzie, łatwiej mu będzie wymknąć się z zamku i znaleźć gdzie przytułek na wsi. Blizko dwu tygodni siedział już w swojej kryjówce, gdy wtém choroba ks. Jurdzińskiego i areszt Franciszka Kratzera, podejrzanego o współnictwo z konfederatami, zmusiły Korytowskiego, zostającego już dwa dni bez pokarmu, a szczególnie bez wody, zleźć z wieży i dostać się do kąpielnicy, aby ugasić pragnienie; wtém jeden z świątników, straż przy kościele trzymający, spostrzegłszy człowieka skradającego się, myślał, że złodziej; jakoż zbudziwszy drugich świątników, pojmał go i zaprowadził na odwach. Komendant dowiedziawszy się, że to Korytowski, którego tak szukano, odesłał go natychmiast do głównej kwatery. Na ścisłej indagacyi chciano koniecznie, aby wydał współników swego ukrywania się, ale Korytowski nie zdradził nikogo, tém się tłómacząc, że w przewidywaniu blizkiej kapitulacyi, oddawna przyspasabiał sobie znaczny zapas sucharów i wędliny, który gdy spożył, szedł dla napicia się wody i oddania się dobrowolnie władzy wojskowej; tymczasem te trutnie

świętniki, rozumiejąc, że za to dostaną jaką nagrodę, pojмали go i wydali w ręce władzy. Tym sposobem ocalił przyjaciół poświęcając siebie samego; zaraz też odesłano go pod mocną eskortą do Warszawy, a zamtąd powieziono do miasta Kazania.

Byłto, ile sobie przypominam, mężczyzna więcej jak średniego wzrostu, pięknie zbudowany i żywego temperamentu. Grając na fletrowersie i śpiewając dumki ruskie, umiał podobać się wszystkim, a szczególnie płci pięknej; umiał przytém dobrze język łaciński, a i francuzki niezgorzję: słowem, był to człowiek wykształcony w dawnej palestrze, poważany, a dobry przytém katolik jako *Sodalis-Marianus*. Obdarzony od natury bystrém pojęciem i przytomnością umysłu, umiał się znaleźć w najtrudniejszym położeniu. Onto przybywszy do Kazania, lubo zrazu był zamknięty, jednak niebawem dostał się do domu miejscowego komendanta, gdzie go do usług użyto. Umiejąc prędko i zgrabnie robić, obowiązki swęj służby pełnić, gdy już zrobił swoje, szedł sobie gdzie w kącik i śpiewał dumki i krakowiaki, a że głos miał dźwięczny, zwałyby nawet żonę samego komendanta, która się im miała dźwięczny, zwałyby nawet żonę samego komendanta, która się im bawić i słuchać jego piosenek. Pani komendantowa poznawszy, że to nie prostęj kondycyi człowiek, wdała się z nim w rozmowę, i spostrzegła pewne wyższe ukształcenie, mogące się bardzo przydać jęj dzieciom. Wymogła przeto na mężu swoim, że się wdał z nim w rozmowę, wypytał o przypadki życia, o nauki jakie odebrał; co miało ten skutek, iż powierzył mu edukacyą swych dzieci, a że lubił muzykę, sprowadził mu flet z Moskwy, i tym sposobem niewolę zamienił mu w przyjemne życie na łonie rodziny, której miłość pozyskał. Siedm lat spędził Korytowski w domu komendanta, lecz że nie mógł utulić tęsknoty za swoimi, szukał sposobności zawiadomić krewnych i niektóre znakomite osoby o miejscu swego pobytu; listy jego skutek odniosły, bo niektóre osoby mające wpływ u króla, postarały się o powrócenie go do kraju. Uwolniony Korytowski, w przejeździe przez Warszawę prezentował się królowi, który go łaskawie przyjął, wypytywał o szczegóły ubieżenia zamku; przyjechawszy zaś do Krakowa, objął nanowo urząd swój przy aktach grodzkich i ziemskich. Jakaż to, pamiętam, radość była przyjaciół jego, gdy go witano jak z tamtego świata. Ks. Jurdziński już nie żył, ale Franciszka Kratzera zastał przy zdrowiu.

Widywałem go często w domu naszym; lubił on mnie i nieraz oprowadzał po różnych miejscach zamku; zatrzymując się przy każdęj bramie, opowiadał najdrobniejsze szczegóły pamiętnego obieżenia, które mi tak utkwily w pamięci, jakbym własnje był ich autorem. Po powrocie z Kazania żył jeszcze lat kilkanaście, pojawszy za żonę zacnego domu paunę chorążankę Turską, osobę już niemłodą, lecz dobrą i przyjemną. Będąc w zażyłości z pierwszemi domami obywatelskimi i kapituły krakowskieję, gdy z wesołej kompanii wracał nieraz podochocony, miał zwyczaj ubierać się po konfederacku: w łosiowy kaftan, czapkę rogatą, i dalejże między księży i kleryków seminaryum zamkowego,



gdzie z wielką fantazją zebranych słuchaczom opowiadał przygody oblężenia i swojej niewoli. Wszyscy lubili go tak słuchać, że nieraz do późnej nocy bawił tak wszystkich, iż się nikomu spać nie chciało, bo to był nieprzebrany skarbiec różnych conceptów i dykteryjek, że choć się co kilka razy słyszało, to zawsze było nowe, bo coraz to inną miną lub gestem umiał rzecz odświeżyć. Niechbym był tylko spisał co on wtedy mówił, zrobiłyby się najciekawsze pamiętniki, jakby drugi Pasek, co sobie niema równego. Zaczny ten człowiek umarł powszechnie żalowany 1793 roku, długo pamiętany. Dzisiejsza rodzina Korytowskich w Krakowie pochodzi od jego brata Augustyna, albowiem Rajmund zeszedł bezpotomnie.

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

RZUT OKA  
na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH).

PRZEZ

A. G.

Zielona Ameryko! ty strefo bogata,  
Raj ziemski śmiertelnemu przypominasz oku!  
Na twoich żyznych polach, oazo wszechświata,  
Szczęściemieszka w młodości niezwiądytym uroku.  
Ziemio cudów!...

(H. G. Quevedo z Wenezueli).

W pamiętnéj epoce odkrycia Nowego Łądu, świat stary wykrzyknął z podziwu nad cudną przyrodą i niezrównanemi bogactwy nieznanéj dotąd krainy. I wnet całe staranie obrócił ku wyzyskaniu na swójżytek skarbów, jakie natura rozsypała tak hojnie na powierzchni i we wnętrzościach téj ziemi, położonéj w warunkach klimatycznych, które cuda działać mogą. Zdobywszy sobie na własność tę niewyczerpaną minę, Europa bogacąc się jéj płodami, niemi podnosząc u siebie dobrobyt, wygody i zbytek, nie troszczyła się o nic więcéj nad to, co się tyczyło bezpośrednio handlu jéj i korzyści.

Wreszcie Ameryka północna, stanąwszy w rzędzie potężnych, bogatych i światłych mocarstw, zwróciła na siebie wszystkich oczy: życie jéj polityczne, ustroj społeczny, ruch umysłowy, badane są na równi z warunkami bytu wszystkich narodów europejskiéj rodziny.

Lecz najpiękniejsza i najbogatsza z natury część téj półkuli ziemskiej, południowy lud amerykański, najjaśniejszemi potokami słonecznego światła oblany, dla Europy długo jeszcze w ciemnéj tonął pomroce. Niekiedy tylko przez tę mgłę grubą, przedarł się jakiś promyk niewyraźny i znów w ciemnościach ginął. Słyszeliśmy o wybiciu się ziem tych zpod panowania metropolii; od czasu do czasu dochodziły nas wieści, że wojna domowa wybuchła w Peru lub w Boliwii, w Nowéj Grenadzie albo nad La Platą. Tyle to zwracało uwagę europejskiego ogółu, co wzmianka o wybuchu jednego z wulkanów tak licznych w dłu-

gięć Andów Kordylierze. Wulkany na to stworzone, by ogień zionęły, lawę i popioły: i te ludy prawie dzikie, jak nam się zdaje, cóż dziwnego że bezustannie krwawe pomiędzy sobą staczają boje? Nikt nie pomyślał o nich jako o częście ludzkości, która zaczęła z kolei ciężkim trudem dobijać się przyszłości politycznej i społecznej; nikt nie zadał sobie pracy dla zbadania dróg ich i stanowiska, jakie już zajęły.

Pod względem fizycznym opis tych ziem ciekawych nabrał znaczenia od czasów podróży Humboldta. Dopiero kiedy nieustraszony ten badacz przyrody zatknął drogoskazy w tej majestatycznej strefie, w ślad za nim pobiegały nowe poszukiwania; coraz to liczniejsze i dokładniejsze pojawiły się jej opisy.

Nie objawił się atoli równie gorliwy popęd do szczegółowego poznania zamieszkających ją ludów, ich dziejów, charakteru, umysłowego i duchowego rozwoju.

Wprawdzie etnografia zadanie swoje także spełniła. Posiadamy statystyczne wykazy wszystkich ras różniących się pomiędzy sobą kolorem skóry, mową, obyczajem, skłonnościami. Wszystkie one są bez zaprzeczenia żywiołami nie małej wagi na szali obecných i przyszłych losów tych krain. Lecz jądro ludności działającej na polu społeczném i polityczném stanowią Kreole, potomki dawnych hiszpańskich osadników. Godzi się przeto wyjątkownie na ich działania pilniejszą zwrócić bacność.

Przez długie wieki byli oni rzekomo panami tej ziemi; widzimy w nich zaborców i ciemężycieli, gnębiących słabą ludność ras obcych. Wszakże ci hiszpańscy osadnicy, sami po macoszemu przez metropolią traktowani, przez nią uciskani a wyzyskiwani, pozbawieni zupełnie styczności z Europą, rzućni na łup ciemnocie i wszelkim płynącym z niej jadom, wegetowali tylko, rzecz można, przez ów długi przeciąg czasu swęj zależności. Nie ich winić zatem o zacofanie, w jakim ich wiek nasz zastał, a które obok niejednorodności ras, musiało nieuchronnie stać ciężkie do zwalczenia tamy przy zaprowadzeniu stałego porządku rzeczy. Onoto właśnie każe nam z wyrozumieniem sądzić o dzisiejszych niedoskonałościach, a nie pozwala wątpić o przyszłości tych narodów, które w istocie dopięro co z kolebki wyszły, zwłaszcza jeżeli się szczerze zastanowimy nad tém, ile one już u siebie przez tak krótką dobę zdziałać potrafiły.

Wszakto ten zastęp Kreolów wywalczywszy dla Nowego Świata niepodległość, zapewniwszy mu byt samoistny; przetrwawszy straszne szamotanie się różnorodnych żywiołów, jakie się tam nagromadziły tak w ludziach jak w ideach: zastęp ten pracuje dziś czynnie nad rozwojem i postępem cywilizacji na każdym polu.

Odkąd nowoczesny przemysł europejski, zawezwany przez te młodociane narody, buduje w ich ziemiach żelazne drogi, wznosi fabryki, z bogatego łona tej ziemi drogie wydobywa kruszce; odtąd zaczęliśmy się przypatrywać im nieco uważniej, niby zblizka. I oto widzimy u tych pół-dzikich ludów, prawodawstwo w wielu względach godne uwagi,

bardzo liczne szkoły niższe i wyższe, zakłady naukowe specjalne, uniwersyteta tłumnie uczęszczane, ludzie uczonej w różnych gałęziach wiedzy, zdolnych pisarzy i poetów, a wreszcie ogromny rozrost prasy peryodycznej.

Tu najważświędź dadzą się zastosować słowa jednego ze znakomitych dziś pisarzy europejskich, słowa zwrócone do wcale innego narodu i innej epoki. „Pomiędzy mętami na dnie a szumowinami na powierzchni, płynął wielki narodowy strumień, który oczyszczając się własnym swoim ruchem, już chwilami ukazywał istotną swoją barwę, zanim objawił światu w całej pełni potęgę regularnego biegu i zdrową wód swoich przezroczystość. Toczył się rodzimém łóżykiem: każdy lud ma swoje i płynie według jego kierunku. Otóż kierunek ten nadaje każdej cywilizacji jój stopień i kształty, a więc zadaniem naszym ma być określenie takowego i zbadanie jego miary” <sup>1)</sup>.

Najwyrazistsze zatém tętno tego życia młodzieńczego, to jest piśmiennictwo Ameryki łacińskiej, najlepszych nam może dostarczyć skazówek do utworzenia sobie sprawiedliwego sądu o tych mało znanych ludach, do wywóżenia im z pewnym prawdopodobieństwem przyszłych losów. Literatura ta stawia myśl naszą wobec wypadków, jakich widownią była i jest jój ojczyzna, charakter takowych uwydatnia, objaśnia znaczenie, wskazuje tory, na jakie te młode ludy wchodzą. Z niej poznajemy, iż owe straszne wulkaniczne wybuchy są ni mniej ni więcej jeno walką o śmierć i życie pomiędzy barbarzyństwem a cywilizacją. Dwa te sprzeczne z sobą w zawodzie żywiły spały na łonie bogatej przyrody, dopóki duch skępowany w powiciu spoczywał, a tylko na materialne jój skarby chciwość europejska oczy zwracała. Z końcem przeszłego stulecia, echa ze starego świata rozbudziły i tutaj śpiące życie, i wraz z tęp ocknieniem stanęły do tytanicznych z sobą zapasów dwie silne potęgi, które sobie wzajem panowanie nad ziemią wydzierają. Całą tę długą i ciężką drogę, zaznaczoną na kartach dziejów ludzkości trudem, boleścią i ofiarami, Ameryka przebiega nagłym pędem w krótkim lat zakresie, by nie pozostać w tyle i razem stanąć u mety, a może nawet poprzedników prześcignąć. Cóż więc dziwnego że ten ruch tak prędki, gwałtowniejsze wywołuje starcia, że rozprószone w innych po drodze iskry i płomyki, tu w jedno zebrane ognisko zażęły się w słup ognisty i krwawym blaskiem wzrok rażą? Dodać do tego należy potężny wpływ podzwrotnikowych klimatów, gdzie pod palącym niebios żarem, soki żywotne w przyrodzie obficie i żywiej płyną, gdzie kwiat się bujnie rozwija, lecz tęp i trucizny zjadliwsze; gdzie krew gorętsza w żyłach krąży, gwałtowniejsze rozpala namiętności, lecz gdzie także umysły wcześniej i potężniej dorastają. Tu gdzie wszystko olbrzymie: góry, rzeki, wulkany, groźne lub cudne zjawiska natury, tu, powiada jeden z amerykańskich poetów, człowiek jest bohaterem, męczennikiem, świętym, zbrodniarzem, wszystkim, tylko nie bojaźliwym ani obojętnym: tu wszystko wielkie, nawet sam występ.

<sup>1)</sup> H. Taine. *Lit. angl.*

W rzeczy samej, nie potrzeba nawet zbyt głęboko wnikać w ducha narodów, by dostrzedz, iż te same fenomena moralne, dodatnie i ujemne, jakie cechują każde z dwu europejskich szczepów, które nad Ameryką zapanowały, tu się także uwydatniają, lecz spotęgowane w sposób uderzający.

W północnej Ameryce anglo-saksońska czyli germańska rasa, rozważna, przemyślna, wyrachowana, do politycznego życia uzdolniona, i to już u siebie (w Europie) rozwinąwszy, w osadach swych jawne składa dowody samolubstwa, chciwości, żądzy podbojów i wzbogacania się cudzym kosztem. Dążność jej do opanowania całej półkuli Nowego Świata, tudzież nawpół utajone zachcianki sięgnięcia zaborczą ręką aż na stare lądy, mają na celu tylko zwiększenie własnej potęgi i bogactw. Również i w indywidualnym rozwoju inteligencji, postęp skierowany najgłówniej ku materyalnej stronie bytu; a prąd ten z większą jeszcze objawia się siłą anizeli u pobratymców w Europie.

Na Południu zaś romańskie plemię, namiętne, mściwe, mało rachujące, i skutkiem tego dłużej nie mogące ani do wewnętrznego dojść ładu, ani zewnętrznych wpływów pozyskać, przez namiętne swe usposobienie jest pochopniejszém do szlachetnych porywów. Oto jeden z wybitnych przykładów owej różnicy w dążnościach i charakterze dwu szczepów. Północni Amerykanie, po wybicju się zpod jarzma, przez długie jeszcze lata i to w sposób najbardziej barbarzyński przechowują u siebie niewolnictwo, aż dopiero w krwawém a straszliwém starciu pozbywają się tego ohydneho trądu. Ameryka południowa, wraz z najpierwszém hasłem swojej niepodległości, ogłasza usamowolnienie murzynów. Do tak wielkiego faktu, spełnionego przy pierwszém wystąpieniu tych ludów w politycznym życiu, pobudką były pojęcia i uczucia, które cechują także ten ważny objaw duchowego ich życia, jakim jest piśmiennictwo.

Jeden z najstynniejszych badaczy i krytyków literatury powszechnej, Villemain, tak pisał: „Ukochałem szczególnież geniusz hiszpański, tak wielki w XVI stuleciu, i śladów jego w Nowym Świecie szukałem. Jest tam namaszczenie chrześcijańskie, któremu nie powinniśmy dozwolić, ażeby się zatraciło, coby niechybnie nastąpiło, gdyby te kraje owładnął szczep anglo-saksoński.“

Na stwierdzenie wyrzeczonego przez siebie zdania, pisarz ten dał nam poznać kilka poetycznych utworów z hiszpańsko-amerykańskiej literatury. Zaiste, poezya, we właściwém sobie rozumieniu, jest alfą i omegą wszelkich cywilizacji, streszcza bowiem w sobie wznoszenie się postępowe ku ideałom. W kolébce ludów zrodzona, zawsze pozostaje prosta; lecz w granicach dziedziny, którą jej stwarza umysłowy i materyalny rozwój ludzkości, poczya przechowuje to, co warte być przechowaniem w życiu narodów. Niewątpliwie zatem otrzymamy samą istotę treści żywotnych sił narodu, biorąc za typowe objawy tej treści narodowe poetyckie znakomitości. Owóz co nas uderza w poetach hisz-

pańskiej Ameryki, oto głębokie poczucie solidarności całego rodu ludzkiego, a więc najszczytniejsza idea Chrześcijaństwa: nie sceptycyzm, ani pesymizm; lecz wiara w ludzkość, w jej postęp duchowy, a zwłaszcza w wielką dla Ameryki przyszłość. Amerykański poeta rozmiłowany w swęj ziemi, kocha ją jak syn matkę, uwielbia jak kochanek z zachwytem unosząc się nad jej pięknościami; lecz patrząc w jej przyszłość, nie widzi ją w gloryi pani świata, lecz chce ją mieć błogą przystanią dla znużonej ludzkości, rajem, który Przedwieczny otwiera dla człowieka odrodzonego przez wolność i pracę, gwoli urzeczywistnieniu najszlachetniejszych i najwyższych zadań.

Ruch literacki w Ameryce południowej podzielić można na cztery peryody: przed oswojeniem peryod niewolniczego naśladownictwa łaćńskich klasyków lub ówczesnych hiszpańskich pisarzy, takichżesamych naśladowców; przez czas walk o niepodległość pieśni wojenne; w pierwszych latach, które nastąpiły po olbrzymich zapasach, peryod poezyi o wolności i prawie: peryod ten zwiastuje literaturę rodzimą oryginalną, która zaczyna wchodzić na drogę filozoficzną i humanitarną; od roku 1840 ukazują się poczye opisowe ładu amerykańskiego, poemata i pieśni na cześć bohaterów oswojenia i świetnych czynów przez nich dokonanych, medytacje filozoficzne, dramata z treści narodowej, kroniki, legendy i powieść amerykańska.

Bardzo niewiele poetów może otrzymać miano twórczych geniuszów w pospolitem rozumieniu téj nazwy, wymagającej od nich dzieł znacznych rozmiarów; nie wszyscy są na téj wysokości co Bello, Caro, Arboleda, Marmol; bo téż literatura ta w istocie nie więcej liczy lat istnienia, jak tylko tyle, ile trwa byt niezależny młodych rzeczypospolitych; lecz właśnie ta młodzięćność, świeżość uczuć i myśli, w drobnych nawet utworach szczególnym świeci powabem, dodawszy jeszcze do tego wielki wdzięk i urok słowa.

Jeżeli dziś świat uczony tak pilnie śledzi i skrzętnie zbiera zażytki z życia ludzkości w zamierzchłych czasach, szczątki od wieków pod ziemię zagrzebane; jeżeli z taką ciekawością ogół przypatruje się rozwojowi na drodze cywilizacyjnej nawet Japończyków, ludu, z którym nic nas nie wiąże, u którego nic zaczerpnąć nie moglibyśmy nigdy: tém bardziej spodziewać się godzi, iż następujące pobieżne szkice o hiszpańsko-amerykańskich pisarzach, staną się komuś pobudką do gruntowniejszego zbadania prac duchowych naszej zaatlantyckiej braci, odpowiadając na panujące dziś hasło: *Homo sum, humani nil a me alienum esse puto.*

Andrzej Bello (ur. 1780 r.).

Naczelne miejsce w gronie współpracowników, słusznie się należy nestorowi literatury hiszpańsko-amerykańskiej, i nietylko z prawa wieku, lecz i ze względu na wybitne stanowisko, jakie zajął w pierwszej dobie jej rozkwitu, a z którego nie strąciły go z czasem dojrzałe jej

lata. Jestto jedno z tych imion, które pozostaną na zawsze chlubą swojego narodu; to jedna z tych niepospolitych postaci, których rozum, serce i dusza zarówno obudzają cześć i miłość, tak u współczesnych jak u najodleglejszej potomności. Na polu zaś piśmiennictwa zajaśniał potężnym talentem, wspartym gruntowną a wielostronną nauką.

Andrzej Bello urodził się 30 listopada 1780 r. w Caracas, stolicy rzeczypospolitej Venezuela, z rodziny już niemało zasłużonej krajowi.

Od pierwszej chwili kiedy ta prowincya wydała hasło niepodległości w r. 1810, Bello wstępuje w służbę publiczną, zrazu jako starszy urzędnik w sekretaryacie najwyższej junty rządzącej. Wkrótce spotkał go zaszczyt służenia przy boku męża, który z czasem miał się stać bohaterem Ameryki południowej, oswoobodzicielem czterech narodów, założycielem jednej Rzeczypospolitej. Bolivar niedawno mianowany pułkownikiem, w kilka zaledwie miesięcy wysłanym został w dyplomatycznej misji do Anglii; z nim pojechał Bello jako sekretarz poselstwa.

Odkrył Bolivar w swoim towarzyszu tyle niepospolitych zdolności, tak wzniosłe moralne zalety, iż wnet ściśłą związał się z nim przyjaźnią, i w każdej okoliczności dowiódł jak wysoce go cenił. A gdy mu wypadło wrócić do Venezueli, zostawił Andrzeja Bello na swoim miejscu w charakterze pełnomocnego zastępcy ambasadora.

Przez lat ośmnaście zostawał Bello w Europie, po większej części w Londynie, gdzie w wyborowych kółkach literackich i politycznych odbierał wielkie dowody uznania i wysokiego szacunku. Wolne od dyplomatycznych obowiązków chwile poświęcał nauce, której szerokie podwoje stały mu otworem. Z myślą zawsze zwróconą ku Ameryce, przedsięwziął wydawnictwo dzieł oraz pism peryodycznych, które z jednej strony dając Europie poznać nowe amerykańskie narody, równocześnie tymże udzielały tysiącznych żywiołów cywilizacji i postępu. Najpierwszém prawie czasopiśmie, do którego pisywał Bello, był *Cenzor Amerykański*, założony w 1820 r. przez przyjaciela jego Irisarri, jednego z najznakomitszych publicystów i historyków amerykańskich, a współcześnie z nim przebywającego w Londynie. Następnie wydawał *Bibliotekę Amerykańską* i *Repertuar Amerykański*. W publikacjach tych mieściły się artykuły polityczne, literackie, krytyczne, naukowe, historyczne i t. p.

W r. 1828 wrócił Bello do Ameryki i osiadł stale w Chili. Gościnnie ten kraik chętnie udziela przytułku przybyszom z innych stron, i uczyć umi ich talenta. Świetne przyjęcie spotkało tam już niejednego, a zwłaszcza Bello witany był z prawdziwym zapamię. Ze strony rządu ofiarowano mu wysokie stanowisko w ministeryum spraw zagranicznych, później zaś został obrany członkiem senatu i rektorem uniwersytetu. Wielokrotnie chciano go nakłonić do przyjęcia ministerjalnej teki, lecz się od tego zaszczytu uchylił.

Jeden ze znakomitszych publicystów europejskich, który podróżując po Ameryce, miał sobie za zaszczyt być przedstawionym Andrze-

jowi Bello, w takich słowach wspomina o swojej u niego bytności: „Uczony starzec, blisko dziewięćdziesięcioletni pracuje dotąd tak samo jak zamłodu. Zastaliśmy go w jego biurze, gdzie codziennie przepędza ośm do dziesięciu godzin: jestto jego stanowisko, z którego nie chce zejść do śmierci. Nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszej fizygnomii, tak jest zajmującą i łagodną. Wbrew nałogowi osób wiekowych, sam mało mówi, a rad mówiących słucha. W obcowaniu z ludźmi, jak powiada, zawsze się można czegoś nauczyć. Rzadka zaiste skromność, która nie wielu znajdzie naśladowców. A przecież panu Bello można by wybaczyć, choćby nawet niemnąż dozę miłości własnej, wiedząc, iż jest autorem tylu dzieł znakomitych: o prawie międzynarodowym, o prawie cywilnym, o gramatyce, o filozofii; choćby nie wspominając o wielkiej liczbie nader pięknych poezyi, któreby już same wystarczyły na tytuł do sławy. Dodajmy i to, że od samego początku swego zawodu wszedł w posiadanie naukowej i literackiej wziętości.”

W istocie Bello pracował w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej i z każdej zbierał wawrzyny.

Z pomiędzy wielu prac jego, tyczących się językoznawstwa, *Gramatyka kastylska* zjednała mu wielkie pochwały w Hiszpanii, gdzie mu ofiarowano tytuł członka honorowego akademii.

Jego zaś *Zasady prawa międzynarodowego* są dziełem, dobrze znanym publicystom w Europie i w Stanach Zjednoczonych, a we wszystkich prawie szkołach Ameryki hiszpańskiej służy ono za tekst przy wykładach o prawie narodów.

Do napisania tego dzieła przygotowywał się autor przez niesłychanie długie lata, wskutek czego posiadał przedmiot tak gruntownie, iż nie tylko piórem, lecz i postępowaniem dał dowody wysokiej w nim biegłości. Na czele powtórnego wydania, Irisarri umieścił swoją przedmowę, w której, między innemi i to powiada: „Głęboka wiedza pana Bello, stała się wielkim dobrodziejstwem dla Chili, albowiem za jego urzędowania w ministerjum spraw zagranicznych, wszystkie międzynarodowe stosunki z europejskimi mocarstwami, załatwiane były z należytą znajomością rzeczy, z taktem i rozważą, przez co kraj ten uniknął wielu nieprzyjemności, na jakie się narażały inne republiki, kierowane przez nieudolnych polityków...”

Otóż ten znakomity dyplomata, prawnik, publicysta i gramatyk, może się przytém liczyć do pierwszorzędných poetów. Utwory jego cechuje wszędzie język czysty a melodyjny, wysoki nastrój myśli, wszystkie przymioty jego duszy: patryotyzm, wiara, mądrość.

W Londynie r. 1823 ukazała się poraz pierwszy dłuższych rozmiarów oda, *Wezwanie do poezyi*. Było jeden ustęp z niewydanego poematu pod tytułem *Ameryka*. Taki jest początek tej ody <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Przekład p. S. z Ż. D.



Ty samotności poważna córo,  
 Co harmonijne wysnuwasz tony  
 Z lasów spowitych odwieczną chmurą,  
 Wykołysana w grocie zielonój,  
 Od gór odbitym echa pogwarem;  
 Porzuć te kraje! Ach! tobie dłużej  
 Na zgliszczu wieków nie wytrwać staróm!  
 Chłód cię krępuje, przymus cię nuży;  
 Leć wiecznie młoda i wiecznie żywa,  
 Gdzie świat Kolumba słodko cię wzywa!

Tam jeszcze szumią stuletnie puszcze,  
 Tam słońce strząsa powłokę mglistą  
 I w kwiat rozwija zielone bluszcze  
 Na bohaterów skroń promienistą!  
 Tam kręta rzeka czerpie w lazurze  
 Błękit, co czyste barwi jój łono;  
 Tam wietrzyk rankiem kołysze róże,  
 Błyszczące gwiazdy jaśniej tam płoną;  
 Tam nocy rydwan żartko się toczy.

A gdy król niebios wybieży górą,  
 Spowity pyszną zorzy purpurą,  
 Zbudzone ptastwo w leśnej pomroczy,  
 Zgodnie do chóru dzióbki śpiewnemi  
 Dzwoni hejnały słońcu i ziemi!

Co tobie dadzą, leśna dziewico,  
 Pańskich pałaców złożone progi?  
 Sztucznym swym blaskiem tobież zaświecą?  
 Słać-że ci kwiaty wielkim pod nogi?

Promienistszemi światła odbłyśki  
 Z czoła twojego tryskała sława,  
 Gdys u dziecięcój ludów kołyski  
 Królom i ludom głosiła prawa!

Ach! uderz w skrzydła! odleć coprędziej  
 Z onój krainy światła i nędzy!  
 Gdzie filozofy w obłędzie dумы  
 Patrzą na cnotę przez wiedzy szkiełko,  
 Gdzie gną przed niemi kolana tłumy,  
 Gdzie hydra paszczę rozwarła wielką  
 I wnet zbląkaną ludzkość pochłonie  
 W noc barbarzyństwa, gwałtów i zbrodni;  
 Gdzie świat pozbawion Bożej pochodni,  
 Zatrute węże karmi w swém łonie!

Zdejm ze spróchniałych dębu konarów,  
 Słodka dziewico, twą lirę złotą:

Zwiędł ci kwiaty skronie oplotą?  
 Z dawnego świata dziecięcych gwarów  
 Cały wysnułaś wątek pajęczy!  
 Ach! uderz w skrzydła, dziewico Boża!  
 Leć przez Atlantyk po łuku tęczy,  
 Ku nowym ludom, w nowe przestworza!  
 Tam znów obleczesz pierwotne szaty,  
 Tam cię, żniwiarko, plon złoty czeka;  
 Rola nieznane sypnie ci kwiaty,  
 Ledwie sprzężona w jarzmo człowieka!  
 Tam Ameryka, ziemia swobody,  
 Nadobna córa błękitnej fali,  
 Ze słońcem ślubne wyprawia gody:  
 Ona ci wzniesie grotę z koralu,  
 Ozdobi czoło twe z gwiazd koroną  
 I na swe żyzne weźmie cię łono!....

\* \* \* \* \*

Wiersz ten starczy na dowód, iż owa niebianka znała się już dobrze z ziemią, na którą ją tak gorąco zapraszano.

Elegijna pieśń o pożarze kościoła w Santjago, pełna jest podniosłego uczucia, obok żywego obrazowania.

Patryotyzm i mądrość dzielnie głos podnoszą w odzie na 18 września, dzień wiekopomnej rocznicy dla Rzeczypospolitej Chilijskiej. Sławiąc niepodległość przybranej ojczyzny, wynurzając gorące życzenia najpomyślniejszej dla niej przyszłości, poeta radby ją przedewszystkiem skłonić do cnót najwznioślejszych, do wiary, swobody, braterstwa, a ustrzedz od strasznych przewrotów, w jakie popadły inne amerykańskie Rzeczypospolite.

„...Na drodze którą się puszczasz, bacz na zdradliwe mielizny, niestety, tak sromotnie pokryte szczątkami biednych rozbitków!

„Zdała tak urocze zieleni się pobrzeże: a to tylko z obłoczków znikomych powietrzne zjawisko, które wnet rozproszy lada powiew wiatru.

„Słyszysz wycie burzliwych wichrów i straszny ryk rozhukanego morza, co białą górę zjeżonej piany nad podwodną toczy rafą?

„I przypatrz się losom tych bratnich korabiów, co w jednym dniu z tobą nowy rozwinęły żagiel.

„Czy widzisz jak falą porwane doszły już nad przepaść zguby?... Wszakże i ty sama blizką już byłaś rozbić!....

„Niech twoi doradcy, niech lud twój mądrém się rządzą umiarkowaniem. A tę furę podstępna, której technienie zatruwa życie, która pod dostojną wolności zasłoną kryje swe szpetne trupie oblicze, i krwawy sztylet, i gorejącą pochodnię.

„Nie weź ję niebacznie za jedno z ową dziewicą piękną, wstydliwą, co w tężowej szacie, z promienną na skroni światłością, piastunką jest sztuk i talentów, siostrą sprawiedliwości.

„Ona jedna ludzkości przynosi życie, wesele i godność...”

Bello naśladował bardzo wiele lirycznych utworów Wiktora Hugo, a pieśni jego tak są eteryczne, tyle w nich ognistej fantazyi, iż w niczem nie ustępują swoim pierwowzorom.

Lecz zawsze najmilszych tematów dostarczała mu rodzinna ziemia; z niej czerpane natchnienie, najżywiej rozpłomieniało poetycką twórczość. Szczególny zapal w współziomkach obudził poematem o *Rolnictwie gorącej strefy*. Wylicza w nim mnogie dary, jakimi Stwórca obsypał Amerykę, a synów jej wzywa do jedności i zgody: wtedy żyć będą mogli jak w raj, na tej błogosławionej ziemi, gdzie im dano się urodzić. Istny to Eden, ziemia obiecana <sup>1)</sup>.

Jan Marya Gutierrez. (ur. 1809 r.).

Hiszpania z chlubą umieszcza w rocznikach swojej literatury imię syna brzegów La Platy, który talentem swoim tak w prozie jak w poezyi wysokie godzien zająć stanowisko, a nadto należy do liczby najpoprawniej piszących w języku hiszpańskim. Lecz pomimo praw macierzystych do swojej mowy, dawna metropolia powinna powrócić Ameryce sławę z pism jego; gdyż wszystkie jego natchnienia, myśl i duch, są czysto amerykańskie, jego uczucie najgorętsze — dla rodzinnej ziemi, i wśród ziomek swoich zyskał on uznanie swojej nieskazitelnej cnoty obywatelskiej.

Jan Marya Gutierrez urodził się w Buenos-Aires w r. 1809, z rodziny, która zachości swojej zawdzięczała poważanie i miłość powszechną. Ojciec jego uważał czas za drogocenną puścinę, z której należy się starannie ciągnąć korzyści; zawczasu więc syna umieścił w naukowym zakładzie, a prócz tego wieczorami sam dawał mu lekcye. Do ich domu nieliczni uczęszczali goście, lecz był to wybór towarzystwa Buenos-Aires. Gdy przyszła chwila wstąpienia do uniwersytetu, młodzieniec oddał się nauce najmniej zdolnej do rozwinięcia poetyckich darów: kształcił się na inżyniera cywilnego. Przez ciąg kilkoletnich kursów matematyki, nie zaniedbywał wszelako nauki języków żyjących i łaciny. I nikt się nie domyślał, że młody Gutierrez, który jak Chénier czuł coś nadzwyczajnego w swojej głowie, karmił się poezją łacińską i hiszpańską, i sam wiersze tworzył w sekrecie.

W czasie kiedy śmierć zabrała głowę rodziny, Gutierrez posiadał już wiedzę szeroką i gruntowną; poświęcił się wówczas nauce prawa. W ciągu tego peryodu prac jego ukazywały się niejednokrotnie w czasopismach argentyńskich płody jego pióra.

Zawiązawszy ścisłe stosunki ze znakomitszymi mężami swego kraju, bronił sprawy moralności, prawa i postępu, którym srogą wojnę

<sup>1)</sup> Wyjątek z tego poematu drukowała *Biblioteka Warszawska*, 1878, t. IV, str. 138.

wypowiedział tyran wyrosły na Pam pach a znany pod nazwiskiem Rozasa. Gaucho ten nie mógł nigdy ścierpieć oporu. Nie dosyć na tém: cnota i rozum były w oczach jego zbrodniami ohydnyemi, którym nie przebaczał nigdy. W roku 1840 Gutierrez okuty w kajdany, siedział w ciemnym lochu: zaszczyt ten nie mógł minąć człowieka takich jak on zalet umysłu i duszy. Lecz niebawem poszczęściła mu się ucieczka. Obrócił więc swe kroki ku pobrzeżom Montevideo, gdzie ofiary krwawego dyktatora gościnnie znajdowały przytułek.

W kilka lat potem Gutierrez wraz z Alberdim popłynęli do Europy. Po zwiedzeniu głównych miast Starego Świata, młodzi wygnańcy powrócili do ziemi Kolumba. Zatrzymali się jakiś czas w Rio Janeiro, a następnie opłynawszy przylądek Horn, przybyli do Chili.

W ciągu swego pobytu w tym kraju, Gutierrez zaprzyjaźnił się z najpierwszymi z tamecznych literatów, założył szkołę marynarki, dał do druku wiele dzieł oryginalnych, i zgromadził staranny wybór amerykańskich poezyi lirycznych, pod tytułem: *la América poetica*.

Dopiero w r. 1852, kiedy bitwa pod Monte-Caseros obaliła dyktaturę Rozasa, Gutierrez powrócił do rodzinnego miasta, gdzie został z kolei deputowanym, ministrem stanu, ministrem spraw zagranicznych i t. d. Jako deputowany należał do najgorliwszych pracowników przy wykończeniu konstytucyi krajowej w duchu wolności i porządku. Ze swego urzędowania jako minister pozostawił instytucye trwałe i wielkiego pożytku. W późniejszych latach, kiedy nastąpiły smutne i w kłęski obfitujące walki trzynastu prowincyi przeciw Buenos-Aires, Gutierrez okazał się zawsze niezachwianym w przekonaniach swojego sumienia, nie dając się nigdy uwieść duchowi stronnictwa.

Takimi są w ogólnych wyrazach zasługi jego obywatelskie; nie mniejsze położył on na polu piśmiennictwa krajowego.

W r. 1841, przy zbliżającym się święcie narodowém, 25 maja, poeci urugwajscy, oraz argentyńscy przebywający w Montevideo, postanowili godnie uczcić wielką rocznicę. W tym celu ofiarowali medal złoty jako nagrodę konkursową za najlepszy utwór poetycki na cześć rewolucyi majowej, wyrażający przeszkody jakie musiała pokonać, i dobrodziejstwa jakie z niej spływają na ład Ameryki południowej. Jednastu poetów ubiegało się o palmę pierwszeństwa. Kiedy nadszedł dzień naznaczony na wręczenie nagrody, po odczytaniu poezyi uznanéj przez sędziów za najlepszą, przydujący oświadcza, iż autor nie jest mu wiadomy; lecz ponieważ obrał sobie za dewizę czterowiersz z wielkiego łacińskiego liryka, tém więc hasłem wzywa go, aby się dał poznać. Zwracają się ciekawe spojrzenia, z tłumy występuje młody człowiek, a po sprawdzeniu swojej tożsamości, wymienia nazwisko: Jan Marya Gutierrez.

Zdaniem światłego arcopagu nikt lepiej nie pojął wielkości i celów amerykańskiej rewolucyi, nikt jéj ideom szerszego nie zakreślił koła. Niemniej na pochwałę zasługuje doskonała poprawność dykcyi,

wspaniała powaga rozlana w tym poemacie, bogatym w obrazy, mistrzowskim nakreślone pędzlem.

To więc pierwsze wystąpienie na polu poezji lirycznej, zjednało wieszczowi odrazu sławę nieśmiertelną u jego współziomków. Prawie każdy umie ten utwór na pamięć.

Wielkiego potrzeba poety, by w innym języku odtworzyć potrafił cały majestat i siłę tej świetnej ody. Dosłowny przekład niektórych fragmentów, krótkie streszczenie innych, dadzą zaledwie poznać dążność i myśl przewodnią, obraną z uroku poetyckiego słowa. A może w opuszczonych ustępach znalazłyby się tu i owdzie najwznioślejsze myśli i obrazy... czytelnik sam chyba resztę w duszy dośpiewa.

Wstęp otwiera wspaniała inwokacja, pełna religijnego namaszczenia. Poeta podnosi głos do Stwórcy, by nań złął skupienie ducha, by słowem jego szczytnego użyzył majestatu, bowiem „wszystko pochodzi od Boga, i bohaterkie czyny ludów, i mistrzowskie artystów i wieszczów utwory, wszystko jest Jego dziełem: gorący płomień Boskiego światła kierował mężami Wielkiego Maja...”

Daliej w zwięzłych rymach obrazuje chwilę powstania amerykańskiego ludu: niedorośle dzieci, starcy osiwiali, wszystko się w wielkiej jednoczy idei.

A gdy już na cześć jej wzniesiony wiekuisty pomnik, tłumy się garną w okół oswobodzicieli, i w religijném milczeniu słuchają proroczego głosu.

„...Wyście wybrani. by na barkach waszych dźwignąć świat, od srebrzystych stoków dumnego Andu przez pustą Pampę po rzeki olbrzymie...”

„...I z tego świata jak z płodnego ziarna, które oracz wiosną w bruzdzie zagrzebuję, rodzić się będą inne światy, samowładne, błogostawione od nieba i od ziemi...”

„Wielkie jest posłannictwo wasze... Stale nośmy, wewnątrz duszy, ideę świętą i wspaniałomyślne zamiary. Od dzisiaj myśmy króle i wielcy kapłani...”

„...Zniście wzrok i patrzcie na działwę, co ziemię rozwesela, jak kwiat spadły z drzewa nadziei i życia. Patrzcie na nią i pomnijcie na nieświadomość naszą. Rozprószmy ciemności jej duszy, umysłem jej dając wody z tego źródła, co użyznia palmę wiedzy. Lecz w serce jej wpójcie świętą miłość cnoty i sprawiedliwości, a nieubłaganą nienawiść dla piekielnej złości. Zjadliwą trucizną jest umiejętność bez cnoty.”

I znów głos proroczy zwraca myśl słuchaczy na ich przeszłość, na owe długie lata nędzy i poniżenia. Lecz nie do gniewu ani zemsty ich pobudza. Tylko nikczemnik zerwane pęta krwią broczy.

„Litości i miłosierdzia dla zwyciężonego! Bądźmy wspaniałomyślni, a ludzi uważajmy jako braci. A kiedy nasz porządek rozwinie szeroko, zbiegną się najdalsze ludy, garnąc się do nas z miłością i wykrzykną radośnie: „Oto lud wybrany!”

„Bo my ich przyciągniemy do siebie t $\acute{e}$ m  $\acute{s}$ wiat $\acute{e}$ l $\acute{e}$ m, co z mi $\acute{o}$ sci tryska i p $\acute{l}$ omieniem swym rozpala serca.

„Przyb $\acute{e}$ dzie od bieguna m $\acute{a}$ ż zahartowany i surowy g $\acute{o}$ r mieszkaniec, a wnet ostra zima, co im krew mrozi $\acute{a}$ , w b $\acute{l}$ og $\acute{a}$  si $\acute{e}$  dla nich zamieni wiosn $\acute{e}$ , pod cudn $\acute{e}$ m niebem, kt $\acute{o}$ re nam da $\acute{l}$  B $\acute{o}$ g.

„Alboż my $\acute{s}$ licie, i $\acute{z}$  On utworzy $\acute{l}$ by rzeki jak morza i pok $\acute{l}$ ady z $\acute{l}$ ota i r $\acute{o$ wniny rozkoszn $\acute{e}$ j zieleni i wonne powiewy stepowe i ten uroczy b $\acute{l}$ ekit naszego nieba i te kobi $\acute{e}$ ty, skarby mi $\acute{o}$ sci, na to tylko, by zasyci $\acute{c}$  chciwo $\acute{s}$ ć przemocy i dumy?

„Nie! bo kiedy Wszehmocnego hojna r $\acute{e}$ ka, z $\acute{l}$ o $\acute{z}$ yla na mglistych Zachodu kra $\acute{n}$ cach swoj $\acute{e}$  Ameryk $\acute{e}$ , czyst $\acute{a}$  i niewinn $\acute{a}$ , Pan rzek $\acute{l}$ : „B $\acute{l}$ ogostawiona ziemi $\acute{o}$ ! ty dla zgrzybia $\acute{l}$ ego i podupa $\acute{d}$ łego  $\acute{s}$ wiata b $\acute{e}$ dziesz wiosn $\acute{a}$  i pociech $\acute{a}$ , jak $\acute{a}$  jest syn dla spracowanego ojca.”

Najwspanialszym, co do bogactwa poetycznego j $\acute{e}$ zyka, my $\acute{s}$ li i obraz $\acute{o}$ w, jest ust $\acute{e}$ p, w kt $\acute{o}$ rym poeta przedstawia trudy i niebezpiecze $\acute{n}$ stwa, jakim Kolumb stawia czo $\acute{l}$ o, w wyprawie dla odkrycia Ameryki. W sercu czerpie si $\acute{e}$ , wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j ni $\acute{z}$  w nauce, a wytrwa $\acute{o}$ ść i wiara niez $\acute{l}$ omna doprowadzaj $\acute{a}$  go do wielkiego celu.

R $\acute{o$ wnie wielk $\acute{a}$  jest idea, pocz $\acute{e}$ ta w wiekopomnym maju. I ona by $\acute{l}$ a szczytn $\acute{a}$  nadziej $\acute{a}$  szcz $\acute{e}$ ścia, kt $\acute{o$ rego osi $\acute{a}$ gni $\acute{e}$ cie przynios $\acute{a}$  dopiero czasu koleje. Dzie $\acute{t}$ a ludzko $\acute{s}$ i w $\acute{r}$ od cierni wzrastaj $\acute{a}$ .

„A wi $\acute{e}$ c przekle $\acute{n}$ stwo temu, co gdy s $\acute{l}$ yszy wycie burzy, roz $\acute{z}$ arzaj $\acute{a}$ c $\acute{e}$ j nam $\acute{i}$ etno $\acute{s}$ ci gor $\acute{a}$ cym podmuchem, zak $\acute{l}$ ada r $\acute{e}$ ce na piersi i zw $\acute{a}$ tpi, a $\acute{z}$ ali ujrzy jutrze $\acute{n$ k $\acute{e}$  ciszy b $\acute{l}$ ogi $\acute{e}$ j i obiecan $\acute{e}$ j przysz $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci.

„Cz $\acute{e}$ m $\acute{z}$ e s $\acute{a}$  w wiekow $\acute{e}$ m  $\acute{z}$ yciu lud $\acute{o}$ w, wczoraj zrodzonych, chwile po b $\acute{e}$ dnych stracone drogach? Cz $\acute{e}$ m s $\acute{a}$  krwi krople, co zrosi $\acute{l}$ y ziemi $\acute{e}$ ; cz $\acute{e}$ m  $\acute{l}$ zy i  $\acute{z}$ aloba, kt $\acute{o$ re nas nawiedza $\acute{c}$  mog $\acute{a}$ ?

„Cz $\acute{e}$ m s $\acute{a}$ , je $\acute{z}$ eli nie lich $\acute{e}$ m piasku ziarnem na szeroki $\acute{e}$ m p $\acute{o}$ brze $\acute{z}$ u lub rosy kropelk $\acute{a}$  w oceanie zatopion $\acute{a}$ ! Cz $\acute{e}$ m s $\acute{a}$  jak nie p $\acute{l}$ atem chmur, wichrem szarpanych, chwilowo zwi $\acute{e}$ kszaj $\acute{a}$ cych ciemno $\acute{s}$ ć czarn $\acute{e}$ j burzy!

„A wi $\acute{e}$ c b $\acute{l}$ ogostawie $\acute{n}$ stwo m $\acute{e}$ żowi, kt $\acute{o$ ry ma nadziej $\acute{e}$  i z odwag $\acute{a}$  kroczy po ciernist $\acute{e}$ j  $\acute{s}$ cie $\acute{z$ ce, wiod $\acute{a}$ c $\acute{e}$ j wprost do przysz $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci. I silny wiar $\acute{a}$  i sta $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci $\acute{a}$ , nie skar $\acute{z}$ y si $\acute{e}$  ani przeklina, gdy s $\acute{l}$ yszy g $\acute{l}$ os wo $\acute{l}$ aj $\acute{a}$ c $\acute{e}$ y: „Naprz $\acute{o}$ d! id $\acute{z}$  da $\acute{l}$ ej!”

„I ten, w kt $\acute{o$ rego piersi jasna p $\acute{l}$ onie Wiara, ten przy j $\acute{e}$ j blasku ma widzenie przysz $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci: g $\acute{l}$ os wrzawy wojenn $\acute{e}$ j zaniemia $\acute{l}$ ; miejsce dzia $\acute{l}$  zab $\acute{o}$ jczych, na g $\acute{o}$ r stoku, zajmuj $\acute{a}$  wyna $\acute{l}$ azki pokojowego przemys $\acute{l}$ u. A po morzach tysiacami kr $\acute{a}$ z $\acute{a}$  flagi b $\acute{l}$ ekitne, roznosz $\acute{a}$ c w da $\acute{l}$  bogate, szcz $\acute{e}$ śliwego l $\acute{a}$ du p $\acute{l}$ ody. I dumne dot $\acute{a}$ d narody, dzis $\acute{c}$  czo $\acute{l}$ o pochylaj $\acute{a}$ , przed synem Inkasa. Niez $\acute{m}$ ierzone r $\acute{o$ wniny, z $\acute{l}$ ocistym faluj $\acute{a}$  si $\acute{e}$  p $\acute{l}$ onem; hymny wznos $\acute{z}$  s $\acute{i}$  w niebios $\acute{a}$ ; w dolinie i w g $\acute{o}$ rach, w pa $\acute{l$ acach i w chatce  $\acute{z}$ ycie p $\acute{l}$ ynie b $\acute{l}$ ogo, jakby cichy strumie $\acute{n}$ . I szcz $\acute{e}$ sny ojciec, tu $\acute{l}$  $\acute{a}$ c drobn $\acute{a}$  dzia $\acute{l}$ tw $\acute{e}$ , rozpami $\acute{e}$ tuj $\acute{e}$  przesz $\acute{l}$ o $\acute{s$ ci dzieje krwi $\acute{a}$  zapisane i o swoich my $\acute{s}$ li oj $\acute{c}$ ach, m $\acute{o}$ wi $\acute{a}$ c: „Ja dniem pogodnym raduj $\acute{e}$  si $\acute{e}$  dzis $\acute{a}$ j, bo tamci spe $\acute{n$ ili kielich goryczy...”

Pięknym jest i pełnym głębokiego uczucia, a bogatej fantazy ustęp ostatni, poświęcony wieszczom, którzy taki blask rzucili na jutrzeńkę, świecąca dla Ameryki, od chwili podniesienia wielkiego hasła, w maju 1810 roku. Przypomina w końcu poeta, iż większa część tych bardów padła wśród gradu kul i szczęku oręża; i tu spotyka się myślą z jednym z naszych wieszczów w jego wierszu: „Kto w poświęceń zmarł godzinie” i t. d.

Obok tego poematu, godzien stanąć wiersz pod tytułem: *Sztandar Majowy*, równie zalecający się potoczystą pięknnością słowa, jak podniosłością myśli.

### Sztandar Majowy.

Niebiosom wydarli ojcowie tytany  
 Nasz sztandar z lazuru i bieli.  
 Gdy w sferach zwycięstwa szeleści rozwiany  
 Wzrok niebios, obrazem weseli.

Jak orzeł na czatach, w świat patrzy szeroki!  
 Gdy ludy zawezwą go młode,  
 Przebiega równiny, gór pasma, potoki:  
 Za sobą w ślad niesie swobodę.

Daremno się z Andów rwą straszne kondory,  
 W polocie go rączym nie schwycą;  
 Nie patrzeć drapieżnym w zwycięzkie kolory  
 Ośleplą od blasku źrenicą.

Podnieśmy go z chlubą, nie barw tych nie zaćmił  
 O! niechże rodzinne to hasło,  
 Dwa wrogie stronnictwa uczyni znów braćmi  
 I miłość w nich zbudzi niezgasłą!

. . . . .

Z innych jego poezyi mniejszych, legendy historyczne i podanie, piosnki, dumka *gaucha* i t. p., pełne barwy miejscowej, tchną wonią zielonych wybrzeży Nowego Świata. Wiersz *Niedziela* ma charakter filozoficzny i chrześcijański, a udatne strofy, p. t.: *Piana Morska*, napiętnowane smętnym duszy nastrojem, wcale jednak różnym od czarnej melancholii Bajronowskiego cyklu poetów.

W utworach swoich, prozą pisanych, Gutierrez staje w rzędzie pisarzy wzorowych, formą, językiem i treścią. Oprócz wielu artykułów literackich i krytycznych, rozrzuconych po różnych czasopismach, a nader zajmujących i pouczających, wydał on dzieło wielkiej wagi: *Sztice biograficzne pisarzy, mówców, mężów stanu Rzeczypospolitej argentyńskiej*. Słusznie powiedziano, iż biografia jest najwyższym wyrazem epoki, a pisarz argentyński pojął tę prawdę najdoskonalej. Jego ży-

ciorysy nie ograniczają się na szkicowaniu żywota i czynów znamienitych mężów, lecz zarazem badają i opowiadają epoki historyczne, w których ciż mężowie działali. Autor objawia w tém dziele wszelkie zalety prawdziwego dziejopisa.

Niemniej ważnym nabytkiem, dla historii i literatury argentyńskiej, przysłużył się Gutierrez swoim współrodakom, wydając dzieło p. t.: *Myśli, maksymy, sentencye i t. p. znakomitych mężów Rzeczypospolitej argentyńskiej z adnotacyami i życiorysami*. Pracowita a trafna kompilacya, zarówno jak mądre uwagi, dowodzą, iż wydawca, który tak głęboko studyował literaturę wielu europejskich narodów, niemniej sumiennie ojczyste badał źródła i zdrowym sądem umiał wyciągnąć z nich, ile tylko zawierają w sobie niespożytej wartości. Dziełem tém wzniósł on istny panteon narodowych wielkości, bodziec dla przyszłych pokoleń. Stanowić ono może także, jakoby encyklopedyą, czy podręcznik wszelkich wiadomości politycznych i administracyjnych, ekonomii politycznej, historii argentyńskiej, moralności, filozofii i literatury.

Wiele prac swoich Gutierrez wydał na widok publiczny, lecz powiadają, iż większa jeszcze liczba ich spoczywa dotąd w tekach autora, który zostawia im czas, aby *dojrzały*. Można się zatem spodziewać, iż zczasem przymnożą one blasku imieniu jego, które, pomimo wielkiej skromności pisarza, zaszczytny rozgłos dał poznać na obu półkulach.

Juan Marya Gutierrez jest członkiem wielu Towarzystw uczonych w Ameryce i w Europie, w Brazylii, w Londynie, w Berlinie i t. d.

### Florencio Varela (ur. 1807, † 1848 r.).

W roku 1850 na posiedzeniu ciała prawodawczego w Paryżu, sławny historyk i mówca Thiers, przy roztrząsaniu spraw La Platy, wyrzekł: „Pan Varela, którego tu wszyscy znaleźmy, był zaiste jednym z najznakomitszych mężów, jakich się zdarzy spotkać w którymbądź kraju” i słowa te zgromadzenie przyjęło gorącym oklaskiem. To uznanie, w jednej z najpierwszych stolic Europy, usprawiedliwia sławę, jakiej imię zacnego i światłego Argentyńczyka używa w Ameryce, od brzegów La Platy do Orinoku i do Hudsonu. Na tak powszechną wziętość zasłużył on sobie z wielorakich względów, a tém więcej, iż wszystko czém był, winien samemu sobie.

Kiedy Florencio Varela przyszedł na świat w r. 1807, w tym samym czasie rodzina jego straciła całe swoje mienie, bardzo znaczne: korsarze angielscy zabrali okręt hiszpański z bogatym ładunkiem, którego część należała do domu Varela. W jedenastym roku życia Florencio utracił ojca i wcześniej stał się podporą licznego rodzeństwa i matki. Po odbyciu nauk szkolnych, kursów literatury i filozofii, wszedł do uniwersytetu na wydział prawny i nie mając jak lat dwadzieścia wieku, otrzymał stopień doktora.



Począwszy od tej chwili, wszedł w służbę publiczną i zajmował z kolei coraz wyższe stanowisko w sekretaryacie państwa i spraw zagranicznych. Jednocześnie był współpracownikiem czasopisma, poświęconego polityce i literaturze, a wydawanego pod redakcją starszego brata, zaszczytnie znanego Juana Cruz Varela.

Obowiązkowe to zatrudnienie, przerywała mu często niepomohana chęćka rymowania. Oprzec jej się nie był w stanie, a umysł bystry i zadziwiająca łatwość przychodziły mu w pomoc, do wywiązania się z tylu różnorodnych zadań.

W r. 1829 nastąpiła abdykacja generała Lavalle. Florencio mógł być pozostać na swoim stanowisku: nie pozwoliło na to uczucie własnej godności. Posłuszny głosowi sumienia, bez względu na osobisty interes, wolał podzielić los współbraci, jako związany ze stronnictwem *unitaryuszów*. Rzucając gród ojczysty, Buenos-Aires, udał się do Montevideo, a ten ostracyzm dobrowolny niedługo potem potwierdził dyktator Argentyny Rozas, dekretem banicyi.

Domowe ognisko, życie rodzinne, było potrzebą dla serca i usposobienia Vareli. W pięknej stolicy Urugwaju wybrał sobie towarzyszkę, a związek ten pobłogosławiło niebo licznym potomstwem.

Tutaj także, mając lat 28, złożył chlubnie egzamin adwokacki, a odtąd wieszcz ustąpił przed mężem stanu i prawnikiem. Acz pierwsze dźwięki jego lutni publiczność szczerym powitała oklaskiem, porzucił ją dla trybuny i dziennikarstwa, dla wyłącznego oddania się codziennej walce i pracy wytrwałej, w roztrząsaniu ważnych zagadnień politycznych, ekonomicznych, społecznych i dyplomatycznych, jakie się ważyły za jego czasów.

Kiedy w r. 1835 zwarły się z sobą stronnictwa: na jednego czele Rivera, na drugiego Oribe, poplecznik Rozasa; Varela, pomny, iż jest gościem Rzeczypospolitej orientalnej, nakazał milczenie swoim sympatyom i nie brał udziału w tych domowych rozterkach. Była to może przesada uczuć rycerskich, boć koniec końców, walka toczyła się rzeczywiście pomiędzy zasadami, między przemocą a prawem.

Gdy Oribe wziął górę, Varela pomimo swojej neutralności został wygnany, i nie wolno mu było powrócić do stolicy Urugwaju aż dopóki nie przyszła dla Rivery chwila odwetu. W skutku wyniesienia do władzy tego ostatniego, utworzył się związek pomiędzy Francuzami, Orientalami i wychodźcami argentyńskimi: celem onego było stawienie oporu przeciw dyktaturze Rozasa. Jednym ze związkowych, którzy najczynniej działali przeciw despotyzmowi krwiożerczego *gaucha*, był Florencio Varela. Pracował on roztropnie i wytrwale aż do końca 1840 roku, to jest do smutnej chwili, kiedy francuzki admirał Mackau opuszczając sprzymierzeńców wszedł w układy z Rozasem. Fakt ten nieszczęsnym Varela zgromił silną argumentacją w piśmie godnym najznakomitszego z publicystów.

Cały szereg srogich cierpień dotknął duszę wygnańca. Obok niedoli krajowej, upadku jego stronnictwa które przedstawiało sprawiedliwość i wolność, przyszło mu nadto oplakiwać śmierć ukochanego brata, oblewać łzami grób jednej z córek. Dusza bohaterska zniosła ze spokojem, lecz ciało uległo pod brzemieniem tak ciężkich ciosów i bezustannej pracy. Dla rozerwania umysłu i pokrzepienia sił, wziął się zmuszonym odbyć przejażdżkę nieco dalszą: udał się do Brazylii. Lecz i tam nie odpoczywał. W Rio'Janeiro zajął się pilnie wertowaniem archiwów. Zamierzając napisać dzieje Reczypospolitej argentyńskiej, spisywał notaty, gromadził dokumenta.

Po dwu leciech płynął z powrotem do Montevideo. Okręt jego zaskoczyła straszna burza. Wściekłe piętrzyły się fale rozhukanego morza: rzekłbyś że wszystkie żywioły sprzysięgły się przeciw temu, który burzom życia tak mężnie stawił czoło. Varela ocalił siebie i swoją rodzinę: lecz za przybyciem do roskosznej Urugwayu stolicy „nie miał czem okryć nagości swoich dziełek,” powiada jego biograf. Na domiar nieszczęść utracił znów jedną córkę i siostrę.

Otóż i w tymże samym roku 1843, Rozas wysłał godnego siebie sprzymierzeńca, okrutnego Oribe, dla podbicia Bandy Orientalnej. Pokonawszy hufce Rivery, nieprzyjaciel przystępuje do oblężenia Montevideo. W chwili tak smutnej, Varela nie cofa się przed nowymi trudami. Jużto piórem, już radą, jako mąż wysokiego rozumu i wielostronnej nauki, dopomaga rządowi Orientalnemu.

Wypadało koniecznie wyprawić kogoś do Europy, gdzie płatni agenci Rozasa rozsiewali kłamliwe wieści. Lecz skarb państwa był próżny. Rząd jednak postanowił uczynić wysilenie. Atoli mniej niż mierną ofiarował płacę temu, którego wybrał do tej misji poufnej. Wybranym tym był Florencio Varela. Chociaż sam ubogi i obarczony rodziną, przyjął trudne polecenie: obowiązek dla kraju stłumił w nim rachuby ojca i brata.

Zanim opuścił Montevideo, Varela wydał broszurę pod tytułem: *Wypadki nad Rio de La Plata*, gdzie powiada iż „koniecznością jest wyswiecić prawdę, ażeby świat poznał ten system anti-społeczny, anti-religijny, wytěpiający wszelkie zasady porządku i rozwoju, system którego przedstawicielem Don Juan Manuel Rozas; ściągnąć na tego olbrzyma zbrodni oburzenie wszystkich ludzi uczciwych i miłujących prawdę; wszystkich rządów cywilizowanych chrześcijańskich; podnieć przeciw niemu ligę powszechnego potępienia, któraby go napiętnowała ohydą jako jawnego wroga Stwórcy i ludzkiego rodu; któraby ogłosiła go przywłascicielem nienależnej mu władzy, i odjęła mu poważanie i stosunki, jakich godnymi są jedynie ludzie i rządy szanujący prawo powszechne: ligę cywilizacyi i ludzkości, któraby nieszczęsną stolicę Buenos-Aires, znękanę ludy argentyńskie, wybawiła z otchłani rozpacz, skruszyła w dłoniach publicznego zbrojcy sztylet, narzędzie groźby i wytěpienia... Wołajmy o krucyatę cywilizacyi i cnoty, dla rozproszenia żywiołów barbarzyństwa i zbrodni! Wodezwie niniejszej nie

polegamy na sile słów naszych: ufność pokładamy jedynie w wielkiej potędze prawdy!"

Lecz kiedy Varela przybił do wybrzeży Albionu, lord Aberdeen, ówczesny minister, oświadczył mu, iż pomimo objaśnień udzielonych przez komodora Purvis, rząd Jéj Kr. Mości nie wtrąci się do spraw La Platy. Interwencya Anglii i Francyi miała miejsce aż w kilka lat później, lecz korzyści amerykańskiemu ludowi nie przyniosła żadnej; owszem podniosła znaczenie Rozasa, panowaniu jego dała silną podstawę, następującą hersztowi nędznej szajki sposobność odegrania roli bohatera Ameryki.

Nie bezowocną wszakże była podróż Vareli. Tak w Londynie jak w Paryżu gorliwie a umiejętnie pracował nad wykazaniem obcym prawdziwego stanu rzeczy w swoim kraju, i dla sprawy swoich ziomków pozyskał licznych i znakomitych przyjaciół. Co się tyczy prasy, ponimo złota pełnemi garściami sypanego przez agentów *dzikiego z Fampy*, zdołał Varela skierować ją w przeważnej części do zasad sprawiedliwości i cywilizacji. Na innem zaś polu badał on postęp i idee starego świata, przyswajał z nich sobie wszystko co mogło być zastosowaniem do nowo tworzących się społeczeństw: mąż stanu, poeta, nie poczytywał za niegodne siebie rozpatrywanie się w wielkich wynalazkach, odnoszących się do mechaniki, uprawy roli, górnictwa i t. p.

Za powrotem do Montevideo, Varela wzbogacony nowemi zasobami wiedzy, zawsze niezmordowany w czynności, tém skuteczniej mógł pracować dla dobra swojej ziemi. Szacowne materyały do dziejów ojczystych, zebrane z wielkiem staraniem i mozolem, niepłonnie wróżyły znakomite usługi, jakie Varela mógł krajowi oddać nadal i na polu historycznym. Lecz zgon przedwczesny zniweczył te nadzieje: zdradziecki sztylet przedajnego zbrojcy przerwał pasmo życia tak pożytecznego.

Kiedy agent francuzki w Ameryce, hrabia Walewski, za powrotem do Europy nowe objaśnienia przywiózł swemu rządowi, Francya i Anglia postanowiły posłać powtórnie siły do La Platy. Oribe od kilku już lat oblegający Montevideo, widział konieczność pośpieszenia z dokonaniem swoich planów, zanim wojska sprzymierzone przybędą. W Montevideo znajdował się mąż energiczny, rozumny, czynny, który bezprzestannie największe przeszkody stawiał zamiarowi dwu tyranów: Rozasa i Oribe. Mężem tym był Florencio Varela. Oribe miał zwyczaj uprzątać szybko zawady, zwłaszcza jeżeli takowemi byli ludzie. Pewnego wieczora (było to 20 marca 1848 r.) Florencio Varela wracał do swego domu, położonego na jednej z głównych ulic miasta; jakimś fatalnym trafem ulica była pusta, pomimo godziny jeszcze niezbyt późnej. Varela zastukał do bramy: ktoś z domowników pośpieszający dla otworzenia, usłyszał dwa przeciągłe jęki, łoskot upadającego ciała, i kroki oddalające się w szybkim biegu. Przed bramą leżał Varela, nawskroś przeszyty pugią, którym go zbrojca ugodził w plecy.

W obozie oblegających, Oribe i jego towarzysze w tryumfie przyjmowali zabójców, radując się nikczemnym zwycięstwem. W obleżonym mieście trwoga opanowała wszystkie umysły; wszyscy spłacili haracz boleści nad zwłokami niezmordowanego szernierza swobody i zasad. W Ameryce i w Europie nawet rozległ się okrzyk zgrozy przeciw głównemu zbrodniarzowi, który sztyletem uzbroidł przedajną rękę, a liczne głosy ozwały się ku czci i pochwałam męczennika.

Varela zostawił wdowę i dziesięcioro dzieci, przekazując im w spuście ucziwe ubóstwo i skarby wielkich przykładów. Synowie umieli uszanować to święte dziedzictwo, wstępując w ślady ojca.

Po upadku dyktatury, śmiertelne szczątki Florencia Vareli zostały przeniesione do Buenos-Aires, gdzie spoczywają pod pomnikiem wzniesionym kosztem jego wielbicieli.

Zyciorys Vareli ukazuje go najlepszym synem, małżonkiem, ojcem, wzorem cnót obywatelskich. Miłość kraju była dlań drugą religią; całe życie walczył przeciw jego wrogom, t. j. przeciw demagogii i dyktaturze, i śmierć poniósł na wyłomie.

Rozbiór pism jego przedstawia go w témże samém świetle.

Płodny ten pisarz, pomimo niedługiego życia, zostawił mnóstwo dzieł, w których po mistrzowsku traktuje najwyższe zagadnienia organizacji społecznej i politycznej, najzawilsze punkta polityki spekulatywnej, prawa administracyjnego, nauki ekonomicznej, prawa człowieka. Artykuły w założonym przez niego dzienniku *El Comercio del Plata*, bogatém są źródłem dla męża stanu i myśliciela. Była chwila, kiedy barbarzyński świętokradzca Rozas wydał wojnę religijnym przekonaniom. Varela w piśmie *Rozas i zasady religijne* dowodzi, iż „zasada takowa jest jednym z najpierwszych żywiołów społecznego życia narodów,“ a podnosząc wysoko uczucie religijne i wiarę, odwołuje się do wielkich zasad wolności sumienia i tolerancyi wyznań. Zastępują również na szczególną uwagę dziełka jego: *Rozas i prowincye*, *Konfederacya Argentyńska* i wiele innych. Każdej pracy jego tak w prozie jak w poezyi, przyświeca myśl wyższa, uczucie szlachetne.

Kiedy w Montevideo założono ogromny szpital pod dozorem Bra-ci Miłosierdzia dla chorych i dla podrzutków, Varela napisał piękną odę, gdzie na wstępie narzeka, iż kapłani poezyi trudnią się opiewaniem niecnój sławy lub miłostek nieprawych, a niéma nikogo, coby głosił światu imiona dobroczyńców ludzkości, którzy po to jedynie żyją, by cudze łzy osuszać, sładzić cierpienia bliźnich.

Nieszczęścia ojczyzny wyrwały z piersi wieszcza-obywatela najsilniejsze dźwięki. Poemat *la Anarquia* przedstawia w całości obraz ohydnej bratobójczej walki; gromy potępienia ciska na wyrodną działość swojej ziemi, a prawych jej synów z siłą i porywającym zapałem powołuje do pracy ku podniesieniu chwały wspólnej matki, dla ustalenia jej przyszłości. W ostatnim ustępie bard zdjęty zgrozą, na widok krwawych scen wojny domowej, rozpaczliwy rzuca wykrzyk:

„I toż-to moja ojczyzna!!!... Ach! jeśli ma być zgorzeniem świata ta ziemia, która w nim przedtém podziw obudzała, niechajże lepiej zginie odrazu w gwałtowném ziemi trzęsieniu, niech zniknie z powierzchni globu!“

Po tój klątwie, rzuconej na okropności niezgody i wojny, w pieśni *la Concordia*, poeta kreśli obraz błogich darów, jakie przynosi pokój i zgoda.

„...Zgoda, to najobfitsze źródło wszelkiego dobra, jakie ludzkości może być udziałem; i jako słońce jasnością oblewa szczyty i równiny, tak ona dobroczynnym wpływem wszystkiemu umie dać byt nowy.

„Gdzie ona, tam w otchłań zapadają: i duma wszechwładna, i ciemnota, ślepy fanatyzm i świętokradzkie prześladowanie sumienia, i wszelakie błędy, jakie z sobą namiętności przynoszą i wściekłym zaprawiają szałem.

„Ona to niegdyś zjednała chwałę ojczyźnie mojej; przez nią to świat cały imię jój czcią otaczał, i dziejów sprawiedliwa karta, i rym harmonijny, rzeczpospolitę sławiły Argentyńską.“

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

# Syn Margrafa.

TRAGEDYA Z X WIEKU, W PIĘCIU AKTACH.

PRZEZ

*Bronisława Grabowskiego.*

**Bolesławowi Ładnowskiemu.**

W HOŁDZIE

Autor.

## W S T Ę P.

Przed ośmiu wiekami, na obszernej równinie między Odrą i Elbą, od gór Czeskich aż do fal Bałtyku, gdzie dziś po gęstych wsiach i miastach roi się wśród mrówczej pracy plemię, dające sobie samo chełpliwą nazwę *roznosicielei kultury*; na ziemiach dziś pruskich, saskich, i meklemburskich szumiały odwieczne puszcze, między nimi leżały rzadko porozrzucane sioła, a po grodach sterczały kontyny bogów, ostatnie już w środkowej Europie wymierającego pogaństwa schronienie. Praojcowie ludności, obecnie w tych krainach zasiadłej, nie stanowili jak dzisiaj jednolitej całości; owszem dzielili się na dwa plemiona, różne mową, obyczajem, charakterem i zawziętą walkę z sobą toczące. Pierwotni posiadacze tej ziemi, których wnuki zatraciły już nawet pamięć swego pochodzenia, stanowili jeden wielki odłam Słowiańszczyzny lechickiej i najbliższą bracią mieli ponad brzegami Wisły, ale nie złączeni z nią ścisłemi węzłami, na własną rękę toczyli rozpaczliwy, zaciekły bój z germańskimi przybyszami, co z mieczem zdobywczego wojownika, z Ewangielią misjonarza, z motyką osadnika, wdzielali się uporczywie w cudze dziedziny; wielekroć odrzucani wracali z coraz większą siłą przewagą, aż wreszcie szala wiekowych bojów przechyliła się na ich stronę i wdziercy zapanowali tu ostatecznie, aby

na zdobytym gruncie założyć fundamenta nowego organizmu państwowego, który dziś tak wydatną odegrał rolę. Między Elbą i Odrą, przed kilku wiekami, rozstrzygnął się pierwszy bój dwu nieprzejednanych szczepów: rozstrzygnął się na korzyść Teutonów; niebawem rozpoczął się drugi akt tegoż dramatu, którego zamknięcia może i my i najbliższe nam pokolenia nie doczekamy jeszcze.

Wielki to zaiste dramat dziejowy, ta walka Słowian nadelbiańskich: Bodryców, Lutyków, Sztoderanów z przemagającą potęgą Cesarstwa niemieckiego; walka zakończona w XII wieku podbojem, po którym nastąpiło kilkowiekowe wygubienie i wynarodowienie. Historia jeszcze nie zdołała należycie ocenić owego płodnego w nieprzeliczone następstwa faktu: zgermanizowania Słowian bałtyckich. Niemcy, wążąc wszystko na szali osobistej chwały i pożytku, nie szczędzą kądziela dla zdobywców z własnego narodu, widząc w tym podboju zwycięstwo cywilizacji i chrześcijaństwa nad pogaństwem i barbarzyństwem. Zapominają oni o tém, że barbarzyństwo conajmniej po obu stronach było jednakie, że krwawi misjonarze nie przejęli się jeszcze byli do głębi ideami Chrystusowej wiary, a wiarę tę nadto szerzyli środkami, sprzecznymi najzupełniej z fundamentalną téjże wiary zasadą. Nie biorą oni pod uwagę, jak ogromną krwi ofiarą dopełniło się to dzieło nawrócenia, na razie wątpliwiej zaiste wartości; dzieło, które w innych warunkach możeby prędzej i skuteczniej dokonaniem zostało. Dla upojonych tryumfem swego plemienia historyków, niczem jest cały ogrom niesprawiedliwości, ciemieństwa, popełniony po dniach podboju; cieszą się jedynie z ostatecznego rezultatu, tyle schlebiającego narodowej swój dumie i rezultat ten piętnują cechą zysku dla ludzkości i cywilizacji.

Słynnym jest iście faryzejski frazes Ludwika Giesebrechta, autora trzytomowej książki: *Wendische Geschichten*, który dzieło to, krwawego podboju i nieludzkiego ucisku, nazywa: *Aufnahme Slawischer Nationalität in die Deutsche, Aufnahme beider in die Römische Kirche*.

Że sztuka, czerpiąc z téj smutnej materyałów skarbnicy, na całym przeciwnym staje stanowisku, to nikogo dziwić nie może. W poezyi sędzią przedewszystkiem uczucie, niezamącone względami użyteczności, racji państwowej i t. p.; ale sądzące wszystko według normy, tego, co leży na dnie każdej nieskażonej duszy. Ono z przyrodzonego popędu staje po stronie słabszej, upadłej i choć dziejopisarzom w rodzaju Giesebrechta, Sudenhteima, Sybla *e tutti quanti*—*placuit victrix causa*, uczucie zdziera tryumfalną purpurę z bohaterów powodzenia, a palmę w ręce upadłym oddaje.

W dramacie walki Germanizmu ze Słowiańszczyzną zachodnią nie brak pojedynczych epizodów, wielce nadających się do poetycznego obrobienia. Niektóre z nich same przez się w pięcioaktową układają się tragedją. Sztuka nasza długi czas zaniedbywała tę kopalnię przedmiotów poetycznych, może dlatego, że dzieje Polabskich Słowian

były obce publiczności, samym nawet piszącym nader mało znane. Dopiero w przeszłym dziesiątku lat studia młodzieży w Szkole Głównej, a po części obraz Gersona: *Oplakane apostołstwo*, zwróciły uwagę na *dzieje zaginionego ludu* i zachęcały młodszych pracowników pióra do dramatyzowania pojedynczych momentów z owjej epoki. Prawie równocześnie pojawiło się kilka dramatów na tle Słowiańszczyzny polabskiej, jako to *Krok* Bronisława Komorowskiego, *Margraf Gero* Józefa z Mazowsza oraz kilka innych, znanych tylko szczupłym kółkom i dotąd spoczywających w rękopiśmie. Niezależnie od tych prac autor *Syna Margrafa* jeszcze w uniwersytecie, przy studiach swych nad Słowiańszczyzną, naszkicował sobie plan kilku tragedji historycznych na tle owych dziejów; w późniejszym czasie powstały z tych szkiców: tragedia *Mściwój i Swanhilda*, wydana we Lwowie 1876 r. i obecnie drukujący się dramat. Piérwszy plan *Syna Margrafa* powstał przed dwunastu laty, autor jednak rzecz narzuconą i rozpoczętą porzucił, zaślyszawszy o utworze Józefa z Mazowsza. Dopiero po wydrukowaniu tego dramatu, przekonawszy się, że tenże tak wielce od jego własnego różni się pomysłu, odrzucił wszelkie skrupuły i do swego zamiaru powrócił. Sądzę, że każdy, kto oba te utwory porówna ze sobą, przyzna, że pod względem pojęcia faktu, obrania chwili, charakterystyki osób, a nadewszystko zasadniczej idei tak wielce różnią się między sobą, iż autor *Syna Margrafa* nie powinien ani posądzanym być o przywłaszczenie sobie cudzego pomysłu, ani obwinianym o bezpotrzebne obrobionego już tematu dotykane. Niewątpliwie każdy zgodzi się na to, że i *Margraf Gero* Józefa z Mazowsza i obecny *Syn Margrafa* obok siebie egzystować w literaturze mogą.

Że Gero jest postacią bardzo dla piszącego ponętną, dziwić się niepodobna. W bohaterze tym smutnej pamięci skupiają się wszystkie znamiona, cechujące ówczesnych germańskich zdobywców. Lubo podbici zdołali otrząść się z jarzma, którym Margraf ten karki im przytkoczył, jednakże dzieło zawojowawcze rozpoczął on tak skutecznie, iż rzeczywiście *topór do korzenia przyłożył*. Na razie owoce gwałtów, zdrad, podstępów, przemocy zmarniały po śmierci Margrafa, ale słabe strony Słowian ujawnionemi zostały, charakter walki określony ściśle i następcy Gerona szli już raz wytkniętą przezeń drogą; aż wreszcie Albrecht Niedźwiedz i Henryk Lew ostatecznego dokonali podboju.

W dziejach Gerona jest kilka momentów, zawierających w sobie *in nuce* bogatą treść dramatyczną. Dotąd najwięcej uderzał piszących mord trzydziestu żupanów słowiańskich, on też stanowi punkt kulminacyjny tragedji Józefa z Mazowsza. Podobnież koło mordu tego obraca się tragedia Józefa Jurczicza, Słoweńca, p. t. *Tugomer*, oraz ballada Franciszka Markowicza, Chorwata, *Ostatni toast*. Autora „*Syna Margrafa*” więcej pociągał ku sobie schyłek dni Geronowych, zgon jedyne go syna, dla którego ten, na ziemiach zdobytych, niepodległe państwo w myślach swych fundował. Plany te Gerona są raczej przypuszczeniem historyków, aniżeli faktem bezpośrednio ze źródeł wydo-



bytym. Pierwszy konjunkturę tę zrobił Leutsch, autor monografii „Markgraf Gero,” a przypuszczenie to, odpowiadające trafnie zarówno duchowi czasu jak i charakterowi Margrafa, przypadło do przekonania uczonym, a między innymi i Szafarzykowi. Sądzimy, że to, co dla ścisłego historyka jest co najmniej wielkiem prawdopodobieństwem, dla belletrysty może stać się podstawą utworu i dla tego nie wahał się dramatu tego osnuć na owym przypuszczeniu uczonych, dopełniając reszty własną fantazją. W jednej rzeczy powstrzymywaliśmy się od wszelkiej dowolności, mianowicie w podmalowaniu tła; wszelkie szczegóły obyczajowe są wynikiem sumiennych studyów, które oceni każdy, kto choć trochę owym zajmował się przedmiotem.

Dramat obecny p. t. *W dziesiątym wieku* był posłany na konkurs, w 1876 r. rozstrzygający się w Warszawie. Lubo dla względów praktycznych bezpośrednio nie zalecony do grania, uzyskał jednak zaszczytną wzmiankę w sprawozdaniu komisji konkursowej, która między innymi powiada: „Największą atoli zaletę tego utworu stanowi wyborna charakterystyka wieku, oraz głębokie w rozmaitych drobnych szczegółach rozproszone, niby piasek złocisty, poczucie sprawiedliwości, z jakim autor przedstawia starcie dwu przeciwstojących idei. Pod tym względem akt mianowicie pierwszy posiada piękności oświecone poezyą i prawdą, jakie tylko w utworach celniejszych napotykać się dają. Znajomość przedmiotu, zacność tendencji, styl doborowy i pięknymi przejęty myślami, wszystkie zatem zalety szlachetnej prozy, przeplatane gdzieniegdzie zaletami poezyi, utwór ten w czytaniu czynią sympatycznym, w druku pożądanym. Niezwykłość treści w połączeniu z rozrzuconemi tu i owdzie malowniczymi położeniami i logiką wypadków dobrze uzasadnioną, przy pewnych skróceniach w dyalogu, oraz przy dobrej grze artystów, mogłaby nawet utworowi temu zjednać dobre przyjęcie na scenie, odpowiednie pod względem przedmiotu warunki posiadającej.”

Uwagi komisji konkursowej co do wad utworu skłoniły autora do odłożenia go na bok na czas jakiś, a później do starannego przejrzania; przyczem tenże usiłował uwagi komisji na korzyść utworu odpowiednio spożytkować. Że przy pracy tej nie zdołał może odpowiedzieć wymaganiom światłego grona, niech mu posłuży za wymówkę znana dobrze każdemu piszącemu bezsilność autorska tam nawet, gdzie potrzeba poprawy, zmiany, samemu autorowi jest jasna i niewątpliwa. W każdym razie mogą śmiało powiedzieć: *Feci, quod potui.*

Częstochowa, 24 września 1878 r.

## OSOBY:

GERO, margraf Marki Północnej.  
 ZYGFRYD, syn jego.  
 HATWIGA, żona Zygryda.  
 SWANTAWA, wdowa po żupanie ziemi Sztoderańskiej.  
 ŻELISŁAW } jój wnuki.  
 JARMİŁA }  
 MOJMIR, stryj ich, syn Swantawy.  
 SZEBÓR, wysłaniec Mieczysława, księcia Polanów.  
 LUTHAR, graf saski.  
 ABO, Włoch, giermek.  
 HERMAN } przydworkni Gerona.  
 GIUNTER }  
 MNICH.  
 KAPŁAN słowiański.  
 STARZEC Słowianin.  
 SŁUGA Mojmira.

Rycerze.—Żołnierze niemieccy.—Słowianie.—Słowianki.—Dzieci.

Rzecz dzieje się w r. 965, w czterech pierwszych aktach w ziemi Sztoderańskiej, późniejszym Brandenburgu; w piątym akcie w ziemi Polanów.

## AKT I.

(Izba w domu Swantawy. Drzwi w głębi i na prawo; na lewo okno, nawpół zakryte zasłonami; na lewo na przedzie sceny stół i dwie ławki przed nim; po prawej stronie siedzi Swantawa, u nóg jój na ziemi Jarmita).

## Scena I.

SWANTAWA, JARMİŁA.

SWANTAWA.

Znowuż dzień ciepły i pogodny?

JARMİŁA.

Niéma

Ni jednej chmurki na niebiosów szacie.

SWANTAWA.

Uroczystują bogowie na niebie,  
Ale nam tutaj nie ujmą żałoby.

Jarowit <sup>1)</sup> pobił zimę z jęj družyną.  
Wcześniej niż zwykle przyjeżdża w obłokach,  
A nie dba wcale, iż na ziemi naszęj  
Obcy bóg z obcym ludem zwyciężają.

JARMILA.

O! babko, może ta przedwczesna wiosna  
Z nadzieją szczęścia na świat idzie; może  
Bogi nas nową chcą natchnąć otuchą.

SWANTAWA.

Nie, wnuko. One zapomniały o nas.  
Równie świątecznie było na niebiosach,  
Gdy się ta straszna dokonała zbrodnia.

JARMILA.

Ach! nie wspominaj tak okropnej chwili!

SWANTAWA.

Powieść ta, wnuko, wszakże to jedyna  
Twa ojcowizna. Tyś jęj słuchać winna  
Całe dni. Wnocy o niej śnić na łożu.  
Komuż ja biędna uskarżyć się pójdę,  
Gdy mię już własne nie słuchają wnuki?

JARMILA.

Mów, babko, mów!

SWANTAWA.

Nie znałaś prawdziwego  
Szczęścia, prawdziwój nie pamiętasz wiosny.  
Ale ja pomnę; byłam wtedy młodą,  
Kwitnącą zdrowiem, krasą; w ziemi naszęj  
Nie było wtedy groźnego żołdaka,  
Ni ponurego mnicha, który mruczy  
Słowa, co nudę sercu nawołują.  
Wesołą pieśnią, czarą pełną miodu  
Czciliśmy bogi łaskawe; na wiecu  
O sprawach radził lud i słuchał mądrych  
Słów, które meże wymowni prawili;  
Lecz tak wymownie, mądrze nikt nie prawił,  
Jako Lutobór, żupan, mój małżonek,  
A dziad twój.

JARMILA.

Czemuż ja nie żyłam wtedy?  
Byłoby lepiej już w grób z tém wspomnieniem  
Patrzeć, niż taką smutną żyć młodością.

<sup>1)</sup> Jarowit, bóg wiosny u Słowian zachodnich. Powrót wiosny według wyobrażeń pogańskich, był wynikiem zwycięstwa boga Jarowita nad bóstwem Zimą i jęj orszakiem (mrozem, chorobami i t. d.).

## SWANTAWA.

Zachód, Jarmiło, to złowroga strona,  
 Tam nawet słońce grób znachodzi codzień <sup>1)</sup>.  
 Ztamąd wciąż groźne przychodziły wieści,  
 Za niemi w końcu przyszli Niemcy, niosąc  
 Obcego Boga. Zgłuchnął gwar wiecowy,  
 Z pod strzech wesele uciekło, a męże  
 Zbrojnemi tłumy z domów uchodzili.  
 Długo czekały stęsknione niewiasty,  
 Ze drzeniem wieści łowiąc uchem; w końcu  
 Wrócili męże, lecz smutni, bez broni;  
 Nie wszystkich synów wiódł Lutobór z sobą,  
 Nie chciał tknąć czaszy miodu: tylko białe  
 Pieniądze liczyć począł. I poznałam,  
 Że dni wolności skończone na zawsze:  
 Wkrótce zapukał Niemiec po daninę.

JARMIEŁA.

Więc nas zdradziła dola?

SWANTAWA.

Król niemiecki,  
 Co nas zwojował, a z nim margraf stary,  
 Do grobu głowy złożyli. Król nowy  
 Rzekł sobie: Jarzmo to zalekkie dla nich.  
 Więc nam sroższego przysyła margrafa.

JARMIEŁA.

To Gero, babko!

SWANTAWA.

I przysięgli w duszy  
 Młodzieńcy, męże, starcy, że śmierć wolą,  
 Niż dłużej znosić to haniebne jarzmo.  
 Margraf przeniknął ich zamysły skryte,  
 Lecz, chytrze zgubną zasadzkę gotując,  
 Łaskawe rządy głośno obiecywał,  
 Na ucztę zgody do siebie zapraszał.

JARMIEŁA.

Czemuż wierzyli? Czemu nieobacznie  
 Do zguby sami szli?

SWANTAWA.

Biédna. Ty nie wiész,  
 Jak pognębieni kłamliwym uśmiechem  
 I spokojnością udaną, kryć muszą

<sup>1)</sup> Dla pogan słowiańskich Wschód był stroną szczęśliwą, Zachód złowrogą; tam bowiem główne ich bóstwo—Słońce, rodziło się, tu zaś umierało, uiknąc za widnokregiem.

Zamiar, co jeszcze w czyn nie dojrzał. Więc też  
 Wszyscy trzydziestu ziemi tój żupanów  
 Na zaproszenie w zamku się stawili:  
 Z nich nie powrócił żaden.

JARMILA.

Takięj uczy  
 Nie było chyba od początku świata!

SWANTAWA.

Tak, wnuko: tyle lat się potoczyło  
 W przeszłości przepaść, w ciemną zapomnienia  
 Toń pogrążając zmarłych i ich czyny;  
 Lecz nawet lekka zasłona nie przyćmi  
 Wspomnień tój chwili: wciąż go mam przed okiem  
 Z taką okropną raną, żeby przez nią  
 Stu ludziom życie uciekło....

JARMILA.

Stój, babko!  
 O! mój dziad święty!

SWANTAWA.

Nie mogłam z nim razem  
 Na stosie zgorzéc: dzieci mię wstrzymały.  
 Łzy tylko ogień oczu ugasiły.  
 Często nawiedza mię na czarnej chmurze  
 W burzliwe nocy, smutny jako one.  
 Snadź wprzód w raju nie zyszcze wesela,  
 Póki na ziemię tę wolność nie wróci.

JARMILA.

I naród milczał po tak strasznej zbrodni?

SWANTAWA.

Naród pochwyił za broń, lecz już mądrych  
 Niestało, coby przed zdradą ostrzegli,  
 I zdrada znowu Niemcom kraj oddała <sup>1)</sup>.  
 Pod ciężkiem jarzmem naród padł na ziemię,  
 Jednak ilekroć moi zasłyszeli  
 O jakich bojach z Niemcem, szli gromadą,  
 I coraz mniej ich wracało do domu,  
 Aż został tylko stryj wasz i wy dwoje  
 Z całego grona synów mych i wnuków.

<sup>1)</sup> Po wymordowaniu 30 żupanów na uczcie u Gerona, Słowianie polabscy chwycili za oręż, broniąc rozpaczliwie swój wolności. Niemogąc stłumić energicznego powstania, Gero uciekł się do zdrady, narzędziem której był Tugumir, książę słowiański, znajdujący się w niewoli niemieckiej. Po zdradzie Tugumira, margraf znowu dawną władzę w ziemiach słowiańskich odzyskał.

Ród wielki poszedł w niwecz, a krew podłych  
Nie wykupiła kraju od niewoli.

JARMIŁA.

Czemuż w kolebce już nas bogi karzą,  
Choć ani myśli złej w sercu nie było?  
Za cóż nie dały mi znać dziada mego,  
A nawet ojca i miłej rodziny?  
Czy mi przynajmniej one dadzą kiedyś  
Zobaczyć u nas wolność?

SWANTAWA.

Slepa jestem,  
Lecz duch mój w przyszłość daleko zabiega!  
Zaginie ród nasz, jak te płonki marne,  
Co giną, kiedy wicher dąb obali,  
Który osłaniał je; on był tym dębem:  
Drugi się taki nigdy nie urodzi.

JARMIŁA.

Nigdyż już lepiej nie będzie na świecie?

SWANTAWA.

Ach! przyjdą takie czasy, gdy ostatni  
Słowianin wyprze się ojczyźnej wiary,  
Bogi się zamkną w niebie, a my będziemy  
Tak jako Niemcy ludem wiarołomców,  
Grabieżców, podłych niewolników: w końcu  
Niemiec wygładzi wszystkie ludy wkoło,  
A wtedy będzie koniec świata!

JARMIŁA.

Babkol

O! nie wróż, nie wróż tak strasznej przyszłości.  
Nie, powiedz raczej: wolność bogi wróca.  
Jest dosyć ludzi, aby ją wywalczyć.

*(z głębi wchodzi Żeliszaw).*

Jeżeli mężów zbraknie, to niewiasty  
Do ręki wezmą broń!

## Scena 2.

SWANTAWA—JARMIŁA—ŻELISŁAW.

ŻELISŁAW.

O, siostró miła!

Niewiasty pójda wdzięczyć się do wrogów,  
Którzy im ojców i braci wybili.

JARMIŁA.

Zkąd ci te ostre słowa?

## ŻELISŁAW.

Jedynaczka,  
Sławnego wodza córa, wszakże była  
Cesarza Niemców nałożnicą. Dzisiaj  
Wnuk Gościwita stoi przed ołtarzem  
Obcego Boga, i w modłach Go błaga,  
By plemię dziada do szczętu wygładził <sup>1)</sup>.

## SWANTAWA.

Hańba i klątwa jasnowłosej dziewie!  
Piękniejszej od niej w ziemi tój nie było.  
Ach! opuścili nas bogi; inaczej  
Stary wódz byłby tam w raju wyprosił,  
By ziemi taki wnuk stopą nie tykał.

## ŻELISŁAW.

Ileż-to cudnych dziew poszło w objęcia  
Tych, którym winny nienawiść, nie miłość.  
Nie żal im było rozstać się na zawsze  
Z ojcami, braćmi swymi; bo już nigdy  
Do nich nie wróca—i po śmierci pójdą  
Z Niemcami—tu i tam ich niewolnice <sup>2)</sup>.  
Niewieście serca słabe, więc z uśmiechem  
Na zdradę nawet przystaną.

## JARMILA.

Stój, bracie!  
Jest jeszcze wiele takich, co dla Niemca  
Prócz nienawiści nic nie znajdują w sercu.

## ŻELISŁAW.

Oby niewieście łona wykarmiały  
Ojczyźnie wiernych do ostatka synów!  
Jeżeli dłużej tak potrwa, to całkiem  
Lud znikczemnieje w niemieckiej niewoli.  
W świątyni boga Niemców tłum przelekły  
Powtarza dziwne mnichów słowa; w zamku  
Najpierwszych rodów dzieci, margrafowi  
Pokłony biją korném czołem.—Babko!  
Jeśli to jeszcze potrwa, zapomnimy,  
Iż na tój ziemi wprzód inaczej było. (*Wchodzą Mojmir i Szebor*).

<sup>1)</sup> Arcybiskup moguncki Wilhelm był synem pobocznym Ottona W., z matki Słowianki ze znacznego rodu. *De matre quamvis captiva et Sclavonica, tamen nobili et ex rege predicto genitus*, mówi o nim Dytmars mersebur-ski, l. II, c. 22.

<sup>2)</sup> Słowianie za pogańskich czasów wierzyli, że umierający w niewoli, i na tamtym świecie wolności osobistej nie odzyszczą, i dawnym panom służyć muszą.

## Scena 3.

Ciz—MOJMIR i SZEBÓR.

MOJMIR.

Widziałeś, gościu, ucisk nasz; wszak w każdym  
 Domu słyszałeś tylko skargi, żale;  
 Wiész więc, że łatwo będzie lud poruszyć,  
 Jeśli choć rąbek zamignie nadziei.

SZEBÓR.

Widziałem. Teraz błogosławię bogów,  
 Że nas od Niemców odgrodziły wałem  
 Bagien i puszczy<sup>1)</sup>.

MOJMIR.

Zbyt nie ufajcie temu;  
 Gdy z piekła wyjdzie mróz<sup>2)</sup>, to sprzymierzeńców  
 Swych po lodowym moście przeprowadzi;  
 Za złoto kupią zdrajców, co pokażą  
 Drogię przez puszcze nieprzebyte.

SZEBÓR.

Nie wiem,  
 Czyliby margraf sam chciał nas zaczepiać.

MOJMIR.

Niemiec żarłoczny, jak wilk w śnieżną porę;  
 Chciwości jego granic nie połóży  
 I morze samo: niedarmo dziś ściąga  
 Oreżnych męzów zewsząd; a i Wichman,  
 Co dziś Pomorzan przeciw wam podburza,  
 Z pewnością w zmowie z margrafem.

ŻELISŁAW.

Więc po cóż  
 Czekać, aż Gero chytrze was osidli?  
 Uprzedźcie lepiej wroga: tu go zwalczycь  
 Przyjdźcie coprędzej.

SZEBÓR.

Sądzę, że nasz książe  
 Nieda na siebie czekać. Czas mi wracać.  
 Bywajcie zdrowi!

MOJMIR.

Siądź jeszcze, na drogę

<sup>1)</sup> Pomiedzy ziemiami Polabian i Polanów rozciągało się długie pasmo bagien i puszczy, co Niemcom napady na kraje polskie utrudniało.

<sup>2)</sup> Mróz wraz z zimą w mitologii słowiańskiej liczył się do bóstw piekielnych.



Musisz pokrzepić się u nas.—Jarmiło!  
Przynies nam miodu; no, żwawo! (*Jarmiła wychodzi*).

Dopóki

Złoty sok z nieba spada w kwiatów łono,  
A z kwiatów pszczoły do ulów go znoszą;  
Póty nie będziem jako Niemiec szukać  
Krwawego wina pod gorętszém słońcem.  
Siadaj w tym kącie: on nam zawsze święty,  
Chociaż obrazu bogów już w nim niéma <sup>1)</sup>.  
(*Siadają przy stole; Jarmiła przynosi dzban miodu i kubki*).

MOJMIR.

(*nalewa i podnosi kubek w górę*).

Ta pierwsza czasza bogom się należy:

(*Wylewa kilka kropel na ziemię*).

Cześć wam, bogowie. (*do Szebora*): Za pomyślność waszę!  
Polanie przyjdźcie do nas co najrychlej!

SZEBÓR.

Niechaj bogowie ziszczą wam życzenia!

MOJMIR.

Powiedz więc księciu, że słuhać go będziem,  
Równie jak jego własny lud. Byleby  
Mieczysław nie chciał pędzić nas, jak Niemcy  
Pędzają swoje zgraje; byleby przytém  
Nie bronił słowa wolnego na wiecu;  
To zapomnimy, żeśmy kiedyś mieli  
Z własnego rodu książąt.

(*Wchodzi sługa i szepcze do ucha Mojmirowi, po czém wychodzi*).

Gościu drogi!

Dziś nam niewolno nawet gościnnymi  
Być w domu własnym. Pachołki margrafa  
Kręcą się blisko, snadź cię szukają.  
U zwierza w lesie szukaj gościnności:  
Tam ci bezpieczniej, niż u nas.

SZEBÓR (*wstając*).

Czas wracać

Do domu. Dzięki wam za słodki napój.  
Niech za to w sercach zostanie wam słodka  
Nadzieja.

1) W lewym kącie naprzeciwko drzwi wchodowych, pogańscy Słowianie zawieszali posąжки bogów, przed któremi lampka się paliła; ztąd też kąć ów uważano za święty nawet wtedy, gdy przed przesładowaniem ze strony chrześcian, posąжки usunąć należało.

MOJMIR.

Gościu, słuchaj, bądź ostrożny:  
Idź lasem, brzegiem bagien, a nie drogą;  
Na drogach czycha zbójca, lub szpieg gorszy  
Od najkrwawszego zbója.

SZEBÓR.

Mniejsza o to!

MOJMIR.

Wiemy, że śmiałość to Polanów znamię,  
I ostrożności wróg was nie nauczył.  
Wierz mi: wilk, niedźwiedź, ryś, nawet rusałka,  
Co się na drzewie kołysze, mniej straszne,  
Niżli zły człowiek. (*do Żelysława*): Synu mój, wyprowadź  
Gościa do lasu, niech go który z naszych,  
Co drzewo rąbie, poprowadzi dalej  
Aż do ostatniej kryjówki. (*do Szebora*): Tam znajdziesz  
Tych, co przenieśli wolność w leśnej gęstwie  
Nad niewolnictwo w domu; tam kapłani  
Ofiary bogom kładą bez przeszkody <sup>1)</sup>.  
Z męzów tych będzie pierwszy zastęp, bracie.  
Ty, Żelysławie, wracaj prędko: słyszysz?  
Twa nieobecność zbudzi podejrzenie:  
Na podejrzenia jeszcze czas.

(*Szebór i Żelysław wychodzą drzwiami w głębi*).

## Scena 4.

SWANTAWA—JARMILA—MOJMIR.

MOJMIR (*do Swantawy*).

O! matko,  
Ciesz się, bo wkrótce przyjdzie czas, że pomścim  
Naszego ojca, braci: znów na starość  
Poczujesz powiew wolności.

SWANTAWA.

Więc bogi  
Budzą się ze snu; więc już zapalają  
Pogasłe gromy swój sprawiedliwości?  
Nie, nie: nie cieszcie się przedwcześnie, dzieci.  
Już opłakałam zgon najdzielniejszego  
Męża, wolności stratę; już wygasłe  
Oczy jój nigdy więcój nie obaczą.

<sup>1)</sup> W kronikach są liczne świadectwa, że w czasach gwałtownego apostołstwa w ziemiach Polabian, gorliwi zwolennicy pogaństwa wraz z posągami bogów kryli się w głębi lasów.

Nie, nie; napróżno się zerwiecie: plonem  
Waszym nie będzie zwycięstwo, lecz cięższy  
Upadek. Obcy Bóg wzmaga się w siłę,  
Nasze bezwładnie ręce opuściły!

MOJMIR.

Czczymy cię, matko, wszyscy; lecz niemądrze  
Wystraszać z młodych odwagę przed czynem:  
I tak zawiele jój nie będzie.

(*Stukanie do drzwi*).

Niemcy!

Przez bogów, idźcież ztąd!

(*Swantawa i Jarmiła odchodzą na prawo*).

Hej, już są kruki!

Tylko poczuły zapach!

GŁOS (*za drzwiami*).

Hej! otwórzcie!

(*Mojmir otwiera drzwi, wchodzi Ekwart i czterech żołnierzy*).

## Scena 5.

MOJMIR—EKWART—ŻOŁNIERZE.

MOJMIR.

Drzwi mych przed nikim nigdy nie zamykam,  
Czyli kto z dobrą, czy złą myślą wchodzi.

EKWART.

Gdzie jest ten obcy?

MOJMIR.

Który?

EKWART.

Nie zaprzeczaj!

Widziano dobrze, iż tu wchodził z tobą.

Gdzie on jest?

MOJMIR.

Poszedł już.

EKWART.

Dokąd?

MOJMIR.

Nie wiemy.

EKWART.

Kto to był?—powiedz.

MOJMIR.

Nie wiem. Nieznajomych

Gościnnie zawsze w domu przyjmujemy,  
I nie pytamy: kto? zkąd? dokąd idą?

EKWART.

Nic nie ukrywaj; my już wiemy wszystko:  
Obcy włóczęga ten miał złe zamiary.  
Przynajmniej powiedz, w którą poszedł stronę.

MOJMIR.

Nicznych nigdy nie śledzimy kroków,  
Tém więcej gości naszych.

EKWART.

Chytry człeku,  
Możesz go ukryć? W margrafa imieniu,  
Każe ci prawdę mówić. Milczysz? Słuchaj!  
Znasz białą wieżę w zamku? Jeśli tutaj  
Zwodzić nas zechcesz złudnemi słowami,  
To tam cię pytać będziem. Znasz tę wieżę?

MOJMIR.

Zamęczyliście tam już niejednego.  
Kto wyszedł, hańbę ztamtąd wyniósł wieczną,  
Lub choć niewinny przyznał się do zbrodni,  
Jakich nie było nawet w myślach jego.

EKWART.

Wiesz więc, co czeka cię, gdy będziesz kłamał.  
Ha, lud uparty! gdyby nie ta jama,  
Byłoby nazbyt trudno rządzić wami.

MOJMIR.

Książęta nasi przed laty nie znali  
Ciemnic, ni kajdan, a rządzili nami  
Daleko dłużej, niż wy.

EKWART.

O! szalenil

Wam ciągle w myśli minione już czasy,  
Gdy władza była dla was cczą igraszką.  
Za książąt wszakże był swar tylko ciągły,  
Niepokój, rozruch: dziś w ziemi téj cicho.  
Czyliż porządek nie nam zawdzięczacie?  
Prawda? sam powiedz.

MOJMIR.

Tak, król miłościwy,  
Gdy ułaskawi zbójcę lub złodzieja,  
Nam go przysyła na porządku stróża.

EKWART.

Milcz, siwobrody łotrze, nie przymawiaj!  
Gdyby mi nie był margrafa syn zlecił,

Aby łaskawie obchodzić się z wami,  
To na szatana...

MOJMIR.

Czegóż więc żądacie?

EKWART.

Wyznaj, psie podły, ukryłeś obcego?  
Słyszysz? mów?

MOJMIR.

Nie!

EKWART.

Nie?

MOJMIR.

Przetrząśnij dom cały.

EKWART.

Hej, idźcie, bracia, przepatrzyć te kąty,  
A baczność! *(Żołnierze wychodzą na prawo).*  
Słuchaj, jest ten młody w domu?

MOJMIR.

Kto? o kim mówisz?

EKWART.

No, wnuk tego wilka,

Co zdechł przed laty.

MOJMIR.

Na zamku w gościnie,

Zamordowany zdradziecko.

EKWART.

Do czarta,

Przymówki twoje! Mów! gdzie on?

MOJMIR.

Tu w domu

Niéma go dzisiaj.

EKWART.

Ha, pogańskie dusze,

Niechaj mię pierwszy gad ukąsi w nogę,

Jeśli nie służy on za przewodnika

Włóczędze temu. Ha, wykrętne łotry!

Jak wróci, niech się zaraz stawi w zamku,

Inaczej sami po niego przyjdziemy.

*(Żołnierze wracają drzwiami na prawo).*

Cóż?

ŻOŁNIERZ.

Przejrzeliśmy wszystkie domu kąty,

Niéma nic, oprócz dwu płaczących niewiast.

## EKWART.

Z nich jedna piękna jako dzień majowy.  
 Słuchajno, powiedz, czemu więzisz w domu  
 Zadrośnie, jakby smok w zaklętej jamie  
 To piękne dziewczę? Przyszlij je do zamku.  
 Niechaj nam śpiewa. Wy umiecie śpiewać,  
 Ze wam nie byle ptak sprosta <sup>1)</sup>. Niech śpiewa,  
 My za to złota nie pożałujemy.  
 Może ją który z naszych uszczęśliwi,  
 Wybrawszy na swą miłośnicę. *(do żołnierzy)* Chodźmy!  
 Namyśl się, radzę; a kiedy ten młody  
 Powróci, niech się zaraz stawi w zamku.  
*(Ekwart z żołnierzami wychodzą drzwiami w głębi).*

## Scena 6.

MOJMIR *(sam)*.

Niszcząca burza, ogień, głód, zaraza,  
 Nie takie straszne jako odwiedziny  
 Tych Merseburskich łotrów <sup>2)</sup>. Mocne bogi!  
 Ci nikczemnicy, coby pohańbili  
 Stryczek, na którym wisieć dawno winni;  
 Ułaskawieni zbójcy, gwałciciele,  
 Złodzieje; z całych Niemiec najpodlejsze  
 Wyrzutki, dziś są stróżami pokoju,  
 Nad nami dzierżą władzę. Snadź na oścież  
 Rozwarło piekło bramy, by wypuścić  
 Na nas potwory wszystkie. Krótką tylko  
 Bawili tutaj chwilę, a już czuję,  
 Jakbym opluty był od stóp do głowy.  
 Godzino zemsty, o, nadejdz czempredźej!  
 Zleć, zleć na skrzydłach najchyźszego ptaka.  
*(Swantawa i Jarmiła wchodzą drzwiami na prawo).*

## Scena 7.

MOJMIR—SWANTOMIR—JARMILA—*(potém)* SŁUGA.

JARMILA.

Stryju! Żelisław ma stawić się w zamku!  
 Niechaj ucieka lepiej!

<sup>1)</sup> Pochopność Słowian do śpiewu i tańca znaną była od najdawniejszych czasów.

<sup>2)</sup> Witukind powiada, że Henryk (zwany Ptasznikiem), skoro dostrzegł złodzieja lub rozbójnika silnej budowy ciała, zdolnego nosić oręż, uwalniał go

SWANTAWA.

Biada temu,  
Na kogo chociaż podejrzenie padnie;  
Nie ujdzie kary, choćby był niewinnym,  
Jak dziecię tylko co zrodzone.

JARMILA.

Stryju,

Co mamy czynić?

*(Wchodzi sługa i szepcze do ucha Mojmirowi—do sługi).*

Powiedz, powiedz głośno.

Na twarzy twojej przestrasz; co groźnego  
Masz donieść? mów!

SWANTAWA.

Mów!

SŁUGA.

Gdy Żeliszław wracał,

Na drodze spotkał żołnierzy Ekwarta.  
Ci go powiedli ze sobą.

MOJMIR.

Widziałeś

Sam? czy kto inny?

SŁUGA.

Na me własne oczy.

*(wychodzi).*

JARMILA.

Zginął!

SWANTAWA.

Bogowie już nas opuścili!  
Godzina zemsty jeszcze jest daleka,  
A wilk już dusi ostatnie jagnięta.

MOJMIR.

Bądźcież spokojne: znacie Żeliszława,  
Męczarnia żadna z niego nie wycisnie  
Przyznania; Margraf musi go wypuścić.

SWANTAWA.

Jeśli nie siła, nic go nie zniewoli.  
Ze szpon jastrzębich nie wydrzesz zdobyczy,  
Chyba go strzałą dościgniesz w obłokach.

MOJMIR.

Nie czas na żale: otrzyjcie łzy z oczul

---

od kary i osiedlał na przedmieściu miasta Merseburga, dając mu oręż i ziemię i obowiązując do walki ze Słowianami. Z ludzi tych powstała legia Merseburgska, która Słowianom nieraz dała się we znaki.

Żalem i łzami nie pomódz biędnemu,  
 Tu trzeba działać ostrożnie a chytrze.  
 Może się jaki sposób da wymyślić,  
 By go ocalić. Odwagi! nie płaczcie!  
 Pójdę naradzić się z starszymi: matko!  
 Gdy dobrej myśli skąpią nam bogowie,  
 Może się ona w cudzej zrodzi głowie.

(*Wychodzi drzwiami w głębi—Swantawa i Jarmiła wychodzą na prawo*).

## ZMIANA DEKORACYI.

(*Las—na przedzie obalone drzewo*).

### Scena 8.

ABO (*wchodzi z łukiem w ręku*).

Wolałbym siedzieć w zamku, patrząc w oczy  
 Pięknej Germanki, niż jej męża śledzić  
 Po gęstych lasach, gdzie się spotkać mogę  
 Z niedźwiedziem, wilkiem, albo w końcu z którym  
 Z tutejszych ludzi, co w domowych ścianach  
 Dość już do dzikich zwierząt są podobni.  
 No, lecz im więcej stwierdzą pewność zdrady  
 Nieobacznego małżonka, tém prężej  
 Zazdrosna żona upadnie w objęcia  
 Włoskiego giermka. Wy, dumni Germanie,  
 Co zgnębiliście nas—nas, niegdyś panów  
 Całego świata; co ledwie nas macie  
 Za godnych nosić oręż poza wami,  
 Wicież, wy pyszni, iż małżonki wasze  
 I córę mszczą się za nas? Nie wam dała  
 Przyroda kruczy włos, palące oko,  
 Nie wasze lica nęcą wzrok niewieści.  
 Wy macie twarde pięście, lecz najtwardszą  
 Nie rozbijecie niewieściego serca.  
 Ono upada jak dojrzały owoc,  
 Nie wam, lecz u nóg wzgardzonego Włocha.

(*Wchodzi w głębi—z lewej strony wchodzi Jarmiła*)

### Scena 9.

JARMIŁA.

On jeden tylko może dać mi radę,  
 Pocięchę choćby, wszakże bez pociechy  
 Nigdy nie puścił mię. Może nie przyjdzie  
 I wrócę biędna z większym jeszcze smutkiem?  
 Mogę mu jednak ufać, kiedy nie wiem



Kto on? O! bogi, jakżeż to szalenie  
 Tak łatwo zwierzyć serce, gdy on nawet  
 Imienia swego nie zwierzył. A jeśli  
 To jest zły człowiek? zbójca? Niemiec może?  
 Pocóż się dręcę przypuszczeniem takim?  
 Nie! niepodobna, nie! Jakżeż on piękny!  
 Snadź go rusałki w nadpowietrznym zamku  
 Chowały: lica takiego, tych oczu  
 Bogi złym ludziom nie dają. Gdy kryje  
 Inię swe, jakiś ważny w tém ci powód.  
 Z pewnością jest on z rodu naszych książąt,  
 Z tych co przenieśli wolność w dzikiej puszczy  
 Nad wymuszoną uległość. Tam, mówią,  
 Za nieprzebytą gęstwina się skryły  
 Bogi, a z nimi wierni do ostatka.  
 Powrócić mają kiedyś i wypędzić  
 Obcego Boga i wrogów. Ty także,  
 Powrócisz z nimi nieznajomy, drogi,  
 I tajemnicę blask chwały rozświeci.

*(Siada na zwaloném drzewie).*

Tymczasem Margraf zdusi nas bez wieści,  
 Nim spodziewani zbawcy z swój kryjówki  
 Wyjdą. *(Słychać gwizdnięcie w głębi za drzewami).*

Ach! to on!

*(Z głębi zpoza drzew wchodzi Zygfryd z łukiem w ręku).*

## S c e n a 10.

JARMILA — ZYGFRYD.

ZYGFRYD.

Jesteś tu: już weszłaś,  
 Poranna zorzo, wpośród cieniów puszczy?  
 Cóż? nie powitasz żadném słodkiem słowem?  
 Jakto? na kwiatku moim błyszczą rosa?  
 Zkąd te łzy?

JARMILA.

Łzy nie płyną, jeśli serce  
 Nie boli.

ZYGFRYD.

Czytam na licach zwierzenie.  
 Mów, co cię boli.

JARMILA.

Mogę ci zaufać,  
 Gdy ani nie wiem, kto jesteś?

ZYGFRYD.

Więc łatwiej  
Zawierzyć serce, niżli tajemnicę?

JARMIŁA.

Czego przedemną kryjesz twoje miano?  
Nie, nie ciekawość niewieścia, lecz serce  
Rozedrzeć pragnie zastonę. Ach! nieraz  
Na przypuszczenia zdrzę cała; nieraz  
Myślę, czyś czasem nie Niemiec.

ZYGFRYD.

O! droga,  
Porzuć te myśli. Mój los tego żąda,  
Aby imienia mojego do czasu  
Nie powtórzyło nawet puszczy echo.

JARMIŁA.

Nie mów więc, nie chcę słyszeć go; nic nie mów!  
We wrzosie może kryć się ucho szpiega.  
Snadź sprzymierzony Niemiec ze wszystkimi  
Biesami <sup>1)</sup>, które krążą niewidzialnie.  
Nieraz zamysły, których nie usłyszał  
Nikt, chyba duchy, jakieś złe doniesie  
Do uszu wrogów i niespodziewanie  
Grom kary z zamku Margrafa wypada.

ZYGFRYD.

Jarmiło! co ty mówisz?

JARMIŁA.

Dziś naprzykład  
Spokojnie było w naszym domu, tylko  
Gość jakiś obcy nawiedził nas z rana  
I poszedł dalej; brat go wyprowadził,  
By mu pokazać drogę. Wkrótce potem  
Żołnierze z zamku powlekli go z sobą  
I już nie wrócił.

ZYGFRYD.

Kiedy Margraf pozna  
Prawdę, uwolnić każe go z pewnością.

JARMIŁA.

Jeśli się dowie prawdy — biada! zginął!  
O! nie był to gość zwyczajny; nie pytaj!  
Zwiędłemu nawet nie śmiałabym zwierzyć  
Listkowi, kto był ten obcy. Nie, nigdy!  
Wiatrby go zaniósł do zamku Margrafa,

<sup>1)</sup> Oprócz dobrych bogów, Słowianie pogańscy przyjmowali złych, zwanych *biesami*, którzy mieli moc szkodzenia ludziom.

A wtedy biada memu bratu!

ZYGFRYD.

Droga!

O, wiem, domyślam się. Był to wysłaniec  
Ktoregoś z obcych książąt, by pobudzić  
Was do nowego powstania. Szaleni!  
Czyż doświadczenia mało wam, że każde  
Powstanie większy tylko ucisk ściąga?

JARMILA.

Nie mów tak, nie mów! mówisz jakby Niemiec,  
Lub jak trwożliwiec. Nie możemy poddać  
Jak bydło karku pod obuch topora.  
I u nas przecie była kiedyś wolność  
I nie byliśmy zawsze tém, co dzisiaj.  
Ty nie wiesz, dziad mój, sławny w kraju żupan,  
Wielkiemu niegdyś przewodził rodowi:  
Dzisiaj my z niego nędzny tylko szczątek.

ZYGFRYD.

Nie wracaj, piękne dziewczę, oczu w przeszłość,  
Gdy ci się przyszłość śmieje. Stare dęby  
Padają w końcu pod ciosami siekier.  
Latorośl młoda może długo kwiatów  
Ozdobą cieszyć się, nim tak wyrośnie,  
Że o nią topór się pokusi.

JARMILA.

Nie nam,

Nadzieją złotą łudzić się: w niebiosach  
Na ród nasz wyrok zguby już wydany.  
Gdy upadł dziad nasz, ojciec, dęby mocne,  
Któż młode płonki przed wichrem zastoni?  
W zamkowej brata zamęczą ciemnicy,  
A mnie, mnie biedną srogi żal utrafi.

*(Zakrywa twarz rękoma).*

ZYGFRYD.

Cóż miałaś zwierzyć mi?

JARMILA.

Czy nie słyszałeś?

ZYGFRYD.

Że brat w więzieniu?

JARMILA.

Mamże go opuścić?

Dwa ptaki, w jedném wychowane gnieździe,  
Bronią się wzajem kruchemi dziobkami;

Czyż więc zawistna dola nie pozwoli  
Siostrze ocalić rodzzonego brata?

ZYGFRYD.

Czém mu pomożesz?

JARMIA.

Gdybym była mężem,  
Pokusiłabym się choć mur wyłamać.  
Gdybym choć była jak inne niewiasty,  
Wyprosiłabym go mojémi łzami;  
Lecz mnie niewolno: z mego rodu wszyscy  
Umieli ginąć tylko, lecz nie gięli  
Błagalnie kolan; nikt z nich nie był w zamku,  
Raz jeden tylko...

ZYGFRYD (*przerywa*).

Nie chodź tam wcale!

Nie wysłuchają tam prośby niewieściej.

JARMIA.

Ach, zginął brat mój biędny!

ZYGFRYD.

Nie rozpaczaj!

Chowaj nadzieję w duszy choć do jutra.

Jeżeli siły ludzkie coś zdołają,

Téj nocy jeszcze brat do domu wróci.

JARMIA.

Tyż to więc sprawisz?

ZYGFRYD.

Nie pytaj, Jarmiło.

JARMIA.

Na obietnicę samę już nie znaję

Słów na podziękę. (*Abo przesuwaa się w głębi*).

Cóż to? Cóż tak drgnąłeś?

ZYGFRYD.

Zda mi się, ludzkie kroki zasłyszałem.

JARMIA.

Zwierz chyba ruszył się.

(*Z prawej strony słyhać głos rogu za sceną*).

ZYGFRYD.

Czas się rozejść;

Nadchodzą ludzie, przed natrętnym wzrokiem

I puszcza dwojga kochanków nie skryje.

JARMIA.

Bądź zdrow! (*Odchodzi na lewo*).

ZYGFRYD (*za odchodzącą*).

Łzy otrzyj z oczu; miej nadzieję

Do jutra chociaż, a przyjdź tutaj jutro.

(*Z prawej strony wchodzi Herman i Giunter z łukami, kołczanami strzał i rogami przy boku*).

## Scena II.

ZYGFRYD—HERMAN—GIUNTER.

HERMAN.

Kto tam?

ZYGFRYD.

Hej, kto wy?

GIUNTER.

Patrz, graf Zygfryd! Witaj!

ZYGFRYD.

Witajcie druhy!

HERMAN.

Co tu robisz w lesie?

ZYGFRYD.

Co? pytasz? za mnie łuk mój ci odpowie.

HERMAN.

Że się nie boisz błądzić sam po puszczy?

ZYGFRYD.

Czego?

HERMAN.

Dzikiego zwierza, albo jeszcze  
Gorszego stokroć potkać Słowianina,  
Coby na tobie wywarł swą nienawiść,  
Jaką ku Niemcom żywi.

ZYGFRYD.

Mężem jestem!

Broń mam na zwierza i na złego człeka.  
Przytém Słowianie wcale nie są skłonni  
Do zradnych zabójstw.

GIUNTER.

Na wszystko się waży

Poganin, który Boga się nie boi.

ZYGFRYD.

Mało znasz Słowian.

HERMAN.

Wszystkim to rzecz dziwna,

Że ty się jeden stawiasz ich obrońcą,  
Kiedy ich wszyscy zgodnie potępiają.

GIUNTER.

Znać to, żeś dzieckiem nie twój matki łono,  
Ale słowiańskiej ssał pierś niewolnicy.

ZYGFRYD.

Snadź obce mléko złagodziło w żyłach  
Krew mą germańską. W pacholejących latach  
Przywykłem rzadko widzieć w domu ojca  
I mych orężnych braci; więc ta mowa,  
Co od dzieciństwa brzmiała w moich uszach,  
Zda mi się bardziej dźwięczną niż niemiecka.  
Jęk uciśnionych ścisła w piersiach serce.  
Kiedy z wyprawy powracają nasi,  
Zwycięstwa chwała nie tyle mię cieszy,  
Ile zasmuca widok jeńców biędnych,  
Których niewola czeka.

HERMAN.

Te zwycięstwa  
Twojemu ojcu dały sławę, władzę;  
Na ciebie także zleją blask świetności.

ZYGFRYD.

Grzeszę przeciwko rodzonemu ojcu,  
Lecz nieraz myślę sobie, że nie wszystko,  
Co czynił Margraf, przed Bogiem jest czyste.  
Z bojaźnią zawsze wchodzę w progi sali,  
Gdzie się ów straszny spełnił mórđ, bo czuję,  
Że tam zostało coś, co wołać będzie  
O straszną pomstę.

HERMAN.

Nie wspominaj nawet  
Trzydziestu owych zdrajców; wszakże oni  
Czychali skrycie na Margrafa zgubę:  
Że ich uprzedził, słuszna.

ZYGFRYD.

Lecz jeżeli  
To potwarz, na ich pamiątkę rzucona;  
Wymówka, żeby osłonić czyn taki,  
Co się oczyścić nie da? Pismo mówi:  
Uderz pasterza, owce się rozproszą.  
Wszak oni byli pasterzami ludu!  
Gdy ich niestało, lud jak błędne owce  
Dał się zapędzić w niewolą.

GIUNTER.

Przywyknąć  
Nie mogą jeszcze do niemieckich rządów.

ZYGFRYD (z gorzyczą).

Więc bezustanku trzeba krwią im bryzgać  
W oczy, powrozem katowskim potrząsać,  
By słuchać chcieli?

HERMAN.

Kiedys będziesz, grafie,  
W przyszłości rządził tą krainą całą.  
Wtedy łaskawe rządy im nagrodzą  
Dzisiejsze wszystkie cierpienia.

ZYGFRYD.

W przyszłości?  
Nie zwracaj nigdy myśli mych w tę stronę.  
W przyszłości widzę tylko jakiś straszny,  
Niespodziewany cios... Krew za krew, mówią.  
Abraham musiał niegdyś własne dziecię  
Na stos ofiarny złożyć.

HERMAN.

Takie czarne  
Myśli, młodzieńczej nie przystoją duszy.

ZYGFRYD.

Dajmy przyszłości pokój. Gdy tu błędę  
I słucham śpiewu ptaków, zwierza gonię,  
Teraźniejszością szczęścia pierś oddycha  
I dość mi na tém. Jutra z zamkniętymi  
Oczyrna czekam.

HERMAN.

Jeżeli nam wolno  
Wyjawić głośno nasze podejrzenia,  
Powiem ci, że się domyślamy w twoich  
Wycieczkach jakiejś serca tajemnicy.

ZYGFRYD.

Zkąd podejrzenia te?

GIUNTER.

Bądź dla nas szczerym.  
Wierz, nie ciekawość, lecz życzliwa przyjaźń  
Zwierzenia żąda.

ZYGFRYD.

Drodzy przyjaciele,  
Wiem, wasze serca to jeziora fale;  
Co wam powierzę, utonie jak kamień.

Jezioro musi wyschnąć, nim się na dnie  
Kamień ukaże.

GIUNTER.

Możesz nam zaufać.

ZYGFRYD.

Więc podejrzenie prawdą: tak, w tym lesie  
Widuję dziewczę, do której me serce  
Przylgnęło całkiem.

HERMAN.

Kto ona, Zygfrydzie?

ZYGFRYD.

Córa jakiegoś upadłego rodu  
Ze krwi słowiańskiej. Wiele znajdziesz u nas  
Potężnych rodów sławnych i bogatych,  
Lecz nigdzie pewno nie znajdziesz tak słodkiej,  
Czystej i pięknej, szlachetnej dziewicy.  
Chciałbym przyrównać ją do róży, owjej  
Pani ogrodów: lecz róża to mało;  
Gdy liliowe wdzięki dodam jeszcze,  
Znajdą się nowe, co nowych porównań  
Koniecznie żądać będą.—Przyjaciele,  
Ona podobna do cudnego wieńca,  
Który się splata ze wszech najśliczniejszych  
Kwiatów, co pola i ogrody zdobią.

HERMAN.

Zygfrydzie, pomyśl jednak.

ZYGFRYD.

Wiem, co powiesz.

Żona, powinność, śluby przy ołtarzu!  
Nie mow mi o nich. Chcę zapomnieć o tém,  
Choć to grzech pewno. Ptak, na lep złowiony,  
Trzepece skrzydłem i ulecieć pragnie.  
Ale mnie miła ta serca niewola.  
Nigdy nie sądził, żeby miłość była  
Rozkoszą taką. Jeśli kres mój blizki,  
To mamże odejść, nie spełniwszy czary  
Najsłodszej w uczcie ziemskiego żywota?  
Czémże biesiada bez wina?—czém płąsy  
Bez różanego wianka?—czém byłoby  
Młodziana życie bez miłości?

HERMAN.

Strzeż się,

By cię przypadkiem tu kto nie podejrział



I nie odsłonił dziwnéj tajemnicy  
Twojemu ojcu, albo żonie twojéj.

ZYGFRYD.

Ja się nie lękam ojca—ale żona!  
Myśl sama o niéj z zamku mię wygania.  
W najgęstszej puszczy drzę na jéj wspomnienie,  
Jak biedny gołąb', gdy nad sobą w górze  
Sokoła zoczy. Oko jéj bystrzejsze  
Od najbystrzejszój żrenicy sokolój;  
Zda się, wzrok topi w głębiach mego serca  
I wnet wyczyta skrytą tajemnicę.  
Wiem, iż mi kiedyś lunie łez potokiem,  
Wyrzutów gradem osypie; rozdzierać  
Będzie mi serce gorzój niż szponami.  
Bojów nie lękam się, lecz drzę na samo  
Przecucie strasznej chwili téj.

GIUNTER.

Jednakże  
Związek niedawny jeszcze; wszak mu tyle  
Wrócono szczęścia.

ZYGFRYD.

Czemuż, gdy młodzieniec  
Popatrzy nieco miléj na dziewicę,  
Którą mu ojców życzenie wybrało,  
Już do ołtarza wiodą ich i łączą  
Węzłami ślubów, nie na szczęście życia,  
Lecz rodowego blasku pomnożenie?  
Samopas potém serce błądzi, wiodąc  
Duszę do grzechu.

GIUNTER.

Myśli te truć muszą  
Miłości rozkosz całą?

ZYGFRYD.

Mniejsza o to!  
Kto nie zna bólu, trwogi i tęsknoty,  
Prawéj w miłości nie zazna słodyczy.

HERMAN.

Zygfrydzie, cicho: ktoś nadchodzi. (*z głębi wchodzi Abo*).  
Abo!

## Scena 12.

Ciż i ABO.

ZYGFRYD.

Mów z nim: jak nocy nienawidzę Włocha.

Oblicze jego gładkie, lecz i węża  
Skóra tak gładka, aż błyszczą.

HERMAN.

Abonie,

Czego tu szukasz?

ABO.

Margraf mię posyła,  
Aby graf Zygfryd powracał do zamku.

ZYGFRYD.

Ojciec?

ABO.

I żona narzeka samotna,  
Że mąż przekłada łowy i gąszcz leśną  
Nad jej pieszczoty.

HERMAN.

U was może, Włochu,

Mężę gnuśniej w żon, albo miłośnic  
Objęciach: nam najmilszy oręż w dłoni.  
Gdy Germanowi braknie wroga w polu,  
Ćwiczy swe siły w walce z leśnym zwierzem;  
Milsze mu łosia róg lub wilka zęby,  
Niżli najbielsze niewieście ramiona.  
Wróćmy do zamku.

ZYGFRYD (*do siebie*).

W zamku czeka żona! (*wychodzą*).

## AKT II.

(Sala w zamku Gerona, w głębi zakończona filarami, poza którymi widać podwórze zamkowe, otoczone murem. Z prawej dwoje drzwi. Okno wielkie po lewej stronie, przed niem wielkie krzesło, na ścianach pęki różnej broni. Za odsłonięciem zasłony gromada rycerzy, żywą zajętych rozmową, napełnia salę).

### Scena I.

RYCERZE — później EKWART.

1 RYCERZ.

Jeśli wieść mamy wojnę z Polanami,  
Czemu ta zwłoka?

2 RYCERZ.

Przecież dobrze wiecie,  
Że do nich droga przez lasy i błota;  
Potrzeba czekać aż podeschnie trocha.

3 RYCERZ.

Jakoś przedwcześnie ciepło; snadź gorąco  
Modlą się słońcu, jako bóstwu swemu,  
Więc im przyświeca—na zbugę.

1 RYCERZ.

Tymczasem  
Poburzą naszych poddanych. W Łużycach  
Lud niepokoi się; i tu podobno  
Włóczęga jakiś kręci się cichaczem.

2 RYCERZ.

Ekwart go łowić poszedł. (*z głębi wchodzi Ekwart*).  
Cóż, Ekwarcie?

Jakieżes nowe zwierzę upolował?

EKWART.

To tylko szczeniak, gołą wzięty ręką;  
Wilczysko stare uszło mi do lasu.

3 RYCERZ.

Nie wydestaniesz go ztamtąd.

2 RYCERZ.

A z młodym

Coście zrobili?

EKWART.

Co?—do białej wieży,  
Jako do saku rybę wpuściliśmy;  
Siedzi tam jako rak w dziurze.

3 RYCERZ.

Ha, gdyby

Zamkowe lochy pozapełnić wszystkie  
Tą nędzną zgrają!

2 RYCERZ.

Trzebaby ich żywić.

Ot, lepiej zwołać żydów i w niewole  
Za dobre sprzedać pieniądze.

4 RYCERZ.

Te łotry

Niechrzczone, zamiast złota, nam gotowe  
Dać pozłacanęj miedzi <sup>1)</sup>.

2 RYCERZ.

Ha, to obwiesiel

My im uczciwy towar dalibyśmy,

<sup>1)</sup> W średnich wiekach pośrednikami w handlu niewolnictwem byli głównie żydzi, tak jak Słowianie głównym tego handlu towarem. Oszukiwanie za pomocą miedzi pozłacanęj nie było rzeczą rzadką.

Silnych i zdrowych chłopów, do roboty  
Jakby umyślnie stworzonych. Już chyba  
Lepiej ich oddać katu na zabawkę.

3 RYCERZ.

A niwy żyzne i te łąki piękne  
Osadzić naszym ludem: wtedy człowiek  
Miałby pohulać z kim.

1 RYCERZ.

Prawda, a teraz  
Nudź się tu w zamku, albo strzelaj ptaszki  
Na brzegu lasu, bo dalej łośtr jaki  
Może cię nagle pierzastą igiełką  
Ukłóc w pierś samę; ani się spodziewiesz,  
Jak cię Słowianin aż na śmierć zadrapie <sup>1)</sup>.  
(z pierwszych drzwi na prawo wchodzi Gero).

## Scena 2.

Ciż—GERO—później ZYGFRYD.

GERO.

No, cóż Ekwarcie?—pojmałeś włóczęgę?

EKWART.

Uszedł do lasu: ścigać go kazałem.

3 RYCERZ.

Powrócą z niczem, bo już co tam wpadnie,  
Tego czartowi nikt nie wydrze z garści.

GERO.

Urąga mi ta puszcza tuż pod moim  
Bokiem. Snadź w owój tajemniczój gęstwie  
Skrzyły się wszystkie szatany obrzydłe,  
Które Słowianie czcili jako bogi.  
Mniejsza o tego łośtra; byłem pewny,  
Że nie zaniedba Mieczysław podburzać  
Poddanych moich.

EKWART.

Jednego młodzieńca  
Przywiódłem z sobą; mam go w podejrzeniu,  
Iż towarzyszył wysłańcowi temu,  
W jego włóczęgach po krainach naszych.

<sup>1)</sup> W kronikach są liczne świadectwa, że pokonani Słowianie polabscy  
mścili się na zdobywczycy Germanach rozbojami i skrytobójstwem; było to coś  
w rodzaju *hajductwa* u południowych Słowian. Zobacz: Helmold, II, 14.

GERO.

Co to za jeden? (*z głębi wchodzi Zygryd i staje na boku*).

EKWART.

Ze dworu, co stoi

Zdała od innych.

GERO.

Zuchwałe to plemię!

Dziad ich żupanem był niegdyś.—Ekwarcie,  
Nakaż twym ludziom, żeby pilnie strzegli  
Słowian, a jeśli będą się tajemnie  
Zgromadzać, szemrać, wtedy tego głupca  
Powiesić w nocy na rozstajnej drodze,  
By zobaczyli go rano. Gdy na nich  
To nie podziąła, spalić wsie te wkoło,  
Niech się bez strzechy tułają po świecie;  
Każdy z nich będzie dla innych żyjącą  
Groźbą. (*do rycerzy*) Tymczasem gotujmy się wszyscy,  
Mieczysław może nadciągnąć niebawem;  
Jeśli nie przyjdzie, my go poszukamy.

(*wszyscy wychodzą, oprócz Gerona i Zygryda*).

### Scena 3.

GERO—ZYGFRYD.

GERO.

Jesteś, mój synu: nie widziałem ciebie  
Od rana.

ZYGFRYD.

Ojczy, jakież to okropne  
Słowa; jak straszne rozkazy trąciły  
Ucho me.

GERO.

Dziecko, wiesz ty, coto rządzić?  
Poczekaj, przyjdzie i na ciebie kolój;  
Łaskawie wtedy rządzić będziesz, synu,  
Jeżeli będziesz chciał i.... mógł.

ZYGFRYD.

Któż ręczy,  
Że mi po tobie cesarz da margrabstwo?

GERO.

Jeśli staremu Geronowi losy  
Pozwolą cel osiągnąć, nie będziesz  
Troszczyć się, jaka tam cesarza wola.

ZYGFRYD.

Jakto, mój ojczu? Nieraz przed oczyma  
Migasz jakiemiś widziadły przyszłości  
I ukazujesz zdala jakieś błyski,  
Co olśniewają, lecz i przerażają.

GERO.

Tak, przyzwyczajaj oko do tych błysków,  
Świetniejszy kiedyś będziesz blask oglądał.  
Dziś się nie kłopotz tęp, co ojciec robi;  
Myśl tylko, że te trudy, te rozkazy,  
Co cię tak rażą—dadzą ci... koronę.

ZYGFRYD.

Przecucia nieraz w duszy mi szeptały,  
Że to w twych myślach leży; lecz się bałem  
Takiego słowa z twoich ust. Ach, ojczu!  
Nie, ja korony nie chcę; ja się lękam  
Złotego węża, co skroń opasuje  
I lada chwila może ją uządlić.

GERO.

Jakżeś dziecinny, synu mój; czyż może  
Być większa rozkosz, jako rozkazywać  
Setkom, tysiącom, nie słuchając przytęp  
Niczyjój woli? Królować, Zygfyrdzie,  
Wszak to zadatek nieba na tęp ziemi;  
Bo cóż innego, jak nie królowanie  
Przyobiecano nam w niebieskiej chwale?

ZYGFRYD.

Więc mielibyśmy przeciw cesarzowi  
Podnieść bunt?—wierność złamać tyloletnią?  
Darmoż nazywa cię on najwierniejszym  
Ze wszystkich swoich sług?

GERO.

Czyż całe życie  
Mam niewolnikiem być jego? Niedosyć,  
Że jestem cudzym włodarzem na ziemiach,  
Zdobytych własnym orężem? Nie na to  
Przeżyłem tyle lat w bojach i trudach,  
By po mój śmierci któryś z ulubieńców  
Oddalonego pana, to zagarnął,  
Na com pracował tyle lat. Sam cesarz  
Pragnie po sobie zostawić następcą  
Własnego syna....

ZYGFRYD.

Ojczu, to okropne  
Królować z mieczem ciągle wydobytym

Przeciwko dawnym braciom, a zarazem  
 Groźbą i strachem władać innym ludem,  
 Który ciśniemy nogą. Ojczy, ojczy!  
 Przynajmniej bądźmy łaskawi dla przyszłych  
 Poddanych naszych: zakaż Ekwartowi  
 I jego zgrai, by ich nie dręczyła.  
 Puść dzisiejszego więźnia; i zawczasu  
 Skarb sobie miłość ich: niech panowanie  
 Nasze przywykną znosić dobrowolnie.

GERO.

Co? głąskać teraz, gdy przez mnogie lata  
 Srogości tylko ulegali? Synu,  
 Żelazem lud ten podbiłem i tylko  
 Żelazem mogę utrzymać w pokorze.  
 Nie mieszaj się do mych rządów: ty zczasem  
 Rozpocząć możesz dla nich przebaczenia  
 I łaskawości dni; teraz wiedz, synu,  
 Że im sroższemi będą moje rządy,  
 Temci spokojniej będziesz ty panował. *(odchodzi na prawo).*

## Scena 4.

ZYGFRYD *(sam).*

Nie, nie uwolnię go prośbą; nie, darmo—  
 A jeszcze zdradzę tajemnicę moję.  
 Innym go trzeba wyswobodzić środkiem.  
 Poco wysilać się w tak trudnej sprawie?  
 Czémże on dla mnie?—wrogiem, niczém więcéj.  
 Co mi do tego, że to brat Jarmiły?  
 Jeśli uwolnię go, to ona pozna,  
 Że jestem jednym z mieszkańców zamkowych  
 I wnet uleci, jak strwożone ptaszę,  
 Co nie powraca nigdy w miejsce owo,  
 Gdzie go spłoszono. Ha, może go lepiej  
 Zostawić własnej doli? Nie wypuszczę  
 Z ręki puharu, z którego dopiero  
 Pić rozpocząłem. Lecz, jeśli on zginie,  
 To żal zatrapia jego piękną siostrę;  
 Ta głowa, którą do piersi tuliłem,  
 Ku ziemi zwiśnie pod ciężarem smutku;  
 Z tych oczu, z których miłość wyzierała,  
 Łzy trysną gorzkie. Nie będę rozkoszy  
 Czerpać ze źródła, którem zmaćił. Losie,  
 Snadź mi wytrącasz puhar stokroć prędzej,  
 Niźlim się spodziać; kto wie, może także  
 Mojemu życiu przędzisz kres położysz?

*(zdejmuje łuk ze ściany, z drugich drzwi na prawo wchodzi Hatwiga)*

## Scena 5.

ZYGFRYD—HATWIGA.

HATWIGA.

Dopieroś wrócił z łowów: znów, Zygrydzie  
Wabi cię puszcza?—całe dnie w niej bawisz.

ZYGFRYD.

Mamże, Hatwigo, błąkać się beczynnici  
Wśród tych ponurych ścian?

HATWIGA.

Oddychać wolisz

Świeżem powietrzem lasów, wolisz ucho  
Napawać śpiewem pierzastych śpiewaków.  
Niewiasty jedne—tylko żona twoja—  
Na smutny żywot w murach tych skazane.  
Nieprawdaż, mężu? co?

ZYGFRYD.

Do czegoż zmierzasz?

HATWIGA.

Ach! pociąg wziął mię z ojcowskiego domu,  
Ztąd, gdzie płynęły dni młodości mojej  
Jak potok górski, co wesoło bieży.  
Tam, po orężnych ćwiczeniach, siadano  
Do uczt w gronie licznem i ochoczem.  
Wieczorem, pieśni i rozkoszne płasy,  
Przy hojnych światłach blasku, odkradały  
Długie godziny nocnej ciszy. Boże!  
Tyś widział, z jaką rozkoszną nadzieją  
Biegłam ślubować wiarę przy ołtarzu;  
I ani mi się nie marzyło we śnie,  
Iż te komnaty małżeńskie nie będą  
Przybytkiem szczęścia, ale grobem.

ZYGFRYD.

Pomyśl,

Żeśmy w zdobytą ziemi, i że ciągle  
Trzeba nam czuwać bacznie jak na straży.  
Nie dla tych płasy, ani krotochwile,  
Którym ustawnie nowa grozi walka.

HATWIGA.

Już dawno walki pokończylibyście  
I mogli, miecze do pochew schowawszy,  
Do uczt zasiąść i rozpocząć życie,  
Jakie zwyczajom jedynie przystoi...



ZYGFRYD (*przerywając*).

Ty chcesz nam radzić? mów więc.

HATWIGA.

Przecież margraf

To mąż nietylko waleczny, lecz razem  
Rozumny; wszak sam cesarz go podziwia,  
A tyś jest jego syn. Mamże ja młoda,  
Niedoświadczona niewiasta was uczyć,  
Was, mężów dzielnych i w polu i w radzie?

ZYGFRYD.

Cóż ty, niewiasto z szyderyczym językiem,  
Doradzić zdołasz?

HATWIGA.

Tyle lat rządzicie

Postrachem, grozą,—a słowiańskie chaty  
Aż pod sam zamek wasz się podsuwają,  
I drżeć musicie, wy, nieustraszeni,  
Skoro za bramę który głowę wytknie.  
W zamku jak w mniszym klasztorze, a w pole  
Ani wyjechać z sokołem na ptaki <sup>1)</sup>,  
Choć głosi cały świat, iż tu miecz włada  
I że podbici szczękają zębami  
Na samo imię Gerona.

ZYGFRYD (*szyderyczo*).

Więc, żono,

Cóż ty nam radzisz?

HATWIGA.

Wypędźcie te zgraje,

Ziemie oddajcie naszym—i upornych  
Niech miecz wytepi—a będziemy w zamku  
Żyć tak wesoło, jak w innych zakątkach  
Germańskiej naszej krainy.

ZYGFRYD (*surowo*).

Niewiasto,

Do miłosierdzia tyś powinna wołać,  
Nie do większego jeszcze okrucieństwa!  
Nieprzebaczonem grzechem taka srogość,  
Nieprzyrodzona w niewieście. Drżyj, nędzna,  
By Bóg jój w tobie nie skarał przykładem!

HATWIGA.

O! nie odwołuj się do Boga, pogan

<sup>1)</sup> Polowanie z sokołem było rozrywką, której kobiety nawet się od-  
dawały.

I bezbożników obrońco! Niebaczny,  
Czyż to nie grzeszna bronić tych, co tylko  
Krwi chrześcijańskiej pragną?

ZYGFRYD.

Patrz, Hatwigo!

Czemuż ja chodzę bezpiecznie po lasach,  
Choć się narażam wciąż na ich spotkanie,  
I dotąd mi się nic złego nie stało?

HATWIGA.

Nie żądaj wcale, żebym dochodziła  
Przyczyny; bo gdy zacznę kroki twoje  
Śledzić....

ZYGFRYD.

Nie waż się nigdy tego czynić.  
Za me postęпки odpowiem jednemu  
Bogu na niebie.

HATWIGA.

O, ja wiem, Zygrydziel

ZYGFRYD.

Co wiesz, Hatwigo? Milcz, nie wszczynaj sporów!  
Nie budź mi piekła w duszy! Ja nie zniosę  
Ni twych podejrzeń, ni wyrzutów twoich.  
(*Zawiesza łuk na ramieniu i wychodzi spiesźnie wgląd*).

## Scena 6.

HATWIGA (*sama*).

Zdradza mię, zdradza, to pewna — a jeszcze  
Chce stłumić groźbą ten wyrzutów potok,  
Jaki się gwałtem przez me usta ciśnie.  
Boże, mój Boże! czyż niewiasty życie  
Jest jako czara z ozłoconym brzegiem,  
Co wewnątrz same gorzkie męty mieści?  
Jakże mi życia poranek był słodkim  
U ojca w domu, gdzie się codzien nowy,  
Urodny młodzian zjawiał, by pozyskać  
Córę wielkiego rodu. Drżałam zawsze,  
Patrząc na klasztor, na ten grób za życia.  
Nie przeczuwałam, iż mi ślub gotuje  
Gorzéj niż klasztor, niż grób — bo więzienie.  
Czémże tu jestem? Towarzyszką chyba  
Służebnic. Gdyby głos mój mógł dolecieć  
Do ojca, braci, jakżebym wołała,  
By przyszli dołą mą zobaczyć.

(*Abd wychodzi z pierwszych drzwi z lutnią w ręku i chce iść wgląd*).

## Scena 7.

HATWIGA—ABO.

HATWIGA.

Abo!

ABO.

Czego, grafini, żądasz?

HATWIGA.

Co tu robisz

Z lutnią w ponurych murach tych? Czyż piosnka

Wesołym echem odezwać się zdoła

Tam, gdzie się tylko broni szcęk rozlega?

ABO.

Im smutniej duszy, tém piosenka miliej

Po sercu głaszcze; ona łzy ociera,

A nawet więźnia w ciemnicy pociesza.

HATWIGA.

Słuchaj, jeżeli umiesz taką piosnkę,

Co rozweselić potrafi smutniejszą

Od tych, co toną we łzach; nieszczęśliwszą

Od jęczącego w więzach: to zaśpiewaj.

Jeśli okaże swoją moc prawdziwie,

Dostaniesz dziesięć sztuk złota.

ABO.

Za piosnkę

Złotem nie płaci się, spojrzenie wdzięczne

To dostateczna nagroda, sowitsza

Niżli najcześniejsza kiesa.

HATWIGA.

Śpiewaj: słucham.

ABO (*śpiewa*).

Gdy opuści noc ku ziemi

Rąbek szarój swój zasłony,

Czekam ciebie utęskniony

Pod mirtami zielonemi.

Przyjdź, o luba, na mém łonie

Rozpaloném połóż głowę;

Do méj piersi przytul skronie:

Ustom usta daj różowe.

Chociaż noo się już rozgości

I ponury płaszcz roztoczy,

Będą świecić nasze oczy

Jako lampy dwie w ciemności;

Będą płonąć lica, skronie,  
 Serce drzeć w rozkoszném biciu  
 I prześnimy, splótszy dłonie,  
 Najpiękniejszą chwilę w życiu.

Kto miłości nie tknął zdroju  
 W młodocianej życia dobie,  
 Ten nie będzie miał pokoju,  
 Gdy po latach uśnie w grobie;  
 Nie o niebo wołać będzie,  
 Lecz o drugie ziemskie życie,  
 By nagrodzić....

HATWIGA.

Precz z taką pieśnią, precz; czemu mię drażnisz,  
 Zepsute dziecię południa? Twe piosnki  
 Przybyły z ziemi, gdzie w kielichach kwiatów  
 I w sercach ludzi trucizny się rodzą.

ABO.

Tam w mojej ziemi, słońce jaśniej świeci,  
 A serca żywiej biją, i miłością  
 Odpowiadają na miłość.

HATWIGA.

Zuchwalcze!

Gdybyśmy byli w zaku mego ojca,  
 Płaciłby kat, ci, za tę piosnkę twoję  
 I za twe słowa.

ABO.

Czémże obraziły

Piosnka i słowa moje?

HATWIGA.

Czem? ty pytasz?

Pocieszyć miałeś mię, a ty urągasz  
 Nieszczęściu memu.

ABO.

Czyżbym się ośmielił?

HATWIGA.

Kazałam śledzić ci mojego męża:  
 Cóż? czy spełniłeś mą wolę?

ABO.

Najmniejsze

Twe słowo, pani, jest dla mnie tak świętém  
 Jak przykazanie Boże.

HATWIGA.

Więc cóż?

ABO.

Nie chciéj,  
 Bym jeszcze więcéj traپیł mémi słowy  
 Twą i tak srodze utrapioną duszę.

HATWIGA.

Mów, ja chcę wszystko wiedziéć... Cóż mi powiesz?  
 Wiem to już sama, wiem, wiem, że mię zdradza.  
 Prawda? widziałeś go w objęciach którégó  
 Z miłośnic jego?

ABO.

Widziałem, jak w lesie  
 Rozmawiał słodko z jakowąś Słowianką.

HATWIGA.

Niecnym! Pogankę przenosi nad córę  
 Najprzedniejszego germańskiego rodu!  
 Czy ona piękna?—powiedz.

ABO.

Ach! grafini,  
 Dla tego, co choć raz tve widział lice,  
 Już niéma pięknej niewiasty na świecie.

HATWIGA.

Ty szydysz ze mnie! Mąż mój tyle czasu  
 W twarz moję codziéń patrzył, a gdzieindziéj  
 Piękniejszégó sobie poszukał niewiasty.  
 Uciekła krasa z mojego oblicza,  
 Wdzięki wykradły się jedne po drugich;  
 Inaczéj byłby Zygfryd mię nie rzucił,  
 Jak się kwiat rzuca, którégó korona  
 Schnie już i więdnie.

ABO.

Czyliż perła traci  
 Cenę dla tego, że ją ślepy człowiek  
 Mija, a szary kamyk podejmuje?

HATWIGA.

Nie, nie pocieszysz mię tém wcale, raczégó  
 Weź lutnię. Lecz nie, nie; znów o miłości  
 Będiesz mi śpiewał, i znowu mi powiesz,  
 Jaki to drogi skarb: to mi przypomni,  
 Żem biédna, że mię nikt już nie miłuje.

ABO.

Czemuż, wy dumne, tam szukacie serca,  
 Gdzie w piersi oprócz pychy i srogości  
 Nie mieszka nic już więcéj? U was męże  
 Zabijać wolą ludzi, albo zwierza  
 Po lasach gonić, niżli dzielić słodkie

Pieszczoty; jeśli zaś serce pochwyca,  
To jako z pełnej czary wszystkę słodycz  
Wypiją duszkiem, odrazu, a serce  
Jak próżny puhar porzucą na ziemię.

HATWIGA.

Smutna to prawda!

ABO.

Czemuż więc, grafini,  
Tam nie wyciągnąć rąk, gdzie je przycisną  
Do płonącego łona, które biciem  
Serca odpowie, kiedy białe ręce  
Otoczą szyję? Hatwigo!

HATWIGA.

Ach, Abo!

Jak me ramiona tęsknią do uściskul  
Abo! mój Abo! *(wyciąga ręce do Abona).*

ABO *(tuląc Hatwigę).*

Przytul się, Hatwigo,  
Do mojej piersi, w niej jest serce szczeré,  
Które prawdziwie miłować potrafi.

HATWIGA *(zrywając się).*

Zuchwalcze! gdyby to mój ojciec wiedział  
Ojciec mój, bracia, biada wtedy tobie!  
Kazaliby cię przywiązać do grzbietu  
Dzikiego konia, i twe białe ciało  
Rozprysnęłoby się jak marna piana  
O drzew gałęzie i o skał urwiska.

ABO.

Uściśnij mię raz jeszcze, a idź potem,  
Opowiedz wszystko margrafowi, poślij  
Z wieścią do ojca, braci. Niech mię zaraz  
Na męki wezmą, niechaj mię ukarzą  
Najsroższą w świecie katuszą, a będę  
Umierał, pojąc się wspomnieniem słodkiem,  
Zem w mych objęciach łono twe piastował.

HATWIGA.

Nie wydałabym cię nigdy nikomu.  
Nie wydrą mi cię z objęć; raczej zginę  
Wraz z tobą. Chodź, chodź, nie lękaj się wcale.  
*(Za sceną słychać głos rogu).*

Cóżto? czy anioł straszliwy ogłasza  
Koniec wszystkiego stworzenia? Ach!, biada!  
Ledwieśmy czary grzechu się dotknęli,

A już wołają na sąd ostateczny <sup>1)</sup>.

ABO.

Co tobie, pani moja? Wszak to tylko  
Straż z wieży daje znać, że nadjeżdżają  
Jakowiś obcy. Idź ztąd, niezadługo  
Tłumem się ludzi to miejsce napełni.

HATWIGA (*patrzac przez okno*).

Na drodze widać jakiś zastęp jezdnych,  
Co do nas zmierza.

ABO.

Trzeba nam ztąd odejść.

HATWIGA.

Gdy już ucichnie dzienny gwar, a spokój  
Nocy obejdzie wszystkie domu kąty,  
Przyjdź tutaj, Abo! Przyjdiesz? tak? nieprawdaz?

ABO.

Przyjdę, grafini.

HATWIGA.

Nie zapomnij, Abo!

(*Wychodzą, Hatwiga na prawo, Abo w głąb, z pierwszych drzwi wchodzi Gero*).

## Scena 8.

GERO (*później*) ABO, RYCERZE, SŁUŻBA.

GERO.

Cóżto za gość tu do nas zmierza? Z okna  
Widziałem hufiec nie wielki. To pewnie  
Ktoś z możnych grafów chce mię uczcić swemi  
Odwiedzunami, albo może Cesarz  
Śle mi rozkazy, wieści i zwyczajne  
To oświadczenie, iż zadowolony  
Z wiernego sługi swego. Długoż jeszcze  
Plwać w oczy będzie mi pochwałą taką,  
Psa raczej godną niż człowieka? Może  
Podszepty wrogów mych przebiły tarczę  
Ufności, jaką ucho swe zakrywał,  
Ilekroć na mnie podłe psy szczekały;  
Więc śle tajnego stróża mych czynności?  
Bracia, syn własny i zięć go zdradzali <sup>2)</sup>,

<sup>1)</sup> Przy końcu X wieku oczekiwano końca świata na zasadzie przepowiedni, która kościołowi Chrystusa tysiąc lat tylko istnienia wróżyła. Umysły egzaltowane co chwila oczekiwały, że nadejdą ostateczne czasy, w Apokalipsie przepowiedziane.

<sup>2)</sup> Przeciwno Ottonowi Wielkiemu podnosili rokosz w różnych czasach: brat przyrodni Thankmar, brat rodzony Henryk, syn najstarszy Liudolf, oraz zięć Konrad Rudy, książę Lotaryngski, mąż Luitgardy, córki Ottona.

I osłabili wiarę w ludzką wierność.  
Jam jednak przez lat wiele czujność jego  
Usypiał: mnie jednemu wierzy jeszcze.

*(Idzie w głąb i wygląda na podwórze).*

Ach, to graf Luthar, ulubieniec pański,  
Podobno całą duszą mu oddany!  
Trzeba się będzie strzedz lub w sprzymierzeńca  
Chytrze obrócić. Z Włoch zapewne jedzie  
I niesie wieści, co mi się przydadzą.

*(Ze wszech stron schodzą się rycerze, służba, między nimi Abo—do rycerzy):*

Panowie! niebo gości nam przysyła,  
Przyjmijmy godnie ich. *(do służby):*

Zastawcie stoły!

*(Służba zastawia stoły i nakrywa do uczyty).*

Głód i znużenie towarzyszą zwykle  
Podróżnym; błogo będzie im, gdy znajdą  
Na pierwszym zaraz kroku pokrzepienie.

*(Z głębi wchodzi Luthar i kilkunastu rycerzy).*

## Scena 9.

Ciż—LUTHAR i rycerze jego.

GERO.

Szczęśliwy jestem, iż powitać mogę  
Tak miłych, zacnych gości. Zkąd jedziecie?

LUTHAR.

Nim ci odpowiem na pytanie, pozwól  
Wyrazić radość moję, iż nakoniec  
Oglądam męża sławnego po całym  
Świecie, którego widzieć było naszym  
Pragnieniem przez dni wiele i jedynym  
Podróżny naszej celem.

GERO.

Jakże miło

Będzie mi spłacić te życzliwe chęci  
Tu w moim domu. Siądźcież więc do stołu. *(Siadają).*  
Trzeba pokrzepić ciało zbyt znużone  
Po trudach długiej podróży! Hej, wina!

*(Służba rozlewa wino w puhary).*

Napójcie usta, potem uszy nasze  
Słodkimi wieściami napoicie. Zdrowie  
Wasze, o, mili goście! No, panowie,  
Tak pełnym pijmy puharem, jak pełnym  
Jest nasze serce radości w tej chwili.



WSZYSCY.

Niech żyją! (*Piją*).

LUTHAR.

Dzięki wam! Jak słodką  
Jest twa uprzejmość, gospodarzu zacny.  
Panowie! pijmy na chwałę możnego,  
Pełnego sławy margrafa Geronal!

JEDNI z RYCERZY.

Niech żyje Margraf!

INNI.

Sława Geronowi!

LUTHAR.

Nie tajno, jako cię nasz pan potężny  
Czci i poważa. Kiedy się dowiedział,  
Że cię podobno nowa czeka wojna,  
Z tym hufcem iść mi kazał i oświadczyć,  
Jak mu bolesno, iż ci teraz większej  
Pomocy przysłać nie może, iż zawsze  
Najbliżej serca ma swego wiernego,  
Najwierniejszego z wszystkich sług Geronal.

GERO.

Tak: miłościwy pan, pan łaskawy  
Ocenia chęci moje nad zasługę.  
Dzięki świętemu Witowi <sup>1)</sup> podołam  
Z mych towarzyszy garstką wszystkim wrogom,  
Z którejbykolwiek zjawili się strony.  
Jednak was witam wdzięcznie, jako dowód,  
Że najłaskawszy pan nie zapomina  
O nas.

LUTHAR.

I wy też pamiętajcie o nim,  
Jak on o każdym ze swych sług pamięta.

GERO.

Więc jedziesz prosto z Włoch, grafie?

LUTHAR.

Z Włoch prosto.

GERO.

Jakież nam niesiesz wieści? Czy już cesarz  
Pokonał wszystkich wrogów?

LUTHAR.

Nie: nie jeszcze

<sup>1)</sup> Święty Wit używał szczególnież czci u Niemców, apostołujących w ziemiach słowiańskich. Burząc świątynie Swantewita, zakładano na ich miejscu kościoły pod wezwaniem św. Wita.

I może lata przejdą, nim lud chytry  
 Pomazańcowi Pana zaprzestanie  
 Jawnie i skrycie stawiać opór. Wprawdzie  
 Wrogi przycichły ze strachu. Beranger  
 Zamknął się w górach w niedostępnej twierdzy  
 Z tą żoną, z którą chyba go sam szatan  
 Na zgubę ciała i duszy zaswatał <sup>1)</sup>.  
 Lecz zato papież, ten niebaczny młodzian,  
 Co hańbi tylko Piotrową stolicę,  
 Knuć spiski począł i cesarz szedł właśnie,  
 By go ukarać i przysiągł, że dłużej  
 Na świętym tronie cierpieć go nie będzie <sup>2)</sup>.

GERO.

Rośnie w potęgę Otto; nie tak dawno  
 Książętom władzę brał <sup>3)</sup>: dziś najwyższego  
 Z kapłanów strąca śmiało. Oby tylko  
 Z samego szczytu potęgi nie zaczął  
 Schodzić w dół.

LUTHAR.

Wcale nie wątpij, iż niebo,  
 Jak mu sprzyjało dotąd, tak i dalej  
 Nie poprzestanie sprzyjać. Wszakże starło  
 W proch najezdniczych Węgrów dzikie hordy <sup>4)</sup>.  
 Dziś mu zwycięstwo da nad marną garstką,  
 Co się wyrokom nieba chce sprzeciwić.

(*Gero zamyśla się*).

Cóżto? zasepiaż ciebie jego szczęście?  
 Nuże, wypijmy na cześć i pomyślność  
 Naszego pana, króla i cesarza!

WSZYSCY.

Niech żyje cesarz!

<sup>1)</sup> Otton W. koronowanym został na cesarza r. 962. Berengar wraz z żoną swoją Willą ukrył się w górach w zamku San Leone, gdzie r. 964 dostał się w ręce Niemców i skończył życie na wygnaniu w Bambergu.

<sup>2)</sup> Papieżem w r. 964 był Jan XII, młodzieniec rozpustnego życia, który raz już poprzedzającego roku złożony ze stolicy papieżkiej, korzystając z nieobecności Ottona i niezadowolenia Rzymian z narzuconego przez cesarza, papieża Leona VIII, do Rzymu powrócił. Otton szedł z wojskiem, aby Jana XII ukarać, ale ten nie doczekał przybycia cesarza, gdyż zmarł wcześniej.

<sup>3)</sup> W początkach panowania swego Otto pozbawił władzy książąt Eberharda bawarskiego, Eberharda frankońskiego, Giselbrechta lotaryńskiego i Henryka bawarskiego, syna Bertolda.

<sup>4)</sup> Walne zwycięstwo nad najezdniczymi hordami Madziarów odnieśli Niemcy r. 955 na równinach nad rzeką Lechem.

GERO.

Życzę mu długiego  
Życia i... (*zamyśla się*) długich jeszcze walk...

LUTHAR.

Walk długich?

Prędkiego chyba zwycięstwa? Walk? na co?

GERO (*reflektując się*).

By tym świetniejszym był blask jego chwały.  
Rozgośćcie się w mym domu, i po trudach  
Spocznijcie. Co nam czasu pozostanie,  
To obrócimy na radosne uczty,  
By upamiętnić miły nam wasz pobyt.  
Wybaczcie tylko, że te świetne chwile  
Skończą się prędko.

LUTHAR.

Wszak nie przybywamy

Do was na marne uciechy. Margrafie,  
Nie uczt pragniemy, lecz dzielić twe trudy,  
Do nowych zwycięstw pomagać, na większą  
Chwałę naszego pana i cesarza.

(*Wychodzą wszyscy, prócz Gerona*).

## Scena 10.

GERO (*sam*).

Postrącał książąt, których ojce, dziady  
Rządziły zdawna ludami, i własnych  
Braci i synów w ich miejsce osadził;  
Na najwyższego targnął się pasterza.  
Czyliż oszczędzi mnie jednego? nigdy!  
Jeśli do śmierci mnie tu cierpieć będzie,  
Synowi nie da słusznego dziedzictwa;  
Ha! póki wikła się tam gdzieś daleko,  
Skorzystać trzeba z chwili i nazawsze  
Mieczem odgrodzić się od jego woli.

(*Wychodzi pierwszemi drzwiami na prawo; z głębi wchodzi Abo; ściemnia się*).

## Scena 11.

ABO (*sam*).

Cały czas Margraf tonął w myślach, z jego  
Czoła i teraz zaduma nie schodzi;  
Nawet odstąpił nieobacznie cząstkę  
Swych najtajniejszych pragnień. Nie! ci głupcy  
Nie zrozumieli nic; lecz podejrzeniom  
Moim przyłożył pieczęć potwierdzenia.

Niedziw, że Niemiec rzuca się jak zwierzę  
 W bój; ciasna głowa niezdolna jest zważyć  
 Niebezpieczeństwa: nie wam, lecz nam dała  
 Przyroda jasny, przenikliwy umysł.  
 Czy ci się śniło, starcze, że Włoch, giermek,  
 Jest panem twojej tajemnicy?

(Z drugich drzwi wchodzi Hatwiga).

## Scena 12.

ABO,—HATWIGA.

HATWIGA.

Abol!

ABO.

Jestem, grafini, jestem!

HATWIGA.

Tu bezpieczniej?

Nie maż nikogo z ludzi gdzie w pobliżu?

ABO.

Spokojną możesz być: śpią już z pewnością  
 Lub do spoczynku się gotują; nadto  
 Głęboko w pełne czasie zagładali,  
 By się im chciało błądzić w cieniach nocy.

HATWIGA.

Pragnę ci słowo powiedzieć, chciałabym  
 Odwołać to, co wyrzekłam niebaczenie;  
 Prosić, byś o tém zapomniał.

ABO.

Hatwigo,

Chcesz mi twą miłość odbierać? więc dałaś  
 Jako zabawkę dziecku; tak, na chwilę?  
 O, zbyt okrutne szyderstwo!

HATWIGA.

Tak sobie

Nie tłumacz moich słów; oh, nie! nie, wcale.  
 Ale ja lękam się...

ABO.

Czego, Hatwigo?

HATWIGA.

Abyś nie sądził, żem tak lekkomyślna,  
 Płocha. Tak prędko powiedziałam tobie  
 To, co najtrudniej wydobyć z niewiasty.

ABO.

Chyba ci złożyć mam dzięki, grafini,

Żeś nie zamknęła na wrzeczadze puchy  
To, co się w sercu kryło.

HATWIGA.

Ja się lękam,  
Byś w tém nie widział chwilowej igraszki.  
Wierzaj mi Abo, nawet przy ołtarzu  
Patrzyłam zimno Zygfyrdowi w oczy.  
Ty mię od pierwszej pociągnąłeś chwili,  
Zawsze mi żywiéj serce biło w piersiach,  
Ilekróć migły gdzie kędziory twoje.

ABO.

Mojemu ono wtórowało.

HATWIGA.

Abo,

Lękam się, że zbyt łatwo mię zyskałeś.  
Dufny w to, możesz igrać z mą miłością.

ABO.

Mamże ci przysiądz?

HATWIGA.

Gdybyś miał mię zdradzić  
I krzywoprzysiądz byłoby ci łatwo.  
Chciałabym, byś mi przysiągł, lecz tak straszną  
Przysięgą, żeby najzuchwalszy nawet  
Nie śmiał jęj złamać. Więc choć nie przysięgniesz,  
Ty mię nie zdradzisz, Abo? nie? nie zdradzisz?  
(*Tuli się do Abona*).

ABO.

Ufaj mi, ufaj, choć bez przysiąg nawet.  
Niedługo może przyjdą takie czasy,  
Gdy ci dowiodę, jak wiernie i stale  
Chcę stać przy twoim boku.

HATWIGA.

Chcesz mię straszyc?

Czegóż gorszego mogę doznać jeszcze  
Nad to, co dziś mię dotyka?

ABO.

Hatwigo,

Gdybyś wiedziała, co Margraf zamysła.

HATWIGA.

Ha! zbójca stary! Na sam widok jego  
Okrutnej twarzy, zgroza mię do głębi  
Przejmuje. Nawet kiedy mi się przyśni,  
Pot zimny czoło me zrasza.

ABO.

Wiem wszystko,  
Co on tajemnie knuje w głębiach ducha.

HATWIGA.

Mów jasno, słowy niedomówionemi  
Nie strasz.

ABO.

Lecz zamknij szczelnie na dnie myśli,  
Co dziś usłyszysz. Biada, gdyby Margraf  
Choć przeczuł, iż jest taki, co się jego  
Celów domyśla.

HATWIGA.

Jak grób milczć będę.

ABO.

Wiedz, wiarołomny starzec zmyśla tylko  
Na oko wierność cesarzowi; w duszy  
Zamyśla, żeby, wierność odrzuciwszy,  
Jak niezależny król panować tutaj.

HATWIGA.

Zkąd ty wiesz o tém?

ABO.

Wszystko, co on czyni,  
Zbyt mi wyraźnie to mówi. Jak sobie  
Zyskuje miłość drużyn, jak ostrożnie  
Świetną im przyszłość zdala ukazuje,  
Jak im nie prawi już o swym łaskawym  
Panu, lecz szydzi z uległości zbytniej.  
Lecz pocóż darmo tracić słowa? dobrze  
Przejrzałem jego myśli. My, południa  
Dzieci, w udziale mamy przenikliwość,  
O jakiej się wam, Germanom, nie śniło.

HATWIGA.

Ach, coby na to ojciec mój powiedział,  
On taki wierny cesarza przyjaciel,  
Że sam osadził mię w tém gnieździe zdrady.  
Co z tego będzie?

ABO.

Nie takich podobno  
Miał przeciwników cesarz, a pokonał  
Wszystkich; Gerona także czeka dola.  
Cesarz tu przyjdzie z wojskiem, wtedy biada  
Mieszkańcom tego zamku.

HATWIGA.

Boże wielki!  
A ze mną cóż się wtedy stanie?

ABO.

Droga,

My się niémamy czego lękać wcale.

HATWIGA.

Ach! nie odstępuj mię wtedy, Abonie!  
 Jak mię ta chwila już z góry przeraża!  
 A jeśli Margraf z Zygrydem zwyciężą?

ABO.

Wtedy napełnią zamek miłośnice  
 Twojego męża, a ciebie odeśle  
 Ojcu, lub zamknie w ustronnój komnacie,  
 Byś mu rozkoszy grzesznych nie mąciła.

HATWIGA.

Precz uciekajmy! nie chcę wyczekiwać  
 Ni zguby jego, ni chwały. Chociażby  
 W najgęstszej puszczy uciekajmy, byle  
 Zdala od murów tych i od tych ludzi.

ABO.

Cicho, grafini! słyhać jakieś kroki:  
 Rozejdźmy się—do jutra.

HATWIGA.

Tak, do jutra!

*(Hatwiga wychodzi drugimi drzwiami, Abo kryje się za filarem; z pierwszych drzwi wchodzi Zygryd i Żelisław).*

### Scena 13.

ZYGFRYD—ŻELISŁAW—ABO *(w ukryciu).*

ZYGFRYD.

Idź! śpiesz się! *(otwiera okno)* po tój skale, przy gwiazd  
 [blasku

Zsuniesz się łatwo, potem rów przepłyniesz.  
 Wszak wy umiecie drapać się i pływać!  
 Co Niemcom ciężkie, dla was to igraszką <sup>1)</sup>.

ŻELISŁAW.

Dzięki, wybawco mój; lecz nim odejdę,  
 Powiedz mi, kogo mam wdzięcznie wspominać  
 I błogosławić w duszy. Ciemność nocy  
 Rzuca ci na twarz zasłonę. Szlachetny,  
 Kto jesteś?

<sup>1)</sup> Takie zdanie o Słowianach objawia Witukind, który dodaje nadto, że mogą oni znosić niesłychane trudy i poprzestawać na skąpój żywności.

## ZYGFRYD.

Cicho! milcz! śpiesz, nie trać czasu!  
 Ciesz się oczami gwiazd, miesiącem, słońca  
 Złocistą tarczą; możebyś bezemnie  
 Już nie zobaczył ich więcej. Lecz słuchaj!  
 Wdzięczności jednej wymagam od ciebie!  
 Pokryj zasłoną milczenia wspomnienie  
 Dzisiejszej nocy; nie wpatruj się wcale  
 W moją twarz: nie chciój z niej imienia mego  
 Wyczytać. Twoja ciekawość mię może  
 Do pomsty zmusić. Wiédz, że lepiej umiem  
 Mścić się, niż dobrze czynić.

## ŻELISŁAW.

Stój, szlachetny!  
 Nie groź! Już wdzięczność dość obowiązuje,  
 Bym spełnił wiernie każde tve życzenie.  
 Ktokolwiek jesteś, wdzięcznym ci nazawsze.  
*(Wychodzi przez okno, Zygfryd odchodzi na prawo).*

## Scena 14.

ABO *(sam wychodzi z ukrycia).*

Fortuna stale sprzyja ci, Abonie.  
 Nie daje darmo błędzić ci po lasach,  
 A nawet chwile, od snu odkradzione,  
 Nie bez korzyści dla ciebie. Zygfrydzie,  
 Wiesz ty, żeś znów mi odkrył tajemnicę?

*(Przystępuje do okna).*

Ha, jak się czepia każdej rozpadliny,  
 Na każdy kamień zręczną stawia nogę:  
 Jak po drabinie schodzi. Gdyby losy  
 Kiedys mię z zamku wypędzwały srogo,  
 Tobym bez zwłoki uciekał tą drogą.

*(Wychodzi w głąb).*

*(Dokończenie nastąpi).*



# WPLYW DRÓG ŻELAZNYCH NA RUCH EKONOMICZNY W ROSSYI \*).

PRZEZ

*Jana Blocha.*

## Część druga.

### I.

Motto łacińskie twierdzące, że każdy mistrzem jest swojego losu, jeżeli gdzie to w ekonomii prywatnej, a tembardziej publicznej, bezwarunkowo nie może być przyjęte.

Państwo poświęciło dwadzieścia lat dla przygotowania sobie lepszej przyszłości ekonomicznej, dla stworzenia zasobów nowych, dla zrównoważenia swego budżetu; alisci naraz jakiś ogólny wewnętrzny niepokój, krzyżuje te usiłowania i wstrzymuje postęp, który wydawał się zapewnieniem lepszej doli. Jeszcze rzecz się ma nierównie gorzej, jeżeli do takiego i tak już krytycznego stanu, przyłączy się nadspodziewanie, zniecka, a zatem bez uprzedniego przygotowania, wojna znieuniknionemi plagami, i to nie przejściowa, kończąca ostatecznie spór, lecz wychodząca z paszczy jednego z tych wulkanów, które przyjmują miano kwestyi międzynarodowych, długotrwała, a pomimo to nierozwiązująca istotnych lub co gorsza urojonych dążeń. W takich warunkach, nie dziwnego, że wojna rzuci zamieszkę w pośród trudów długich i cierpliwych, a najbardziej usprawiedliwione przewidywania, jak to niżej wskażemy, omylić potrafi.

Okazaliśmy w pierwszej części tej pracy, jakim sposobem Rossya przez tak długi czas pozostająca w stagnacyi, zdołała w ciągu ostatnich niemal dwudziestu lat,—wezawszy na pomoc reformy prawodawcze i budowę sieci kolei żelaznych, położyć silne podwaliny dalszego rozwoju ekonomicznego.

Usiłowaliśmy także wykazać, jaki wpływ na położenie gospodarcze i finansowe całego Państwa, miało budowanie dróg żelaznych, wpływ kapitałów obcych, powiększenie zarobkowania klasy robotniczej; i nareszcie, jak popęd nadany produkcji, począł wywierać dobroczynny wpływ na stan ekonomiczny Państwa.

Styduum tego, ażeby mogło nastęrczyć dane pouczające, nie możemy ograniczyć na tém i musimy sięgnąć dalej.

\*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za styczeń r. b.

Aczkolwiek nie zamierzaliśmy kreślić tu kompletnej historyi finansów rosyjskich i ograniczyliśmy się jedynie na uwytatnieniu zarysów położenia w r. 1875 w porównaniu z tém, jakie było przed 25 lub 30 laty, czytelnik mógłby nam zarzucić, iż przemilczamy lub nie znamy faktów jakie zaszły w ostatnich dwu latach, których następstwem było przesilenie finansowe, emisya biletów kredytowych w rozmiarach niebywałych od czasu wojen Napoleońskich, obniżenie wartości banknotów i ogólne zubożenie kraju.

Pomimo to wszystko, przesilenie obecne *w pewnych warunkach*, mogłoby być przemijającym; i fakta, jakie ono przedstawia, nie osłabiają naszego wywodu postępów już dokonanych i możności powetowania klęsk, zadanych przez wojnę i niepokoje wewnętrzne.

Ale wyznać trzeba, że wyrzeczenie choćby słów kilku o tém przesileniu, przedstawia trudności nielada.

Przy wykładzie położenia finansowego i gospodarczego każdego kraju, kwestya ekonomiczna łączy się ściśle z kwestyą polityczną, a w warunkach nienormalnych chwili obecnej, objęcie a tembardziej dostateczne objaśnienie wszystkich zjawisk, niezupełnie jest możliwém.

Zatrzymując się wszakże przy możliwych granicach wykładu, będziemy się starali w przyszłym artykule w sposób jak najzwężlejszy, wykazać wpływ rozpatrywanych przez nas warunków na interesa najbliżej nas dotyczące, to jest miejscowej, jeżeli w kwestyach ekonomicznych tak się wyrazić można, przyszłości rolnictwa naszego kraju, wobec wzmagającej się konkurencyi piodów rolnych dziewiczych obszarów głębi Państwa, zbliżonych do nas drogami żelaznymi; a dalej, wpływ warunków istnienia wytwarzającego się przemysłu naszego, w zależności od konkurencyi rynków zagranicznych i rosyjskich—i ureszcie, handlu, jako ostatecznego wyniku nowowytworzonych warunków ekonomicznych.

Przedewszystkiem rozwiodłszy się w poprzedzającym artykule o zbawiennym wpływie wywartym przez zbudowanie, w czasie stosunkowo krótkim, sieci wynoszącej około dwudziestu tysięcy wiorst, winniśmy okazać odwrotną stronę medalu: przedstawia się ona jako wpływ niekorzystny wielkiej emisji papierów wartościowych dróg żelaznych, na kurs zmiany. Ponieważ zaoszczędzonych kapitałów nie było w kraju, przeto, ażeby posiadać fundusz na budowę sieci, wynoszący około półtora miliarda rubli, należało zwrócić się po większej części do kapitalistów zagranicznych. Trzeba było nadto, ażeby rząd zapewnił wypożyczającym, procent od obligacyi, oraz zabezpieczył im minimum dywidendy na akcyach. Ogół więc opłat rocznych, ciężących na odpowiedzialności rządu rosyjskiego, dochodził w r. 1876 do 46,1 milionów rubli metalicznych i do 1,7 milionów rubli kredytowych. Oprócz tego, wartości wypuszczone przez Towarzystwa dróg żelaznych bez zabezpieczenia rządowego, przedstawiają wydatek roczny na procent i umorzenie, dochodzący do 9,1 milionów rubli metalicznych, a 4,1 milionów rubli kredytowych. Sumy wypłacone na procent od kapitału,

zagwarantowanego przez rząd i wyłożonego na budowę dróg żelaznych z tytułów powyższych, od r. 1866 do 1875, wynoszą ogółem 323 milionów rubli metalicznych <sup>1)</sup>.

Łatwo zrozumieć, że ponieważ budowa kolei żelaznych znacznie powiększyła dług rosyjski za granicą, przeto z tego tytułu wpłynąć musiała niekorzystnie na ogólny kredyt państwowy, oraz że przyjęte zobowiązania corocznej wypłaty tak znacznych sum w monecie brzęczącej, przedstawiać będą, aż do ich umorzenia fakt stały, na niekorzyść wymiany działający. Kurs, z drugiej strony, powinien był być znacznie podtrzymywany przez napływ do Rosyi gotówki, pochodzącej z umieszczania zagranicą wartości kolei żelaznych. Według dokonanych przez nas obliczeń, po potrąceniach strat i wydatków poczynionych zagranicą, suma 258 milionów, powinna była w peryodzie 1866—1875 r. wpłynąć do kraju. Wobec tak znacznego napływu monety metalowej, kurs wymiany, według danych nauki i praktyki, gdyby na niego nie oddziaływały niekorzystnie operacje czynione przez sam rząd, powinien był być znacznie korzystniejszy, aniżeli okazał się w rzeczywistości.

Sumy metaliczne, pochodzące z zagranicy, używane były przez ministerjum skarbu w części na dokonywanie wypłat pozakrajowych, pozostała reszta, poświęcona wypłatom wewnętrznym, uiszczanym w biletach kredytowych, była spożytkowaną w ten sposób, że rząd na też wypłaty wypuszczał monetę papierową, a ilość kruszcu w ten sposób nabytą, dołączał do swój rezerwy funduszu wymiany. Fundusz też ten, wynoszący w początku r. 1868 rubli 88,9 milionów, doszedł w roku 1875 do 231,2 milionów rubli <sup>2)</sup>.

Oprócz tego, napływ kruszcu, sprowadzony realizowaniem za granicą wartości kolei żelaznych, ułatwił rządowi rosyjskiemu wypłatę kuponów od pożyczek państwowych zagranicznych. Fundusze, zrealizowane zagranicą, używane były na miejscu do uiszczenia tych wypłat, a uzupełniły się wewnątrz środkami budżetowymi. Te obroty, dozwoliły rządowi rosyjskiemu obyć się bez poszukiwania na giełdach krajowych wartości obcych, za których pośrednictwem, dokonywał dawniej swych wypłat zagranicznych. Zobaczymy później, że gdy zatrzymało się budowanie kolei żelaznych, to rząd znowu uciec się musiał do zakupu weksli. Wolno nawet przypuszczać, że rząd na swoje zwłaszcza wypłaty zagraniczne, obracał wszystkie przewyżki, tworzące się przez realizacją wartości kolei żelaznych za granicą, i że uzupełnianie funduszu kruszcowego dokonywało się głównie z dochodu kopalni syberyjskich. Wytwór tych kopalni w złocie wyniósł 261 milionów rubli w latach sześciu, od 1866

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi.* Jan Bloch. Tom I, tab. VI.

<sup>2)</sup> *Tamże*, tom V, str. 114.

do 1877 <sup>1)</sup>). Ale to w niczem nie zmienia tego ważnego faktu, że z pomocą pozostałości od sum metalicznych, realizowanych na rzecz kolei żelaznych, rząd mógł znacznie powiększyć swój zapas kruszcowy, powiększając w tym samym stosunku obieg biletów kredytowych.

## II.

Przechodzimy teraz do wpływu dróg żelaznych na wytwórczość. Jakiśmy to wykazali w artykule poprzedzającym, z ogólnej cyfry kapitałów, użytych na budowę sieci, w okresie między rokiem 1866 i 1875, wydatkowano wewnątrz kraju, rubli 481,5 milionów. Przeszło połowa tej sumy, posłużyła na zapłacenie robocizny. W okresie bowiem o którym mówimy, liczba robotników, używanych corocznie do budowy, wynosiła średnio 84 tysiące ludzi, przy zapłacie przeciętnej każdemu po 297 rubli rocznie. Tym sposobem 249,9 milionów rubli przedstawia koszt robocizny; 111,2 mil. korzyści przedsiębiorców i pensye inżynierów oraz administratorów; nareszcie w 120,4 milionach rubli, mieści się zakup materyałów.

Rozbiór szczegółowy daje nam możność rozłożenia cyfry 111,2 mil., którąśmy tylko co przytoczyli, a zarazem wskazać fakt dosyć ciekawy. Korzyści przedsiębiorców i pensye inżynierów, figurują w tej cyfrze prawie zupełnie na równi, czyli wynoszą 55,6 milionów. Pozostałe 55,6 mil., przedstawiają pensye składu osobistego 1390 ludzi, użytych corocznie do administracji wyższej, z płacą średnią czterech tysięcy rubli na rok <sup>2)</sup>).

Okazaliśmy również, że na koszta wyzysku pobudowanych dróg żelaznych, w okresie od 1866 do 1875 r. wydatkowano ogółem 535,7 milionów rubli, z których 58% <sup>3)</sup> na pensye i robocizny. W roku zaś 1876 na sieci, mającej 17,658 wiorst, wydatki na te pozycye wynoszą 54,8 milionów rubli.

Widoczném jest, że samo powiększenie pracy i korzyści, wyrażające się w sumach tak wielkich, musiało przyczynić się znacznie w kraju do popytu na wytwory przemysłowe i inne, dając licznym kategoriom ludzi, sposób do zadosyćczynienia nowym potrzebom. Powiększenie popytu musiało naturalnie ożywić wytwórczość krajową. Nadto, ponieważ większa część przedmiotów zbytkowych przybywa do Rosyji z zagranicy, przeto powstawanie całkiem nowej klasy osób zamożnych, tworzącej się skutkiem oszczędności, osiągniętych na budowie i wyzysku dróg żelaznych, musiało koniecznie wpłynąć na powiększenie przywozu. Nie trzeba też zapominać masy nowych płac i korzyści, które wynikły z nadzwyczajnego rozszerzenia się, dzięki kolejom żelaznym, sfery zbytu dla przedmiotów sprzedażnych, wytwarzanych w kraju.

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyji.* Tom V, str. 115.

<sup>2)</sup> Tamże, tom I, tab. XXVIII.

<sup>3)</sup> Tamże.

Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników, ograniczymy się na zapewnieniu, bez przytaczania cyfr, że drogi żelazne w ogólności, nie zmniejszyły przewozu wodą, a aczkolwiek znacznie osłabiły przewóz towarów drogami zwyczajnymi na odległościach wielkich, nagrodziły to sownie, zwiększając przewozy po odległościach krótszych, ożywiając ruch ogólny handlu i ześrodkowując to ożywienie, około głównych punktów sieci.

Popyt na wytwory krajowe sprawił to, że ceny ich się podniosły, a z nimi i korzyści fabrykantów, co popchnęło do rozszerzenia produkcji zakładów istniejących i do zakładania fabryk nowych. Przedsiębiorstwa przemysłowe, rolne i handlowe, doznały tém większego rozwoju, że jednoczesne utworzenie banków handlowych i gruntowych, dało im większą łatwość kredytu, a rewizya taryfy celnej z r. 1869, dokonana w duchu protekcyjnym, przyszła w samą porę, wzmagając jeszcze popęd nadany budową sieci.

Porównyując cyfry urzędowe wytworu rolnego w r. 1872 z taką produkcją r. 1863, stanowiącego punkt wyjścia dla nagłego rozwoju sieci, nie przychodzimy do ogólnego wyniku, któryby zdolnym był udowodnić znaczne powiększenie wytworu zbożowego. Zbiór z r. 1872, wyłączając zeń ilość potrzebną na zasiew, wynosi 210,2 milionów czetwerti. Z tej ilości 170 $\frac{1}{2}$  mil. czetw. pochłania, licząc w to żywność koni i wyrób alkoholu, spożycie wewnętrzne. Pozostaje więc z ogółu wytworu 39,7 <sup>1)</sup> mil. czetw. w okrągłej cyfrze, na wywóz i zapasy. Ta ostatnia cyfra przedstawia przewyżkę nieznaczną w porównaniu z rokiem 1863, bo nie przechodzi 1,6% ogółu zboża, rozporządzalnego na wywóz w tymże roku.

Ale porównywanie całości według cyfr urzędowych produkcji Państwa, nie jest środkiem właściwym do ocenienia wpływu dróg żelaznych na wytwórczość rolną. Jakkolwiek wielkie rozmiary przybrała sieć rosyjska w ostatnich piętnastu latach, daleko jój jeszcze do objęcia niezmiernej powierzchni Cesarstwa, a wpływu jój na wytwórczość rolną, nie można odczuć dla braku dróg podjazdowych, istniejących gdzieindziej a nie w pobliżu linii. Faktem przeważnym w wytwórczości rolniej, jest także stosunek ludności do przestrzeni gruntu, a rzecz jasna, iż drogi żelazne w pierwszym czasie istnienia swojego nie mogą zastąpić braku rąk, i z tego też powodu kultura rozszerzyć się mogła zwolna, głównie tylko w miarę wzrostu ludności.

Dla bliższego więc ocenienia bezpośredniego wpływu dróg żelaznych na wytwórczość rolną, trzeba ograniczyć się do rozpoznawania go w promieniu szerszym, a mianowicie w miejscowościach, gdzie środki materialne dostarczane przez budowę, były tak znaczne, że zdolne były stać się czynnikiem ważnym w wytwórczości nawet rolniej, za pośrednictwem ulepszeń, które, dzięki kapitałom, mogły być wprowadzone do

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi. Tom II,*

kultury. W kraju o kulturze pierwiastkowej, ulepszenia te przedstawiają się nadewszystko w użyciu odpowiedniejszych narzędzi rolniczych, w utrzymaniu większej liczby inwentarzy żywych, a przeto i w produkcji większej ilości pracy i nawozu. Owóż, jeżeli weźmiemy pod uwagę wyniki, pojawiające się w obrębie środkowym wytwórczości rolniej w Rossyi, reprezentowanym przez gubernie: Kurską, Tambowską, Tulską i Orłowską, to możemy się przekonać, że w tej części Państwa, wytwórczość rolna w okresie który nas zajmuje, rozwinęła się niesłychanie.

Drogi żelazne, dając guberniom, promieniem tym objętym, znaczne korzyści przy budowie, a następnie ułatwienia w korzystnym zbyciu ich zboża za granicą, przyspieszyły wzrost wytwórczości nie już w stosunku do wzrostu zaludnienia, ale nierównie wyżej. Przewyżki zbioru zbóż w tych prowincjach, ponad potrzeby spożycia miejscowego, wzniosły się w tym okresie względnie do tego jak było przedtém o 424% w gubernii Kurskiej, o 531% w gub. Tambowskiej, o 143% w gub. Tulskiej i o 62% w gub. Orłowskiej <sup>1)</sup>.

Dzięki temu cząstkowemu, ale bardzo znacznemu przybytkowi wytwórczości rolniej w niektórych częściach kraju (lubo w innych, mniej korzystnie obdzielonych siecią, ilość zboża rozporządzalnego do wywozu pozostawała prawie nieruchomą), cyfra ogólna wywozu mogła się znacznie podnieść. Cyfry, jakie przedstawiają sprawozdania urzędowe z handlu zagranicznego, wskazują rzeczywiście, że wywóz zboża w roku 1874, doszedł do 26,723,719 czetwerti,

w 1875 roku do 22,441,689 czetwerti

1876 „ 25,403,573 „

1877 „ 30,690,037 „

1878 około 35,000,000 „

Tymczasem w r. 1865 nie dochodził nawet do 10 milionów czetwerti <sup>2)</sup>. Przewaga wpływu dróg żelaznych w wywozie zboża, okazuje się w tym fakcie, że eksport 64% zboża wywożonego corocznie, odbywa się kolejami (około 17¼ milionów czetwerti w r. 1874), a reszta, idzie wodą lub drogami zwyczajnemi.

Pomiędzy krajami zakupującymi w Rossyi zboże, Wielka Brytania zajmuje pierwsze miejsce. Jakoż na 25,404,000 czetwerti, wywiezionych w 1876 roku, 8,477,000 czetwerti przypada na Wielką Brytanią. Prusy, pomimo zachęt płynących z blizkiego sąsiedztwa, zażądały tylko 4,290,000, a Francya 2,413,000 czetw. Sama zatem Wielka-Brytania zabrała 33,37% całkowitego wywozu zboża rossyjskiego. Ponieważ ogólne zapotrzebowanie zboża zagranicznego przez Wielką-Brytanią, średnio biorąc, wynosiło rocznie 38,276,000 czetwerti (w okresie od 1869 do 1875 roku), przeto więcej niż czwartą część całkowitego przywozu zboża w tym kraju, stanowiło zboże rossyjskie <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi.* Tom II, str. 29.

<sup>2)</sup> Tamże, tom IV, str. 19.

<sup>3)</sup> Tamże, tom IV, str. 24.

Cyfry te wykazują ważność rynku angielskiego dla wywozu rosyjskiego, w którym, jak wszystkim wiadomo, zboże gra rolę główną. Współzawodnictwo Ameryki obniżyło w ostatnich latach zapotrzebowanie zboża rosyjskiego w Anglii, a przywóz zboża amerykańskiego do Wielkiej-Brytanii, dawniej znacznie niższy od zboża rosyjskiego, dorównał mu wreszcie, a nawet go przewyższył. Cokolwiekbądź wszakże, widoczném jest, że jeżeli Rossya i dziś jeszcze może współzawodniczyć na targu angielskim ze zbożem amerykańskiem, to właśnie dzięki jedynie swoim kolejom żelaznym. Bez nich, w samej rzeczy, ilość zboża rosyjskiego, przybywającego do Anglii, byłaby się prawdopodobnie zatrzymała na cyfrze od 3 do 4 mil. czwarti rocznie, jak to było przed r. 1866; gdy tymczasem dzisiaj, przedstawia się większą jeszcze w dwójnasób, pomimo zmniejszenia, spowodowanego współzawodnictwem amerykańskiem.

Byłoby rzeczą nader nauczającą zbadać wpływ, jaki koleje żelazne wywarły na chów bydła i w ogóle na rozmnożenie zwierząt domowych w Rossyi. Na nieszczęście, dane statystyczne są pod tym względem bardzo niepewne, a nawet sprzeczne. W naszej obszerniej pracy o inwentarzu, probowaliśmy oznaczyć liczbę zwierząt domowych w Rossyi, w stosunku do rozciągłości gruntów ornych, i w tym celu użyliśmy metody przyjętej w Prusiech, a polegającej na ustaleniu stosunku rozmaitych ras zwierzęcych do jednostki, wyobrażanej przez bydło większe. W tym celu przyjęliśmy, że wół lub krowa równa się  $\frac{2}{3}$  konia, 10 owcom, 12 kozom, 4 wieprzom, i w obrazie ogólnym, daliśmy zarys ilości odpowiadających każdej gubernii przez kilka okresów osobnych, obejmujących przeciąg czasu od roku 1846 do 1871. Obraz ten przedstawia takie główne wyniki: cyfra zwierząt domowych, odniesionych do jednostki bydła większego, wynosiła w 1846 roku 51,284,000, a w roku 1870—1871, równała się 51,752,000. Porównanie więc to ilościowe, zdaje się wykazywać niejaki przyrost <sup>1)</sup>.

Jeśli cyfry odnoszące się do rolnictwa i do chowu bydła, nie dają nam dość wyraźnego świadectwa co do wpływu dróg żelaznych na Rossyą gospodarczą, płynie to z dwu powodów. Najsamprzód, cyfry te bynajmniej nie mają dostatecznego stopnia dokładności. Stanowczo godzi się przypuszczać, że przy możności dokładniejszego ocenienia produkcji rolnictwa, możnaby zaznaczyć postępy wyraźniejsze niż te, jakie zdają się wskazywać cyfry urzędowe przez nas przytoczone. Następnie—a punkt to główny—wpływ dróg żelaznych na rolnictwo, jakżeśmy to już zauważyli wyżej, przy braku dróg odpowiednich podjazdowych, mógł dać się uczuć tylko bezpośrednio w pobliżu torów. Co do całości kolosalnego wytworu rolnego Państwa, drogi żelazne wpływać mogą na tę całość, jedynie w ich stosunku do rozciągłości przerznanego gruntu i do cyfry zaludnienia. Owóż, jedna wiorsta sieci dróg rosyjskich, odpowiada 285 wiorstom kwadratowym przestrzeni kraju,

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi.* Tom. III, str. 8.

a 4,7 tysiącom mieszkańców, kiedy np. w Belgii, jedna wiorsta sieci odpowiada 9 wiorstom przestrzeni i 0,4 tysiącom mieszkańców <sup>1)</sup>. Te cyfry porównawcze okazują, że sieć rossyjska nie może jeszcze odgrywać, stosunkowo do całości Państwa, roli stanowczej w rozwoju rolnictwa, doznającego przeszkód w czynnikach ważnych, których wpływ nie mógł się zrównoważyć przez sieć taką, jaką widzimy dzisiaj. Czynnikami temi są: jałowość gruntu i surowość klimatu w znacznej części kraju, trudności stawiane przez zaprowadzony system podatkowy i ustrój administracyjny w przenoszeniu się ludności wiejskiej z jednego punktu na drugi, nareszcie brak rąk.

W warunkach tych, wpływ budowania dróg żelaznych na rolnictwo w Rosyi, dał się uczuć aż do dziś dotykalnie w tych trzech tylko punktach: 1) wlepszeniu kultury gruntów środkowych, leżących wzdłuż wielkich linii komunikacyjnych; 2) w rozszerzeniu się kultury, przez obrabianie gruntów nowych na południu Rosyi, czyli w pasie klimatu umiarkowanego i gleby bogatej, niepotrzebującej wcale lub mało nawozu; oraz 3) w znacznem podwyższeniu się cen ziemi, czyli co na jedno wychodzi, dochodu od roli, w tych samych miejscowościach. Ale te fakta szczegółowe, jakkolwiek ważne, toną niejako w warunkach niekorzystnych, oddziaływających na całość, skutkiem ogromnej przestrzeni Państwa, i z tego też powodu wpływ dróg żelaznych nie może być jak nateraz jeszcze należycie wyświeconym przez dane liczebne, w stosunku do całej przestrzeni kraju.

### III.

Łatwo zrozumieć, że wskazówek wpływu wywieranego przez drogi żelazne na wytwórczość i spożywczość, szukać należy przedewszystkiem w cyfrach, mieszczących się w wykazach statystycznych handlu zewnętrznego.

Najsamprzód, cyfry te mają dla państwa interes i przedstawiają więcej dokładności, niż ogólne zestawienia o produkcyi całego Państwa; powtórę, cyfry wyjęte z tych wykazów, dają obrazy jednorodniejsze i lepiej przeto służyć mogą do porównania. W tym celu, rzuciny okiem na zmiany zasze w wywozie i przywozie przedmiotów ważniejszych, od czasu rozwinięcia się sieci rossyjskiej, t. j. od r. 1862 aż do lat ostatnich. Ażeby niezapełniać zbyt cieżko cyframi tych kartek, przeznaczonych do przeczytania a nie do specjalnych studyów, zmuszeni jesteśmy odesłać czytelnika do naszego dzieła specjalnego o Handlu zewnętrznym, tu zaś ograniczymy się tylko na opisanie głównych zmian, uwydatnionych przez atlas graficzny, do tegoż dzieła dołączony.

Jakśmy już wskazali ogólnikowo w poprzedniej części naszej rozprawy, wywóz i przywóz zwiększyły się znacznie w okresie budowania kolei żelaznych. Lecz rozwój przywozu, okazuje się znacznie szerszym od rozwoju wywozu. I tak być musiało. Istotnie, budowa ko-

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi.* Tom I, t. b. XIII.



tei żelaznych winna była sprowadzić dwa wyniki: ożywić wytwórczość, ułatwiając odbyt wytworom za granicę, oraz powiększyć spożywczość wewnętrzną, przez dostarczenie ludności nowych korzystnych źródeł pracy i oszczędności, z części znacznych kapitałów, puszczonej w obieg wewnętrzny. Owóż, wytwórczość wymaga do rozwinięcia się dłuższego czasu niż popyt do objawienia się. Rzeczą więc nieuniknioną było to, że przywóz musiał się zwiększyć bezpośrednio, w stosunku daleko silniejszym niż wytwórczość wewnętrzna. Następnie, iżby ta ostatnia mogła wzrost swój objawić przez wywóz na zewnątrz, musi ona nie tylko rozmiarami swojemi przejść powiększone potrzeby wewnętrzne, lecz nadto uczynić zadosyć warunkom specjalnym, podyktowanym przez naturę zapotrzebowań zagranicznych. Tym sposobem za tezę ogólną postawić można, że Rossya przedewszystkiem doznać była winna potrzeby zwiększonej wszystkich wytworów, służących do zapewnienia pewnego komfortu, jeżeli rzeczywiście jednocześnie z budową sieci, okazał się wzrost ogólnego dobrobytu w kraju. Jasna rzecz, że jeżeli potrzeby te dają się uczuć, że tak powiem, zniecka, skutkiem wielkiego napływu kapitałów w kraju, wytwórczość wewnętrzna nie może im czynić zadość bezpośrednio na razie, a tém samém kraj, dla zadosyć uczynienia nowym zapotrzebowaniom swoim, ucieknie się do przywozu z zagranicy. Sam nawet stopniowy rozwój wytwórczości wewnętrznej, nie będzie się mógł objawiać inaczej, jak tylko przez współzawodnictwo wewnętrzne z wytworami obcemi, i dopiero w okresie daleko późniejszym, niektóre gałęzie produkcyi osiągną takiego stopnia wzrostu, że nadmiar będzie mógł być zbywanym za granicę, a zatém i skontrolowanym przez cyfry wywozu. Kraje o przemyśle wysoko rozwiniętym—jeśli czego potrzebować będą od Rossyi, toć oczywiście nie środków zmniejszających, ale powiększających pracę przemysłową u nich; a więc żądać będą przedewszystkiem: materij surowych.

Z przyczyn tych, działających łącznie, wytworzyły się fakta, które odnajdziemy w oddzielnym rozbiorze rozmaitych gałęzi handlu rosyjskiego z zagranicą: znaczne zwiększenie ogólne całkowitej cyfry handlu, przywóz zwiększony silniej niż wywóz, w zwiększonym wywozie przewagę materij surowych; w rozwiniętym przywozie, przewagę przedmiotów służących do komfortu i przeznaczonych do zadosyćuczynienia potrzebom nowym. Ostatni ten objaw, wskazuje rozwój niezaprzeczonego dobrobytu w Rossyi i stanowi jak nateraz jeszcze: fakt najdonioślejszy z całego wpływu dróg żelaznych na stan gospodarczy Rossyi.

Rozumie się wreszcie, że fakta te ogólne ulegają niektórym wyjątkom i w rozbiorze specjalnym każdej z *gałęzi handlu* wziętej oddzielnie, zauważyć się dają  *pewne anomalie*. Jakoż, co do *wytworów spożywczych*, rozklasyfikowanych na trzy kategorie, jako to: wytwory surowe, półobrobione i obrobione widzimy najsamprzód, że całkowite sumy tak przywozu jak wywozu, zwiększyły się potężnie od r. 1862 do 1875. Ale, kiedy w *przywozie* stosunek wytworów surowych do obrc-

bionych, w roku 1862 był jak 21,9 do 25,1 milionów rubli, a r. 1875 63,5 do 44,8 mil.; to stosunek wytworów surowych do obrobionych, w *wywozie* roku 1862, wynosił 50,4 do 1,7, a w roku 1875 186,1 do 7,8 milionów rubli. Zaznaczyć jednak potrzeba to, że i sameż te stosunki stanowią wyjątek tylko na pierwszy rzut oka. Albowiem wytwory surowe spożywcze, przywożone do Rosyi, oprócz jednej soli, wszystkie wchodzą w kategorię przedmiotów komfortu. Klasyfikując przywóz i wywóz wytworów spożywczych według cen i sprowadzając je do trzech nowych kategorii, a mianowicie przedmiotów pierwszej potrzeby, komfortu i zbytku, dostrzegamy że za r. 1862 stosunek kategorii pierwszej do drugiej, wynosił 11,8 do 26,4, a w r. 1875 23,1 do 67,3 w dziale przywozu. Co dowodzi, że faktem przeważającym we wzroście przywozu nawet wytworów spożywczych, było zadosyćczynienie potrzebom wyrafinowańszym, zależnym od wzrostu dobrobytu krajowego. Co do cyfr porównawczych wywozu, przedmioty pierwszej potrzeby tworzyły i tworzą prawie ich całość. Od 56,5 milionów w r. 1862 dochodzą do 197,7 milionów w r. 1875, gdy tymczasem artykuły spożywcze wyższego rzędu, dochodzą zaledwie do 1,4 mil. w roku 1862, a do 2,6 mil. w r. 1875 <sup>1)</sup>.

Przechodząc do gałęzi handlu przedmiotów, służących do urządzenia mieszkań i gospodarstw, okazuje się także, że potrzeby komfortu a po nich potrzeby zbytku, przeważają w przywozie, zwłaszcza od r. 1862. Jakoż w r. 1862 przywóz obliczony w milionach rubli, rozdzielał się tak: artykuły pospolite 0,3; przedmioty wyższe (komfort) 0,8; przedmioty zbytkowe 3. Na rok 1875, znajdujemy rozdział następujący: pierwsza kategoria 1,4; druga 4,4; trzecia 13,6. Tym sposobem, kiedy przywóz przedmiotów użytku powszedniego i zbytkowych, powiększył się tylko w czwórnasób; przywóz przedmiotów, należących do zamożności średniej rósł w stosunku od 0,8 do 4,4, czyli od 1 do 5½ <sup>2)</sup>.

Przychodzimy do ważnej grupy materiałów budowlanych, maszyn i narzędzi. W wywozie tych przedmiotów, wytwory surowe mają się do wytworów półobrobionych (r. 1875) jak 27,5 milionów do 1,3; przeciwnie, w przywozie za tenże rok, wytwory surowe wynoszą tylko 6,1 mil. rubli, kiedy wytwory półobrobione, dochodzą do 68,5 milionów, a wytwory obrabione 54,6 mil. Jeżeli teraz cyfry te porównamy z cyframi r. 1862, wypadnie nam w tymże samym porządku kategorii: na wywóz 5,9 i 1,5 mil.; na przywóz 1,9,—5,7 i 11,5 mil. rubli. Tym sposobem wzrost objawił się przedewszystkiém w przywozie wytworów półobrobionych, i to głównie w kruszczach napół obrabionych <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na ekonomiczny stan Rosyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. I.*

<sup>2)</sup> Tamże, tab. III.

<sup>3)</sup> Tamże, tab. IV.

Taż sama przewaga wytworów półobrobionych we wroście przywozu dostrzeżoną być może odnośnie do grupy *przedmiotów, służących dla przemysłu i oświetlania*. Kiedy cyfry na rok 1862 były: 5,4 mil. rubli za wytwory surowe, a 13,8 mil. za półobrobione, cyfry odpowiednie za r. 1875 są: 21,8 i 38,7 mil. rubli <sup>1)</sup>. W wywozie przedmiotów tej grupy widzimy ruch biegunowo przeciwny: cyfry wytworów półobrobionych zmniejszają się stale, kiedy cyfry wytworów surowych powiększają się w stosunku silnym.

Nim pójdziemy w tym rozbiórce dalej, zwrócimy uwagę, że wzrost względnie przeważny wytworów półobrobionych w całości przywozu, dowodzi tego faktu donosnego, że *przemysł rosyjski rozwija się, ale że jest jeszcze zastłaby*, ażeby mógł od zagranicy zapotrzebowywać głównie samych tylko materii surowych, kiedy natomiast takich głównie materii zagranica zapotrzebowywa od Rosyyi.

Grupa *przedmiotów ubiorczych* przedstawia nam przykład przeciwny, ale służący za świadectwo, że wyjaśnienie, jakieśmy tylko co dali, jest uzasadnionem. Cóż wyobraża grupa, do rozbioru której przystępujemy? Najsamprzód materyały takie jak: bawełna, len, wełny, jedwabie, skóry i futra; następnie ubiory gotowe i kapelusze, oraz wonności, które zaliczamy do tej grupy, jako artykuły toaletowe. Owóż, jeżeli jest jaka gałąź przemysłu, któraby w Rosyyi dosięgła pewnego stopnia niezależności, to niewątpliwie przemysł tkacki. Co do tej grupy widzimy też przeważającemi w przywozie, nietylko już wytwory półobrobione, ale owszem materye surowe. Rozwój przemysłu krajowego w tej gałęzi, jasno wydatnieje z cyfr przywozu rozklasyfikowanego, jaki znaleźć można w tablicach i atlasie graficznym, do dzieła naszego dołączonym. Jakoż, co do wartości przedmiotów przywozowych, dostrzegamy, że aż po rok 1850, cyfry artykułów surowych są daleko niższe od artykułów półobrobionych, a nawet od gotowych. Począwszy od r. 1850 stosunek ten się odwraca, a artykuły surowe zajmują pierwsze miejsce, lubo ogół ich lekko tylko przewyższa artykuły dwu innych kategorii.

Następuje potem okres nagłego rozwoju sieci dróg żelaznych, a przywóz przybiera rozmiary aż dotąd nieznane. Jakoż, ubiory gotowe z 12,5 do 19,8 mil. rubli (przed rokiem 1862) wnoszą się w 1867 roku do 28,1 i wzrastają wciąż tak, że w r. 1875 podnoszą się do 49,2 mil. rubli. Ogół ich więc powiększył się przeszło w trójnasób od r. 1862. Artykuły półobrobione, pod temiż samemi datami, przedstawiają całości wyrównyujące 10 milionom; 19,9 i nareszcie 38,4 <sup>2)</sup>.

Ale ten postęp, rosący nadewszystko, wydatnieje w całościach przywozu artykułów surowych. Z 1,3 miliona 10 i 21,3 mil. w początkach, połowie i końcu okresu od r. 1830 do 1862, dochodzą one

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. IV.*

<sup>2)</sup> *Tamże, tab. II.*

w r. 1869 do 38,2, a w r. 1875 do 62,6 mil. rubli. Te cyfry porównawcze wskazują, do jakiego stopnia ów wielki ruch nadany położeniu ekonomicznemu przez budowę sieci, z jednej strony powiększył spożycie, a z drugiej podniósł znaczenie przemysłu krajowego.

Podział przywozu na artykuły powszednie, komfortowe i zbytkowe w gałęzi niniejszej, okazuje, że ze zaszłych zmian skorzystała przed innemi warstwa ludności najliczniejsza. Jakoż, ułatwienia, zyskane przez drogi żelazne w przewozie artykułów surowych przywozowych, dały potężnego bodźca fabrykacyom tkanin i materyi w kraju, a przeto masy ludności mogły po cenach przystępnych, nabywać artykuły, bez których obywały się dotąd, czyto spożywczość swą ograniczając do przedmiotów krajowych najgrubszych i najtańszych, czy téż poprzestając na tkaninach i materyach, sporządzanych przez samychże spożywców z wytworów, uprawianych na własnym swym gruncie. Ponieważ rok 1862 przedstawia sumy przywozu wyjątkowo niskie (mówimy o artykułach, służących do odzieży), przeto za punkt porównania weźmiemy rok 1861, naprzeciw roku 1875. Oto są cyfry rozklasyfikowane według artykułów przywozowych za dwa te lata, przyjęte za punkt porównania:

Przedmioty użytku powszedniego: rok 1861 rubli 28,4 milionów, rok 1875 rub. 99,1 mil.; przedmioty komfortowe: rok 1861 rub. 13,4 mil., rok 1875 rub. 26,4 mil.; przedmioty zbytkowe: rok 1861 rub. 9,4 mil., rok 1875 rub. 24,7 milionów <sup>1)</sup>.

Widzimy ztąd, że kiedy ogół tych ostatnich powiększył się  $2\frac{1}{2}$  raza, ogół artykułów komfortowych tylko się podwoił, a tymczasem ogół artykułów do użytku powszedniego, podniósł się jak 1 do  $3\frac{1}{2}$ .

Przedmioty, służące *do wychowania i do pracy umysłowej*, zebrałiśmy w osobną grupę, w której zawierają się: utwory sztuki, przyrządy fizyczne, matematyczne i optyczne; książki, mapy geograficzne, nuty, zabawki dziecinne, papier i narzędzia muzyczne. Ponieważ wywóz przedmiotów tych z Rosyi jest nie nieznaczącym (nie dochodzi nawet do pół miliona rubli), odsunemy go przeto na stronę, a zatrzymamy się jedynie na danych przywozu.

Rozbiór postępu w przywozie tej grupy, posłuży za nowy dowód do utwierdzenia czytelnika w konkluzji ogólnej, jaka z pracy naszej wynika, a mianowicie, że rozwój Rosyi uczynił wielkie kroki w ostatnich piętnastu latach, oraz że w zaszłych zmianach gospodarczych, znaczna rola przypada drogom żelaznym, których budowanie stanowi rys najwydatniejszy tego okresu.

Wartość przywozu tej ostatniej grupy po rok 1852, nie przechodziła 1 miliona rubli. W dziesięć lat potém, t. j. w r. 1862, już się podwoiła; ale odtąd postęp był daleko szybszym, gdyż w okresie od 1867 do 1875 r. widzimy przywóz trzy razy większy od tego, jakim

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tab. 11.*

był w r. 1862, czyli doszedł do 6 mil.; w r. 1876 wzrósł nawet do 7,9 milionów <sup>1)</sup>.

Nie wchodząc w rozbiór zbyt szczegółowy tych faktów ogólnych, dla jaśniejszego uwydatnienia ważności postępów dokonanych, przytoczymy kilka cyfr, odnoszących się wyłącznie do przywozu książek. Wartość zadeklarowana książek, nut, rysunków i map, sprowadzanych corocznie do Rosyi w okresie od r. 1830 do 1832, czyniła razem 190,013 rubli, a za rok 1876 wynosi 3,320,556 rubli.

Ażeby zamknąć ten statystyczny przegląd handlu zewnętrznego, spożytkujemy fakt, odnoszący się do grupy przedmiotów edukacyjnych i posługujących przy pracy umysłowej. Cyfry nam wskazują, że przywóz tych przedmiotów w latach dwudziestu, poprzedzających rok 1860, był prawie niezmiennym. Od r. 1860 do 1862, czyni on nagle krok znaczny, wnosząc się do 966½ tysięcy rubli. W r. 1869, t. j. kiedy budowa kolei żelaznych weszła już w okres wielkiej działalności, przywóz w grupie, o której mówimy, nie uczynił postępów nowych: wynosi on 961,000 rubli, t. j. nieco mniej niż od 1861—1862 r. Dopiero od r. 1870 wzrost poczyna się szybki: ogół dochodzi do 1,152,000, a wnosząc się wciąż prawie bez przerwy w latach następnych, dochodzi nareszcie w r. 1875 do 3 mil., a w r. 1876 do 3⅓ mil. rubli, czyli do cyfry przeszło dziesięćkroć wyższej od lat 1850—1852 <sup>2)</sup>. Jaką wskazówkę wyciągnąć z porządku, w którym odbyły się te zmiany? Zdają się one wskazywać nam, ażebyśmy nie tracili z uwagi faktu, o którym mówiliśmy już w pierwszej części, a mianowicie: że jakkolwiek wielką była rola dróg żelaznych w zmianach, nie można spuszczać z uwagi udziału reform. Bardzo trudno jest oddzielić ich wpływ ekonomiczny od wpływu kolei żelaznych, niepodobna nawet jać się tego z nadzieją dojścia do pewnej ściśłości; ale niemniej trzeba mieć zawsze na względzie obie te przyczyny, działające jednocześnie i wspólnie. Rzeczą jest naturalną przypuścić, że w niektórych objawach dokonanych ulepszeń, mianowicie stykających się ze stroną umysłową, rola reform była przeważną, kiedy drogi żelazne wywierały znowu wpływ znaczniejszy na postęp wytwórczości, a tém samém i handlu.

I tak, w grupie, o której mówiliśmy, ruch wzrastający, charakterystyczny, odpowiada zrazu okresowi od r. 1860—1862; owóz, lata te nie tworzyły epoki w budowaniu kolei żelaznych, ale stanowiły istotnie nową erę w instytucjach krajowych, erę reform. Rok 1861 jest wielką datą usamowolnienia włościan. Kraj zelektryzowany tym środkiem radykalnym, tym wielkim krokiem ku zbliżeniu z wolnym Zachodem, a zwłaszcza jego klasy inteligentne, rzuciły się z zapałem, tchnącym pewną gorączkowością, do nauki, do czytania. Wielka ta data

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Atlas, Handel zewnętrzny, tom IV, tab. VI.*

<sup>2)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Tom IV, str. 223.*

oznaczyła zbudzenie się ducha społeczności rosyjskiej, porzucenie (niestety, nie stanowcze) dawnych utopii szowinistycznych i słowiańskich, doktryn optymistycznych, zaszczipionych przez nieuctwo. Hasłem owoczesnym była chęć nauki, odzyskania straconego czasu, wstrzemięźliwość myśli publicznej, pewna skromność narodowa, nie wyłączając bynajmniej patriotyzmu. Tylko że patriotyzm mieścił się wówczas w szlachetnych i płodnych aspiracjach tego, co wtedy w Rosyji nazywano „skupieniem ducha.” Kraj chciał zebrać całość sił swych ku wewnętrznej pracy nad odnowieniem tak dawno zaniedbanem i miał słuszność, odwołując się do „wiedzy,” i biorąc ją chętnie gdzie się znajdowała i bezwzględnie na plemienność i narodowość, ażeby „módz.” Otóż wielka to nauka, jaką nam przywodzi na myśl, z pozoru tak drobny fakt przywozu przedmiotów edukacyjnych i do pracy umysłowej służących, w latach od 1860—1862, nauka, której i dziś lekceważyć nie godzi się z pewnością.

Ten kierunek ducha publicznego trwał krótko, i po latach siedmiu, bo w r. 1869 widzimy, że przywóz pomocy naukowych nie podniósł się, przeciwnie osłabł.

#### IV.

Rozebrawszy wpływ, jaki budowa dróg żelaznych wywarła na położenie ekonomiczne Rosyji, musimy rzec słów kilka o przesileniu, które zawiesiło postępy ekonomiczne kraju, oraz zniweczyło usiłowania ministerstwa skarbu, podejmowane dla zapewnienia równowagi w budżecie państwowym. Przedewszystkiem winniśmy tu zwrócić uwagę czytelnika na fakt właściwy finansom rosyjskim, mianowicie na ogromny obieg monety papierowej, z kursem przymusowym. Ponieważ wymiana papieru na kruszec nie istnieje, i zbyt widoczną jest niemożność w jakiej znalazłoby się Państwo, gdyby mu naraz przyszło masę puszczonej w obieg biletów kredytowych wykupić <sup>1)</sup> ażeby wytworzyć cyrkulację metalową; przeto łatwo się zgodzić, że wartość stosunkowo dość znaczna tych biletów w tranzakcjach prywatnych, świadczy przynajmniej o wielkiem zaufaniu w dobre zamiary rządu. Niepodobna jednak zaprzeczyć, że częste emisje nowych biletów kredytowych, jakie odbywały się w ostatnich czasach przed wojną, wywołały w publiczności pewne obawy, i prasa jednomyślnie potępiała to powiększenie monety papierowej wśród pokoju, i w okolicznościach nie zdających się usprawiedliwiać tego rodzaju ostatecznych środków wyjątkowych..

Owóż, emisje te, jakieśmy wyżej wskazali, miały cel specjalny. Służyły one do wzbogacenia funduszu wymiany. Fundusz ten, który 1 lipca 1864 roku wynosił 68,5 milionów rubli, tak urosł w ciągu

<sup>1)</sup> Dzisiaj około 1,100 milionów rubli.

lat 11 $\frac{1}{2}$ , że na 1 stycznia 1876 roku podniósł się do 231,2 milionów rubli <sup>1)</sup>).

Lecz cóż z tego kiedy i ilość biletów kredytowych, będących w obiegu w tymże samym czasie, wzrosła z 627,4 do 797,3 mil. rubli. Tym sposobem fundusz kruszcowy zwiększył się o 162,7 mil., za pośrednictwem 169,9 mil. nowych emisji monety papierowej, przeznaczonych do zakupywania złota i srebra za opłatą ówczesnej zakupowi zwyczajki <sup>2)</sup>).

Chodziło tedy o dowiedzenie się, jaki użytek uczynionym będzie z nagromadzenia w skarbcu Państwa kruszczu za przeszło 200 mil. rub. Czy próbować będą ustanowić wymianę, pomimo niepowodzenia, jakiemu podobna operacja uległa w r. 1862? Czy fundusz kruszcowy posłuży na zapas wojenny, jak *Kriegsschatz* pruski? Czy też fundusz ten, przez samo swe istnienie, nie wywierający prawie żadnego skutku na położenie finansowe, pomimo powiększania cyrkulacji monety papierowej, pogorszącej niewątpliwie stan ekonomiczny, nagromadzonym został bez żadnego z góry obmyślanego planu?

Tymczasem, kiedy zadawano sobie te pytania, wystąpiły około r. 1875 okoliczności szczególne, które postawiły w niebezpieczeństwie ów tak mozolnie przez długie lata zbierany fundusz kruszcowy. Widzieliśmy wyżej, jak przy nagłym wzroście cyfry operacji handlu rosyjskiego w ostatnim lat dziesiątku, przywóz dążył corocznie do coraz większej góry nad wywozem, co przeważało szalę handlową przeciwko Rosyji, a jako skutek naturalny, pociągało za sobą konieczne zapotrzebowanie weksli na zagranicę, wskutku czego objawiła się ciągła tendencja do stopniowego opadania kursu wymiany. Widzieliśmy również, że masa kapitałów zapożyczonych u zagranicznych kapitałistów przez rząd rosyjski, na budowę kolei żelaznych, znacznie powiększyła potrzeby samegoż rządu, czyto w kruszczu, czy w wekslach na zagranicę, dla zadosyćczynienia nadwyżce wypłat rocznych na rzecz długu, tak zwanego skonsolidowanego.

Zatém, kiedy kurs przestał być podtrzymywany przez napływ gotówki, wynikający z umieszczenia zagranicą wartości kolejowych, podaż weksli na zagranicę zmniejszyła się na giełdach rosyjskich, a gdy popyt tych weksli z przyczyn wyżej wskazanych, się zwiększał, kurs wymiany od miesiąca listopada r. 1875, zaczął widocznie słabnąć. Niepokój jaki już w tej chwili budziła kwestya Wschodnia i obawa iż rząd rosyjski może być wciągniętym do czynnego udziału w wypadkach, pomnażały kłopotliwość położenia. Rząd wtedy uciekł się do środków jakie miał w funduszu kruszcowym, dla sztucznego podtrzymania kursu wymiany, w celu zapobieżenia nagłemu i jak sądził naówczas, wielce szkodliwemu upadkowi tego ostatniego. Użył nasamprzód

1) *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyji.* Tom V, str. 28.

2) Tamże.

w tym celu zasobów kruszczowych, jakie miał na swym rachunku u bankierów zagranicznych; potem sprzedawał prywatnym złoto w monecie obcej, pochodzącej z funduszu kruszczowego w Petersburgu za bilety kredytowe, po kursie naturalnie bardzo korzystnym w porównaniu z tym, po którym kupował je przedtém, dla utworzenia swego funduszu kruszczowego.

Środek ten popieranym był przez większość ludzi specjalnie przedmiotami finansowemi zajmujących się. Lecz dobrze nam wiadomo, że byli i tacy co przedstawiali, że operacja zamierzona nie omieszką spowodować spekulacyi podobnej do téj, która wywołaną została próbą wymiany uczynioną w r. 1862; że komplikacye polityczne dopomogą jej znakomicie, rząd ujrzy się w konieczności wystąpić przeciw spekulacyi; że walka przeciw niej, nie będzie mogła być prowadzoną bez ścieśnienia cyrkulacyi i kredytu wewnątrz, co właśnie daleko więcej aniżeli upadek kursu naraziłoby sprawę przemysłu i handlu. Ludzie także fachowi tak rozumujący, kładli szczególny nacisk na to, że operacja mająca na celu podtrzymanie kursu wymiany, bezwarunkowo nie powinna stawianą być jako system, co najmniej do czasu rozproszenia się obaw politycznych i dopóki położenie zapewnienia trwalszego spokoju nie zyska.

Zdanie jednak przeciwne przeważało i administracya finansowa dla samolubnych widoków pewnej części giełdowników, popechniętą została do walki dla interesów ekonomicznych kraju złowrogiej. Od początku sprzedawania złota przez bank Państwowy, aż po wrzesień r. 1876, fundusz kruszczowy zmniejszył się o 57,1 mil. rub., gdy tymczasem cyfra biletów kredytowych będących w obiegu, zmniejszyła się tylko o 54 mil. rub. Spekulacya rozwijała się z początku zwolna, nieśmiało, i dopiero stopniowo, kiedy domy zagraniczne wzięły w nią udział, otrzymała regularną organizacyą z syndykatem na czele, złożonym z miejscowych finansistów. Papiery publiczne i weksle należące do syndykatu, składały się w banku Państwa, który za tą rękojmnią pożyczał spekulantom sumy w biletach kredytowych, służące im do zakupywania w tymże samym banku, weksli na zagranicę. Sumy kruszczowe nabyte tą drogą, służyły syndykatowi do zakupywania nowych walorów lub téż do składania jako rękojmnią na wypożyczające się u zagranicznych kapitalistów papiery publiczne rossyjskie, które przesłane następnie do Rosyi, służyły dla powtórzenia téj samej operacyi.

Tymto sposobem fundusz kruszczowy w niespełna rok zmniejszył się o 57 mil. rub., a ostrożne obchodzenie się z takowym, potrzebniejszem było niż kiedybądź, gdyż widnokrąg polityczny zachmurzał się coraz bardziej. Ale zamiast zaniechać operacyi podtrzymywania kursu wymiany, administracyi finansowej właściwszém zdawało się przedsięwziąć środki represyjne przeciwko spekulacyi. Bank Państwa wezwał banki prywatne i osoby, które otrzymały sumy najznaczniesze



w złocie, suponując że takowe należą do syndykatu, do wykupienia złożonych przez się funduszków, a nadto ograniczył swe operacye skupu weksli i pożyczek na papiery publiczne do tego stopnia, że powstała trwoga ogólna i ciężkie przesilenie.

Domy bankowe i bankierowie, podejrzani o branie udziału w operacyach syndykatu, mając gwałtownie cofnięte kredyty, zmuszeni byli zwrócić bankowi Państwa pożyczone odeń sumy, i naturalnie zaskoczeni zniemacka, z témże samém wymaganiem zwrócili się do swych klientów: Wszystko to wyrodziło panikę i brak środków obiegowych, bardzo niekorzystnie wpływający na handel i przemysł; aż przecie w miesiącu październiku 1876 r., kiedy wypadki polityczne przybrały charakter jeszcze poważniejszy, operacya podtrzymywania kursu została zaniechana.

Kurs wymiany pod wpływem téj operacyi i walki, którą ona wywołała, utrzymywał się zrazu dość długo na 0,81 kop. metal. za rubel kredyt., ale w końcu operacyi, zszedł na 0,787; a po ogłoszeniu uruchomienia armii, spadł na 0,75 kop. W r. 1877 bliskość grożącej wojny obniżyła go w początku kwietnia do 0,697; po wypowiedzeniu wojny i aż po miesiąc czerwiec utrzymywał się dosyć równo na 0,66, potem w miesiącu sierpniu jeszcze opadł do 0,64. Później, w roku 1878, zszedł na 0,60, doznając wszakże częstych zmian z dążnością ku nieznacznemu podwyższeniu.

Wyżej opisane okoliczności, nie mogły pozostać bez wpływu i na papiery wartościowe rosyjskie, obracające się na giełdach zagranicznych. Dla oznaczenia zachodzących zmian, weźmiemy z targu londyńskiego ceny obligacyi konsolidowanych rosyjskich pięcio-procentowych 1873 r. Na 1 paźdz. 1876 r. stały one po 90%; w listopadzie, na wieść o uruchomieniu armii, spadły do 77%; w marcu r. 1877, po podpisaniu protokołu konferencyi w Konstantynopolu, podniosły się do 87½%; nazajutrz po wypowiedzeniu wojny, to jest 25 kwietnia, kurs takowych wynosił 69½%; po przejściu Dunaju podniosły się do 80%; w październiku, po kilku niepowodzeniach wojsk rosyjskich, obniżyły się do 74%, z dążeniem do późniejszej podwyżki. Najznaczniejsze więc zboczenie, wywołane ostatnią wojną, nie przechodziło 20½%. Tymczasem podczas wojny krymskiej, pomimo małej ilości papierów rosyjskich znajdujących się podówczas w obiegu, fluktuacye były daleko znaczniejsze, i tak: na 1 stycznia 1854 r. pożyczki 4% (tak zwane „holderskie“) notowane były po 91%; pod koniec marca, za wejściem floty angielskiej na Bałtyk, po 65½. Zboczenie więc było 25½%.

Można przypuszczać, że taki stosunkowo korzystny kurs funduszków rosyjskich na giełdach zagranicznych w okolicznościach obecnych, częściowo przynajmniej, zawdzięczać należy zaprowadzeniu opłaty cła w złocie na komorach celnych, począwszy od 1 stycznia 1877 r. Środek ten nie tylko jednakże z tego względu zasługuje na szczególną wzmiankę. Według istniejącego podówczas kursu wymiany, pobiera-

nie ceł w złocie równało się podniesieniu ogólnemu taryfy celnej w stosunku 33<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, a tém samym protekcya dla przemysłu krajowego w tymże rozmiarze. Czy rzeczywiście protekcya ta dla przemysłu krajowego była potrzebną i jakie z niej skutki wyniknąć mogły dla ogólnego interesu państwowego, z punktu widzenia nie tylko samych producentów lecz i daleko liczniejszych konsumentów, zostawiamy na teraz bez odpowiedzi, rezerwując ją sobie przy rozbiorze rozmaitych gałęzi przemysłu naszego miejscowego. W każdym razie atoli, trudno przypuścić, aby rząd stanowiąc ten środek ogólnikowo na kilka miesięcy przed wojną, rzeczywiście miał na względzie protekcya przemysłu wewnętrznego, albo nawet czysto fiskalne powiększenie dochodów celnych. Jedynym powodem racjonalnym, który wpłynął na ustanowienie tego środka, zdaje nam się być zamiar dobitnego okazania, że pierwszym staraniem administracyi finansowej rossyjskiej, jest zapewnienie wypłat procentów i amortyzacyi, od zaciągniętych zobowiązań za granicą, w wartościach metalicznych. Ministerium finansów chciało faktycznie dowieść, że sposoby zadośćuczynienia przyjętym zobowiązaniom, nie zależą jedynie od możności zaciągnięcia pożyczek nowych za granicą, tak jak to utrzymywały organa prasy nieprzyjaznej Rosyi.

Ale bądź co bądź, faktem najwydatniejszym w dziejach finansowych ostatnich trzech lat w Rosyi, jest operacya podtrzymywania kursu wymiany, za pomocą środków funduszu kruszcowego. Jakoż niepodobna jest przypuścić, ażeby administracya skarbowa przedsiębrała zmniejszenie więcej niż o jedną czwartą część funduszu kruszcowego, nagromadzonego przez wiele lat i obstawała przy téj operacyi z narażeniem spokoju położenia finansowego wewnętrznego, przez środki ścieśniające cyrkulacyą a skierowane przeciwko spekulacyi, gdyby przewidywała bliskość, a choćby tylko prawdopodobieństwo wojny. Trudno uwierzyć zkądiną, aby ministrowie kierujący polityką zewnętrzną i zarządem wojskowym, nie przewidywali takiej możliwości.

## V.

W memoryale objaśniającym, dołączonym do sprawozdania z ostatecznego uregulowania rachunków za rok 1875, kontroler naczelny Państwa przyszedł do tego wniosku, że środki przedsięwzięte przez ministerium skarbu dla ulepszenia sposobów pobierania podatków, oraz dla usadowienia kilku z tych ostatnich na podstawach silniejszych, wydały już wszystkie swe owoce, i że dalszy wzrost w pobieraniu dochodów Państwa, zależy tylko od postępów w położeniu ekonomiczném samegoż kraju. „Naturalny wzrost dochodów Państwa, mówi dalej przytoczony przez nas dokument, może także nastąpić jako wynik postępowego rozwoju bogactwa narodowego, jeżeli wypadki zewnętrzne nie postawią przeszkód spokojnemu rozwojowi Państwa; ale nie było-

by zasady spodziewać się, aby wzrost ogółu dochodów postępował dalej w takim samym stosunku, w jakim postępował podczas upłynionych lat dziesięciu, chyba że odkryją się nowe źródła dochodu, albo nowe środki dla zwiększenia poboru ze źródeł istniejących.“

Widzieliśmy, że wypadki zewnętrzne stanęły w poprzek „spokojnemu rozwojowi“ Rosssyi. Ukażemy niebawem, na mocy danych, zaczerpniętych z rachunków roku następnego 1876, że pierwszy występ wojenny i koszta uruchomienia, już nadweryżyły równowagę budżetu i spowodowały przesilenie.

Jakież więc wobec tego być mogą następstwa wojny i obecnego duchem niepokoju napełnionego stanu kraju.

Rozbiór szczegółowy tego pytania, oczywiście nie może wchodzić w program obecnego artykułu. Powiemy tylko, iż mniemamy, że przesilenie to, gdyby przedsięwziętami zostały niektóre radykalne finansowe i administracyjne środki, mogłoby być przemijającym. Nie wdając się w ocenę, jakimi powinny być te środki, poprobujemy jednakże przedstawić to co jest możebnem, a mianowicie jakie być mogą warunki *spokojnego rozwoju Rosssyi*, czyli jakie jest jej położenie finansowe i ekonomiczne, bez względu na przyrost ciężarów czasowy lub trwałe, spowodowany przez wojnę.

Otóż, przypuścić trudno, ażeby Państwo znajdowało się rzeczywiście w tak korzystnych warunkach, a argumentem naszym głównym jest to, że jeszcze przed wojną, kilkoletni pobór podatków głównych zaczynał słabnąć, oraz że z drugiej strony samo nawet przesilenie, za ledwie się objawiwszy, wykazało brak jedności pomiędzy widokami różnych czynników, w których rząd się składa. Jakoż pokazaliśmy już wyżej, że podczas gdy usiłowania ministerjum skarbowego, przedsiębrane dla stawienia czoła rozmaitym trudnościom przesilenia handlowego, oraz dla utrzymania wymiany, odbywały się najenergiczniej, ze swjej strony: wojna zbliżała się wielkimi krokami, jakoby wbrew wydziałom specjalnie obowiązany, czyto do zapobieżenia jej, czy do dostarczenia administracyi finansowej wskazówek odpowiednich, mających ją przygotować do tego, co zdawało się nieuniknionem.

Uznanie dokonanych postępów ekonomicznych Rosssyi, nie przeszkadza faktowi, że system opodatkowania jest nieodpowiednim obecnemu już nawet stanowi społeczeństwa, i że bez wprowadzenia reformy w system podatkowy, istniejący w Rosssyi, dalszy, wskazany przez kontrolera naczelnego *spokojny rozwój*, jest niemożebnym.

W ogóle cały system finansowy Rosssyi, pozostał w tyle za postęпами dokonanymi w innych krajach Europy; polega on w gruncie na zasadach gospodarstwa z wieków przeszłych. Główne źródła dochodu Rosssyi, dziś jak za czasów Piotra W., przedstawiają się w podatku od trunków i opłat osobistych.

Nie wchodząc w szczegółową analizę pozycji budżetu rossyjskiego, co by nas zaprowadziło zbyt daleko, dość będzie położyć za zasadę, że jedno przynajmniej dzisiaj stało się rzeczą jasną, mianowicie, iż system podatkowy istniejący w Rossyi, winien być poddany przejrzeniu i przeistoczeniu z gruntu. Środki cząstkowe i paliatywy, pozostawiające system nietknięty w jego częściach głównych, pozostaną bez poważnego rezultatu. Istnieje w Rossyi komisya specjalna, mająca za zadanie studyować podatki i ulepszenia, jakie mogą być wprowadzone czyto w sposobie pobierania, czy w ich zasadzie. Komisya ta pracuje około lat 15-stu, z chwalebnią gorliwością nad zebraniem materiałów do zmian zamierzonych. Ale prace jej odnoszą się właśnie do poszczególnych rodzajów podatku, nie zaś do całości systematu. Tym sposobem trudno jest ująć plan ogólny reorganizacji, plan wyrozumowany, oparty na rozróżnieniu rzeczy istotnych od przydatkowych, potrzebnych od niezbędnych.

Komisya o której mowa, wyświadczyła przysługi, które my pierwsi uznajemy; jéjto zawdzięcza się w znacznej części wypracowanie o środkach finansowych, o którym wspomina memoryał kontrolera naczelnego, przez nas zacytowany. Ale kładziemy nacisk na tę okoliczność, że środki cząstkowe nic innego wysnuć nie mogą jak tylko przeróbkę, wśród której niepodobna będzie zdać sobie sprawy z względnej ważności potrzeb, jakim uczynić się ma zadość.

Potrzeby te są rozliczne. Na pierwszym miejscu stoi potrzeba ogólna, jaką uczuwa każdy rząd, to jest ażeby widział wzrastającą sumę swoich dochodów, a potrzeba ta występuje tém silniej w Rossyi, bo po zaledwo ukończonej, kosztownej wojnie. Idzie następnie interes gospodarczy, w moc którego, jednego rodzaju podatki winny wziąć pierwszeństwo nad drugimi, nawet i wtedy, gdyby i te ostatnie były wytwórcami. I tak np. podatek od soli, w swój normie obecnej, wpływa daleko niekorzystniej na rolnictwo, niż przysparza funduszu skarbowi. Interes gospodarczy w takich wypadkach, polega na ochronieniu rozwoju wytwórczości, z uszczupleniem nawet zasobów skarbowych. Idzie nareszcie względ ważny na stan zamożności kontrybuentów. Jeżeli położenie masy ludności, płacącej podatki, samo w sobie ukrywa wady, że tak powiem, kardynalne, nic z tego, co by wymyśleć można dla zwiększenia przychodów skarbowych, nie osiągnie rezultatu trwałego. Nie trzeba ludziom stojącym u steru zapominać bajki o kurze niosącej jaja złote.

Usamowolnienie włościan w Rossyi, dokonane zostało przez wykup otrzymanych gruntów. Owóz, ustanowienie w rozmaitych miejscowościach Państwa opłat rocznych, służyć mających na umorzenie kapitału wykupnego i na rzecz renty od tegoż kapitału, nie było wszędzie obrachowane w proporcji odpowiedniej rzeczywistemu dochodowi, uzyskać się mogącemu z gruntów uprawianych przez włościan.

Wynikło ztąd, że gdy w jednych miejscowościach wykup odbywał się bez wielkiego obciążenia włościan, w innych, mianowicie na

północy i w niektórych guberniach centralnych Cesarstwa, wykup przewyższał sumę dochodu, jaki włościanie mogli wyciągnąć z ziemi. Wytworzyło się ztąd położenie, nie mające nic wspólnego ani z zasadami nauki gospodarczej, ani nawet prostej sprawiedliwości.

Bo wyobraźmy sobie los rolnika, który obowiązany jest wykupować grunt swój ze stratą, który musi płacić rocznie rządowi w podatkach i ratach wykupnych sumę, przechodzącą dochód, jaki mu daje część gruntu. Dla zadośćuczynienia tym wypłatom, musi on pójść szukać daleko pracy dodatkowej, czyto uprawę gruntu pozostawiając rodzinie, czy wynajmując go sąsiadowi, czy też porzucając go zupełnie, jeśli nie w zasadzie, to w rzeczywistości. Boć to on dla tej niewdzięcznej ziemi, pracować będzie gdzieindziej, ażeby spłacić mógł to, czem go ona obciążała. W takim położeniu wyrzekłby się on chętnie przyznanej mu ziemi, i poszedłby się osiedlić gdzieindziej, na gruncie żywniejszym: ale ku temu potrzeba, ażeby nasamprzód dokonał wykupu od gminy gruntu który chciałby opuścić.

Oto jest stan rzeczy, któryby powinien zwrócić całą uwagę prawodawcy. Jeśli jaki środek finansowy winien być wprowadzonym natychmiastowo, bez oczekiwania na dojście do skutku całego systemu reform, to bez zaprzeczenia jest nim przejrzenie opłat za wykup gruntów, dla uczynienia słuszniejszego rozkładu, odpowiedniejszego rzeczywistemu dochodowi z ziemi. Na nieszczęście, i lubo rząd już przed kilku laty uznał potrzebę zaradzenia złemu, zaznaczonemu energicznie przez wszystkie organa mogące głos swój objawić, tém niemniej nie zdecydowano się na to aż dotąd, a reformy cząstkowe wprowadzone w pobór podatków, usunęły na bok tę potrzebę, istotnie pierwszorzędną. Czemu przypisać tę zwłokę, jeżeli nie brakowi systematu w wypracowaniu reform, jeżeli nie nieobecności szerokiej a silnej inicjatywy, polegającej na jednolitem przedsięwzięciu rewizyi organizacyi podatków, dla rozróżnienia w zmianach mających się dokonać tego, co jest nieodzowném, od tego, co jest tylko mniej albo więcej pożyteczném?

Ostateczny przegląd rachunków za r. 1876 oraz budżet na r. 1878, dają jednakże pod tym względem przestrożę poważną. Pierwszy, po pewnym szeregu lat, w ciągu których suma dochodów zwiększyła się około 17 mil. rub., za r. 1876 przedstawia zmniejszenie o 17 $\frac{1}{4}$  mil. rub. względnie do roku poprzedzającego. Rozbierając oddzielnie te gałęzie dochodu, którego pobór zależy więcej bezpośrednio od dobrobytu ludowego, mianowicie podatki osobiste, gruntowe i trunkowe, uważamy że pobór dokonany upadł niżej od r. 1875, zamiast rosnać, jak to bywało zwykle w ciągu szeregu lat. Pobór pod pierwszą z tych rubryk, spadł ze 117 $\frac{1}{3}$  milionów na 115, czyli o 2 $\frac{1}{3}$  mil. rubli. Trunki zamiast 197 $\frac{1}{3}$  mil. z r. 1875, dały tylko 191 mil., czyli wykazały zmniejszenie o 6 $\frac{1}{3}$  mil. rubli <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rossyi. Atlas. Financs, tablica II.*

Ostatni ten zwłaszcza fakt, zasługuje na zastanowienie. Dochód od trunków, skutkiem stopniowego powiększania wysokości opłat, wydał nareszcie w 1874 roku  $200\frac{3}{4}$  mil. Podatek ten sam jeden, przedstawiał prawie  $\frac{2}{5}$  całkowitej sumy dochodów zwyczajnych. Powiększeniu się téjto gałęzi dochodu, zawdzięczało się w znacznym stosunku ogólny wzrost dochodów zwyczajnych Państwa, w ostatnich latach dziesięciu. Ta elastyczność dochodu od trunków dowodziła już sama przez się, że środki klasy robotniczej się powiększyły. Daremnie podwyższanoby normę podatkową, pobór nie usprawiedliwiłby przewidywań, gdyby zarobki mas nie były się zwiększyły. Widzimy, że pobór tego podatku, przed wypuszczeniem dla celów wojennych ogromnej masy biletów kredytowych, zaczął się zmniejszać, lubo norma podatkowa pozostawała taka sama. Zmniejszenie to uczuwać się daje już od r. 1875. W r. 1875, trunki zmniejszyły się o  $3\frac{1}{3}$  mil. względnie do roku poprzedzającego, a w r. 1876, względnie do 1875 roku zmniejszyły się o  $6\frac{1}{3}$  mil. Wnioskiem logicznym z tego jest, że środki mas musiały się zmniejszyć. Wniosek ten stwierdza się zmniejszeniem podatków osobistych, oraz wzrostem podatków zaległych i opłat, wpływających mających tytułem wykupu gruntów.

A teraz, skoro mogliśmy spostrzedz, jak ważną rolę w zwiększeniu zarobków ludności odegrała budowa kolei żelaznych, wolno nam przypuścić, że osłabienie, wskazane przez nas w poborach budżetowych, mogło także w części przynajmniej zależeć od powstrzymania, właśnie poczynawszy od r. 1875, wielkich prac około budowy dróg żelaznych. Ale w jakim stopniu przyczyna ta działała, by wydać ten niekorzystny rezultat, któryśmy wskazali i czy działała ona sama jedna lub wspólnie z przyczynami innymi? oto, czego niepodobna nam zasadniczo określić.

Ażeby dać lepiej zrozumieć położenie chwili obecnej, dodać należy, że kiedy dochody objawiły w ostatnich czasach dążność ku spadaniu, zamiast ku wzrostowi, jak to było aż dotąd, wydatki tymczasem, wcale dalekiemi są od podzielenia tego kierunku. One dążyły zawsze tylko do zwiększania się. Nie znaczyło to nic, dopóki fakt ten wynagradzał się wzrostem równym, a nawet wyższym sumy dochodów. Ale położenie przybiera zgoła inny pozór od chwili, gdy dochody zdają się nie chcieć dać tego wynagrodzenia, a wydatki mają pójść dalej, w postępie rosnącym, na skutek ciężarów nadzwyczajnych, nałożonych przez wojnę.

W r. 1876, wydatki zwyczajne powiększyły się o  $29\frac{3}{4}$  mil. rubli, nie licząc 51 mil. wydatków, spowodowanych przygotowaniem wojskowi.

Oprócz wydatków nadzwyczajnych na koszt uruchomienia i uzbrojeń w r. 1876, okazał się deficyt  $5\frac{1}{2}$  mil. rubli, czyli zboczenie po-

między 559 $\frac{1}{4}$  mil. wpływów zwyczajnych i 561 $\frac{3}{4}$  wydatków zwyczajnych <sup>1)</sup>.

Budżet na rok 1878, oblicza dochody zwyczajne na 538 $\frac{1}{3}$  mil. (usuwamy wpływy i wydatki nadzwyczajne), a rozchody na 563 $\frac{3}{4}$  mil. Przewidzianym więc już w budżecie jest, deficyt 25 mil., a nawet 27, wraz z 2 mil. policzonymi na karb niewypłatności podatków. Co zaś do wydatków wojennych, ponoszonych poza obrębem sum budżetowych (pożyczki), te dochodziły dnia 25 grudnia 1877 r. do sumy 432 $\frac{1}{2}$  mil. Że w rzeczywistości dochody r. 1878, znacznie przewyższyły przewidywania i że dopiero co ogłoszony budżet na rok 1879, nie pokazuje deficytu, w niczem to nie osłabia dowodzeń naszych.

Zawielebśmy zбочyli od przedmiotu głównego, wchodząc w bliższe szczegóły obecnego położenia. Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że celem naszym nie jest rozprawianie o kłopotliwościach położenia chwilowego, ani o następstwach mniejwięcej trwałych, jakie ono wytworzyć może, ale o rozwoju ekonomicznym, objawiającym się w Rosyi w skutek reform, uskuteczniionych za panowania obecnego, oraz w skutek wybudowania sieci dróg żelaznych.

Zdaniem naszym, Rosya, dzięki tylko tym pierwotnym postępom, mogłaby wyjść z pewnych, trudno na kartach niniejszych określić się dających, warunkach, bez szwanku z położenia obecnego i przesilenie mogłoby być tylko chwilowem, albowiem nie trzeba sobie przesadzać doniosłości finansowego położenia Państwa. Choćby nawet nowe pożyczki, spowodowane przez wojnę, przyczyniły Rosyi nadwyżkę 65 do 75 mil. rubli w wydatkach na zaspokojenie długu publicznego, położenie finansowe kraju, *gdyby siły produkcyjne otrzymać mogły należytą sferę działalności*, nie nadwergęłyby się przez to bynajmniej. Od roku 1852 aż po r. 1875, Rosya mogła zdwoić cyfrę swoich wydatków (z 280 $\frac{1}{2}$  na 576 $\frac{1}{2}$  mil.), a w rezultacie ostatecznym, nietylko że nie naraziła swęj przyszłości, ale na miejsce deficytu 32 mil. (w r. 1852) zdołała osiągnąć pozostałość od wydatków 23 $\frac{3}{4}$  mil. rubli (w r. 1875). Jest więc zasada mniemać, że trudności chwili obecnej nie powinnyby bezwarunkowo narazić jęj przyszłości, tak jak nie naraziły jęj kłopoty, spowodowane wojną od 1853 do 1856 r.

Prawda, że znakomity ten rezultat, któryśmy wskazali, mógł być osiągnięty tylko z pomocą *środków nadzwyczajnych*, których wpływ dostarczył przedmiotu do naszej rozprawy. Ważne reformy, które odnowiły warunki życia społecznego, oraz budowa kolei żelaznych, która ożywiła siły wytwórcze kraju, rezultat ten spowodowały. Czy po tęj drodze reform płodnych i rozwoju sił gospodarczych, Rosya pójdzie dalej z nowym zapałem, kiedy rząd uwolni się od zatrudnień politycznych obecnych? Oto pytanie, w którym leży cała zagadka i losy przyszłe finansów Państwa.

<sup>1)</sup> *Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosyi. Atlas. Finance, tablica III.*

Gdyby rząd podjął ze stanowczością nanowo swe dzieło reformistyczne, gdyby znów oddał się skupieniu i rozwojowi wszystkich sił materialnych i moralnych kraju, bezwzględnie na ich położenie geograficzne i na ich pochodzenie, naówczas pomyślność zdawałaby się pewną, a przeszłość zaś za przyszłością świadczy.

## VI.

Dla zakończenia, mając za cel szczególnie w rozprawie téj, wykazać postępy gospodarcze Rossyi dzisiejszój, w porównaniu z Rossyą przed trzydziestu lub przed czterdziestu laty, uznajemy za rzecz pożyteczną przypomnieć w kilku słowach fakta najwydatniejsze téj różnicy, oraz rysy charakterystyczne obrazu porównawczego, któryśmy rozwijali przed oczami czytelnika.

W okresie poprzedzającym reformy i budowę kolei żelaznych, finanse Rossyi i jój położenie gospodarcze przedstawiały zacieśnienie, zdające się być bez wyjścia. Reformy i budowa kolei żelaznych, ożywiły wytwórczość i spożywczość tego kraju. Potężnie one wzmogły wywóz, mimo niekorzystnego wpływu na kurs wymiany, spowodowanego powiększeniem się wyplat rocznych, dokonywanych przez skarb rosyjski zagranicą. Rdzennie one nareszcie polepszyły położenie finansowe i gospodarcze Rossyi, powiększając ilość dochodu Państwa, usuwając deficyty roczne i dając handlowi, jako téż przemysłowi ułatwienia nowe, w systemacie komunikacyi udoskonalonym.

Następnie, wojna obecna przerwała pochod tego pokojowego rozwoju. Przesilenie, które wywołała, miejmy nadzieję, że będzie tylko chwilowém, ale byłoby bezwarunkowo groźném, gdyby systemat ogólny pozostał w stanie, w jakim widzieliśmy go przed wojną krymską. Dzięki spełnionym postępom, wojna obecna mogłaby nie pociągnąć skutków ekonomicznych tak niekorzystnych, jakie nawet pociągnęła wojna krymska. Zachodzi różnica stanowcza w warunkach bytu, a różnica ta polega na tym fakcie, że Rossya posiada dziś środki poprawienia, podźwignienia swych sił ekonomicznych, środki których niemiała w latach 1853—1856.

Tak więc obraz przeszłości, jako téż potrzeby przyszłości, godzą się raz jeszcze, ażeby dowieść świadectwem cyfr, że dobrobyt i potęga Państwa spoczywają nie w stagnacyi i odosobnieniu, ale przeciwnie w pochodzie postępowym i stanowczym naprzód, z innemi plemionami i narodami po wspólnój drodze rozwoju i swobód.



## SUMIENIE I MORALNOŚĆ.

PRZEZ

K. Łuczyskiego.

*Virtus satis habet virium, ut se ipsa tueatur.* Cnota dość jest silna, żeby się sama obroniła, mówili starożytni, a jednak bardzo dużo poświęcali czasu tak studjom psychologicznym w ogóle, jak w szczególności badaniom pojęć i zasad moralnych. Wprawdzie filozofowie starożytni, jak to zobaczymy niżej, nie mogli się wznieść do wyższych pojęć moralnych; wprawdzie zasady ich etyczne są z naszego punktu widzenia raczej zasadami szczęśliwego, przyjemnego życia: ale to jest rzeczą godną uwagi, że prawie każdy z nich zostawił bądźto cały wykończony system moralny, bądźto pojedyncze uwagi i zdania, mniej lub więcej trafne, mniej lub więcej głębokie. Inaczej rzeczy mają się obecnie, w wieku XIX. Fortlage, znakomity współczesny psycholog i filozof niemiecki, w jednej ze swych prelekcyi: *Ueber die Freundschaft*, wytyka Niemcom obojętność ich na badania etyczne, na studia psychologiczne. Istotnie, literatura niemiecka, bardzo bogata w utwory i dzieła ze wszelkich gałęzi wiedzy, uboga jest stosunkowo w dzieła psychologicznej i etycznej treści. Nasza literatura pod tym względem przedstawia zjawisko jeszcze smutniejsze, i tém smutniejsze, że nawet dzisiaj, kiedy ruch literacki, przynajmniej pozornie, tak się ożywił, rzadko można spotkać wśród wydawnictw literackich dzieło treści etycznej, a w pismach, artykuł treści psychologicznej lub etycznej. Tymczasem badanie kwestyi tego rodzaju ma, bez zaprzeczenia, wielką doniosłość i praktyczną wartość; ponieważ czyni z filozofii naukę żywotną, naukę praktyczną, „sprowadzając ją, filozofią, z nieba na ziemię,” jak się wyraził Cicero o Sokratesie, którego uwielbiał za to, że nie zapuszczał się w spekulacye metafizyczne, a nadał swęj filozofii charakter przeważnie etyczny.

Każdy wié, że w ciągu dziejowego rozwoju, systemata moralne ustawicznie i mniej więcej prawidłowo się zmieniały, ustępując miejsce innym, nowym i coraz doskonalszym; tych systematów obecnie jest

wielka mnogość i różnaitość. Każde niemal pokolenie miało swój odrębny system moralny, a system ten u jednych narodów reprezentuje religia, u drugich znowu wyłącznie prawo lub obyczaj, u innych znowu i religia i prawo.

U ludów starożytnych, kiedy sceptycyzm coraz więcej burzył dawne mniemania religijne, mniemania tém łatwiejsze do obalenia, bo im zawsze brakowało pierwiastków moralnych; systemata moralne wygłaszali filozofowie i mędracy. Pomiedzy licznemi, dotychczas znanemi systematami moralnemi, wielka, jak wiadomo, zachodzi różnica. Jaka to, naprzykład, ogromna różnica pomiedzy zapatrywaniami moralnemi pierwotnych ludów Wschodu lub tych dzikich barbarzyńców Europy, jój pierwotnych mieszkańców, którzy jeszcze na początku wieków średnich zabijali starców i ułomne dzieci, a zapatrywaniami moralnemi Ateńczyków w wieku Peryklesa, w wieku najwyższego rozwoju wiedzy, sztuki i poezyi—w wieku, kiedy poczucie prawdy i godności człowieka było tak żywe i tak głębokie, że tragedia grecka w obronie téj prawdy i téj godności występuje do walki z bogami! Jaka znowu ogromna różnica pomiedzy moralnością ludów pogańskich w ogóle, których bogi są uosobieniem wszechwładnej grozy, kary lub zemsty, a moralnością ludów chrześciańskich, których Bóg jest miłością, a ideałem moralności, już zapał dla idei i poświęcenie się dla bliźniego! Trudno, zaiste, spotkać ideał moralny szlachetniejszy i większy, jak ideał chrześciański; w nim bowiem tkwi ten niewysłowiony pociąg życzliwości i szacunku dla bliźniego, który nakazuje nam, jeśli nie przyczynić się do szczęścia bliźniego, to przynajmniej, cieszyć się jego szczęściem, pragnąć widzieć go szczęśliwym.

Tak więc pomiedzy systematami moralnemi, dotychczas nam znanemi, zachodzi wielka różnica; jednakże, pomimo tych różnic, jest pomiedzy niemi wiele wspólnego; wspólném mianowicie jest źródło moralności: źródłem tém jest sumienie i rozum. Wszystkie sądy moralne, przekonania moralne wszystkich ludów, jakkolwiek te sądy i przekonania bywają czasami poziome i zmysłowe, płyną z sumienia i rozumu człowieka. Rozum grał ważną rolę w dziejach moralności, jak tego łatwo można się domyśleć, ale sumienie było najgłówniejszym źródłem i kontrolą moralności.

W ciągu niniejszego artykułu będziemy jeszcze mówili nieraz o sumieniu, tu więc tylko nawiasowo powiemy znaną wszystkim rzecz, że sumienie jest w nas tym niezbędnym i niezwyrodnym wewnętrznym głosem, który posiada moc jakąś samoistną, który ostrzega nas mimo naszej woli o złem i dobrem, który burzy się i dręczy człowieka, jeśli działa on wbrew nawoływaniom sumienia; głos, który znowu, jak czystość błękitnego nieba, towarzyszy snom błogim ludzi, postępujących wedle zasad swego sumienia, czyli ludzi z „czystém sumieniem.” Bez obawy wyrzeczenia paradoksu, możemy po tém, cośmy powiedzieli utrzymywać, że człowiek działa moralnie, jeśli postępuje według su-

mienia, bez względu na to, czy czyny jego są złe czy dobre, bez względu na to, czy przyszłe pokolenie, czy ludzie drugiej narodowości, drugiego szczepu uznają te czyny za moralne. Szlachetne uniesienia i zapał dla wyższej idei, porywy do wielkich lub znacznych czynów, mając swoje źródło w pierwotnych idealnych popędach przyrody ludzkiej, pokrewne są popędowi sumienia; ono bowiem także najlepiej maluje się w zapale dla jakiegoś posłannictwa i zadania, w gotowości poświęcenia się dla obowiązku i t. d. Rozum zaś czyli logika, stosownie do swego rozwoju, nadaje ideałom człowieka, jego zapałowi, jego sumieniu, tę lub inną postać, ten lub inny kierunek; rozum, jednem słowem, oddziaływa znakomicie na rozwój moralności, jako drugi czynnik; oddziaływanie tego drugiego czynnika sprawia to, że moralność ma swoje dzieje, że sumienie ludzkie ukazuje się nam raz w tej, drugi raz w innej szacie, że moralność zmienia się. Ale z tego nie można jeszcze wyprowadzić tego wniosku, jaki wyprowadzają sceptycy, to jest wniosku, że moralności niewzruszonej, stałej niema; niemożna dla tego, bo na świecie zmienia się wszystko: zmieniają się poglądy religijne, zmieniają się zapatrywania i zwyczaje prawne, zmieniają się nareszcie kształty zjawisk świata nieorganiczonego; a przecież i tą zmiennością rządzą stałe prawa, czyli ta zmienność ma także swoje prawa! Oprócz tego, nie można zaprzeczyć, że we wszystkich tych zjawiskach, przy całej ich zmienności, jest jeszcze dużo cech, świadczących o tém, że zjawiska te są jednorodne z temi, doskonałszemi, którym ustąpiły miejsca, lub temi, które my uznajemy za lepsze, wyższe i doskonalsze. I tak, nikt nie może powiedzieć, że fetyszysta nie mający wyobrażenia o jedynym duchowym Bogu, a czczący drzewa, rośliny, robaki i t. d., jest bez religii. Przeciwnie na fetyszach i czczących je dzikich pogańskich ludziach widzimy potwierdzenie zasady, że poczucie religijne, lubo się zmienia, jest przyrodzone człowiekowi, tkwi w jego łonie, ale tylko czasowo objawia się w zabobonnej czci. Tak samo w kolejnym rozwoju człowieka odmieniały się prawa, przechodząc rozmaite fazy od najgrubszych dzikich, karnych praw, do humanitarnej administracyjnej opieki. Zmieniały się pojęcia prawa, ale poczucie prawa zawsze było. Odmieniała się nareszcie, jak wiadomo, postać kuli ziemskiej; ale prawa rządzące rozwojem świata pozostały te same. Tak samo zmieniały się pojęcia moralne; ale źródło ich i istota pozostały te same.

\* \* \*

Oddawna już filozofowie i niefilozofowie wygłaszali i wygłaszają to zdanie, że człowiek jest egoistą, chciwą i samolubną istotą. W pochodzie dziejowym rozmaite okoliczności raz mniej, drugi raz więcej sprzyjały tym twierdzeniom, a same te twierdzenia były nieraz przyczyną bolesnych, tragicznych wypadków, zwłaszcza jeśli stawały się przewodniem zapatrywaniem rządzących lub panujących. Ci ostatni,

czyto w chwilach jakichś przypadkowych zawodów, czyto w skutek doznanych niepowodzeń w swój działalności wewnętrznej i zewnętrznej, skwapliwie i chętnie przywłaszczali sobie podsycaną przez poziomych pochlebców niewiarę w zacość i poczciwość ludzi, chwytali się, dla naprawienia swych błędów środków gwałtownych, środków znanych obecnie pod nazwą *represyjnych* lub *reakcyjnych*; a środki te wskazywały, że ludzie—to trzoda, trzoda chciwa, samolubna. W czasach dzisiejszych do podsycenia mniemań o egoizmie człowieka najwięcej, zdaje się, przyczynia się źle zrozumiana teoria Darwina, mianowicie, jej rozdział: *Walka o byt*.

W ciągu dziejów, doktryny o egoizmie człowieka objawiały się pod rozmaitemi postaciami, a były już dobrze znane starożytności, u Greków i Rzymian, u których dosięgają nawet dosyć wysokiego stopnia rozwoju, na przykład w tak zwanym *epikureizmie*. W czasach nowożytnych spotykamy doktryny te w postaci empiryzmu angielskiego (Hobbes) i materyalizmu francuzkiego (Condillac etc.). Materyaliści utrzymywali nawet, że egoizm jest w człowieku popędem dobroczynnym, jest energią, potęgą, bez której człowiek pozostałby bezczynnym, albo niedołącznym i bezużytecznym członkiem społeczeństwa. Jednym słowem, egoizm czyli miłość własnego życia, własnego „ja” jest, zdaniem materyalistów, wysoką zaletą oraz cechą dzielnego człowieka; bez egoizmu człowiek prawie nie jest wart. Człowiek, według tej doktryny, jest maszyną fizyczno-chemiczno-duchową, która ma pewne potrzeby i te potrzeby zaspakaja wśród walki o byt, to jest wśród ciągłych trosk i niepokojów, których przyczyniają bądźto zazdrość i niechęć bliźnich, bądźto w ogóle trudności, jakie obejmujemy wyrazem „zbieg i wpływ mniej lub więcej nieprzyjaznych okoliczności.” Zaspokojenie potrzeb sprawia człowiekowi przyjemność; potrzeby niezaspokojone są źródłem uczuć nieprzyjaznych; w tém następstwie uczuć przyjemnych i nieprzyjemnych i kolejnym zaspokajaniu budzących się potrzeb upływa życie człowieka. Takie jest zapatrywanie materyalistów na życie ludzkie.

Przypatrzmy się wszakże bliżej przyrodzie ludzkiej, a przekonamy się, że poglądy epikurejczyków, materyalistów i t. p. są chyba tylko oddźwiękiem głuchego, jakiegoś mizantropijnego poglądu na świat, który w ludziach widział tylko zmysłowe istoty. Człowiek od przyrody uposażony jest w popędy, czyli inaczej mówiąc, wola człowieka na rozmaitych szczeblach rozwoju swego objawia się w różnorodnych popędach, których cechą między innymi jest i to, że są one przyrodzone. Na pierwszych, niższych szczeblach rozwoju człowieka, popędy objawiają się mimowoli; nietylko popęd żywienia się (ssanie) lub ciekawości jest objawem mimowolnym, ale wogóle wszystkie popędy w pierwszych swych objawach są bezwiedne, mimowolne. Jedne z tych popędów są duchowe, drugie cielesne. Te ostatnie mają istotnie ten pozór egoistyczny, o jakim mówią materyaliści, nazywając człowieka istotą samolubną, egoistyczną. Gdyby te popędy zostały zawsze ta-

kłemi, jakimi je znajdujemy na niższych szczeblach rozwoju człowieka, gdyby nie poddawały się kulturze, gdyby nie uszlachetniały się: nazwalibyśmy człowieka istotą egoistyczną. Ale właśnie tak nie jest. Przedewszystkiem wiadomo wszystkim, że popędy, jako popędy, to jest jako władze, siły przyrody ludzkiej, nie są ani złe, ani dobre; są to siły, które można nazwać neutralnemi. Powiedzieliśmy, że na początku rozwoju człowieka, popędy objawiają się mimowoli i człowiek stopniowo pozyskuje świadomość popędów. W miarę pozyskiwania świadomości popędów, nastaje dla nich nowa faza rozwoju, stają się one wtedy żądzami albo namiętnościami, t. j. pragnieniami doznanej, świadomej przyjemności. Dopiero na tym szczeblu rozwoju popędów, mogą się stać one złemi albo dobrymi; od tej bowiem dopiero chwili człowiek może tak lub inaczej pokierować swemi popędami, wytknąć dla nich poziome zmysłowe, lub wyższe szlachetne cele. Na tym szczeblu rozwoju popędów, zaczynają objawiać się także i inne cechy przyrody ludzkiej, cechy, które już mniejwięcej dokładnie malują wartość moralną człowieka. Na tym szczeblu rozwoju człowiek może, z jednej strony, nadużyć popędów lub też nabyć sztucznych nienaturalnych żądz i pragnień, t. j. może przejadać się naprzykład, nabyć zamiłowania do gry w karty, rozpływających trunków, palenia cygar i t. p. Z drugiej strony, pozyskawszy świadomość swych popędów, może je skierować ku celom idealnym, szlachetnym, t. j. skierować je ku tym celom, których dopięcie, częstokroć połączone z ofiarami i wyrzeczeniami się wszelkiego rodzaju, niema nic wspólnego z przyjemnościami zmysłowemi. Rozmiłowanie się w badaniach naukowych, dociekanie i miłość prawdy, pragnienie sławy, ubieganie się o cześć i poważanie współczesnych i t. d., są to wszystko rozkosze, niemające nic wspólnego z temi egoistycznymi, samolubnymi żądzami, których celem jest „utrzymanie bytu swego,” a które, mając za punkt wyjścia tylko „ja,” sięją między ludźmi rozdwojenie. To kierowanie popędów ku pewnym celom, nazywamy zapanowaniem nad nimi; zdolność zapanowania nad popędami i skierowania ich ku celom szlachetnym, t. j. zdolność wyrzeczenia się zmysłowych popędów i poddanie ich jakiejś idei, jest moralnością w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Zapanowanie nad sobą objawia się z początku, jako wyrzeczenie się niższego popędu i poświęcenie go wyższemu; w miarę rozwoju człowieka zdolność panowania nad sobą staje się łatwiejszą, a zarazem staje się źródłem i bodźcem dodatniej działalności moralnej.

Sofiści ateńscy mniejwięcej\* tak rozumowali. Ponieważ niema ogólnych i jednostajnych wszechludzkich pojęć moralnych, niema zatem obowiązujących i stałych zasad moralnych. Co nazywamy obecnie złem, dobrem, cnotą, występkiem, obowiązkiem, uczciwością, prawem, gwałtem i t. d., wszystko to jest warunkowe, przypadkowe i względne; wszystko to jest, jednym słowem, rzeczą dowolną, nareszcie rzeczą dobrowolną pomiędzy ludźmi ugody. Wyływa z takiego rozumowania

ten oczywisty wniosek, że tak zwana moralność jest albo mrzonką ludzi dobrodusznych, albo hipokryzyą tych ludzi, którzy co innego myślą, a co innego robią i mówią. Tak samo rozumują dzisiaj sceptycy, utrzymując zarazem, że najstosowniej, najsluszniej zrobimy, jeżeli za podstawę oceny czynów człowieka weźmiemy zasadę „korzyści.” Poważniej i głębiej traktują kwestyą moralności empiryści; lubo i oni w rezultacie twierdzą, że niema żadnej obowiązującej moralności.

Locke w swych *Essays*, Montesquieu w swém: *Esprit des loix*, w dziełach okazujących nawet na pierwszy rzut oka nader szczupłą znajomość dziejów i historii cywilizacyi, utrzymują, że moralność powstaje i rozwija się pod wpływem otoczenia, wśród którego dane społeczeństwo żyje, t. j. pod wpływem klimatu, gleby, powietrza i t. p. W ostatnich czasach teorią tę do krańcowych rezultatów rozwinął i posunął Buckle w znaném naszej publiczności dziele: *Historya cywilizacyi w Anglii* (tłómaczenie Zawadzkiego). Lubo empiryści znaleźli dużo zwolenników, wszakże dowodzenia ich są bardzo słabe; przedewszystkiém dowodzenia te są negacyjne. Wszystkie najgłówniejsze ich twierdzenia, oparte są na bardzo naciągniętych przeczeniach, negacyach; oprócz tego, w wywodach swoich popełniają oni ten, powiedzielibyśmy, sekciarski błąd, że skutek biorą za przyczynę, a przyczynę za skutek. Na przykład, jak jaskrawo i plastycznie usilują empirycy przekonać czytelnika, że pierwotne cywilizacye mogły rozwinąć się i zakwitnąć tylko tam, gdzie, jak w Indjach, Egipcie lub Grecyi, sprzyjały rozwojowi cywilizacyi warunki geologiczne i klimatyczne. Tu piękne niebo w połączczeniu ze znakomitemi portami (Grecya), tam urodzajność niesłychana (Egipt i rzeka Nil); indziej znowu, jak w Indjach, zespolenie rozmaitych dobroczynnych wpływów przyrody: oto są źródła i warunki rozwoju cywilizacyi, wedle zdania empiryków. Buckle, jak wiadomo, do znudzenia posuwa swoje drobiazgowo obliczenia związku i zależności, jaka zachodzi pomiędzy bogactwem danej miejscowości, a cywilizacyą jej mieszkańców. Wprawdzie, nie ulega wątpliwości, że nagromadzenie bogactwa przynajmniej w pewnych warstwach społeczeństwa jest prawie niezbędnym warunkiem wyższego rozwoju umysłowego, ale samo nagromadzenie bogactwa jest już dziełem i rezultatem cywilizacyi; nagromadzenie bogactwa bywa wynikiem albo mądrze skierowanój i wyzyskanój pracy, albo wynikiem ustroju społecznego, stosunków zewnętrznych i t. d. Wszak to jest, zdaje się, tak oczywiste! Podział bogactwa między ludnośćią danój miejscowości, ustrój społeczny, stosunki zewnętrzne, stosunki wewnętrzne, są to rezultaty długiej wielkowiej pracy, walki, wysiłków i mądrości całych pokoleń... Buckle zaś mniema, że duchowieństwo kasty indyjskie stworzyło! Buckle mniema, że moralność i religijne zapatrywania stworzyła... przyroda... przyroda, która jest „głucha i niema!” Pozwalamy sobie zapytać się empirystów, dlaczego dzisiaj Indye, Egipt i Grecya należą do krajów zacofanych (nie mówimy o Anglikach w Indjach)? Wszak warunki geologiczne pozostały te same?! Dlaczego Włochy, Włochy, nad któ-

ręmi roztacza się zawsze to samo piękne niebo, po upadku rzeczypospolitęj rzymskiej przedstawiały i dzisiaj przedstawiają obraz współczucia i politowania godny? Te same idee, jakie napotykaemy w dziele Buckle'a, rozwija amerykański chemik Draper w dziele p. t.: *Historja intelektualnego rozwoju Europy* (tłómaczenie Korzona).

Draper z odwagą naturalistów, sędzimy drugorzędnych, nie waha się utrzymywać, że „idea nieśmiertelności” powstała i zrodziła się w ludziach pod wpływem przyrody, mianowicie pod wrażeniem wschodzenia i zachodzenia słońca! Kiedy słońce zachodzi, człowiek sądził, że ono umiera; kiedy wszakże na drugi dzień ujrzał wschód słońca, wyprowadził wniosek, że ono zmartwychwstało, a ztąd wyprowadził jeszcze jeden wniosek, że ludzie także zmartwychwstaną i że jest nieśmiertelność duszy. Co za świetne i dowcipne rozumowanie! Czyli inaczej mówiąc, jakie płytkie sądy! jaka powierzchowność sądu! Wiadomo, że słońce robiło na pierwotnego człowieka najrozmaitsze wrażenia: jedni widzieli w niem dobroczynne bóstwo, drudzy demoniczną, niszczącą, suszącą istotę; jedni nazywali słońce piękną boginią, drudzy królem zwycięstwa. Zkądże to wszystko wzięło się? czy człowiek pierwotny wyczytał na słońcu wyrazy: bóg, bogini, król, nieśmiertelność? Czy też nosił te wyrazy we własnem łonie, w swęj duszy i przeniósł je na słońce, jak przeniósł i na inne przedmioty? Kto wogóle człowiekowi powiedział, że jest Bóg, nieśmiertelność i moralność? Wszakże dosyć tój polemiki! Każdy psycholog, każdy człowiek myślący wié z własnego doświadczenia, że wszelkie idee i pojęcia powstają w taki sposób, że się budzą, a nie narzucają. Każdą nową prawdę, każdą nową ideę człowiek akceptuje tylko wtedy, jeżeli mu poczucie wewnętrzne mówi, że ta idea czyli prawda jest oczywista; jeżeli człowiek zdolny jest rozumieć geniuszów, to pochodzi to ztąd, że myśli genialne tkwią w nim samym; jeżeli człowiek pojmuje rozumowanie logiczne, to pochodzi to ztąd, że logika jest mu przyrodzona. Człowiek we własnem łonie nosi przecucie prawdy, ideę nieśmiertelności i Boga, ale to przecucie i te idee niemają stałej i jednostajnej symboliki, ponieważ ludzie są istotami samodzielnymi i każda jednostka jest indywiduum odrębne, prawdziwie oryginalne.

Nad rezonowaniami sofistów ateńskich, materyalistów francuzkich i niemieckich, nad wywodami empiryków angielskich i amerykańskich nie potrzebujemy dłużej zatrzymywać się; natomiast postaramy się rozstrzygnąć przedewszystkiem pytanie, czy człowiek powinien robić to, „co mu nakazuje sumienie? czy téż ze względu na to, że sumienie niejednostajnie objawia się, człowiek niéma żadnego obowiązku być sumiennym? Co do pierwszej połowy powyższego pytania, to odpowiedź na nią daliśmy już wyżej; jednakże i tu dodamy jeszcze do powyższej odpowiedzi kilka słów. Jedném z najwięcej wstrząsających pytań, jakimi nas sumienie niepokoi, jest pytanie: „czyś tak powinien był działać?... Czy to powinno było stać się, a nie co innego?” W tém pytaniu brzmi odgłos tego, głęboko tkwiącego w duszy człowieka ideału moralnego, jaki ten lub ów nosi

w swém łonie. Sumienie ma także swoje logikę, logikę nieublaganą, tak jak ma tę logikę myślenie; etyka, uważana jako nauka o sumieniu uczy nas, co powinno być czyli uczy nas, czego powinniśmy chcieć. Jeżeli napotykanymi ludźmi nieoleicznie myślących z jednej strony, niemoralnie działających z drugiej, to wyjątki te nie wyłączały bynajmniej tej ogólnej zasady, że logika i sumienie, czyli etyka, mają dla człowieka znaczenie absolutne, bezwzględne; ponieważ ideał moralny, mniej lub więcej rozwinięty, tkwi w duszy człowieka, budząc naprzemian to pragnienie zacnych, szlachetnych czynów, to uwielbienie i cześć dla ludzi, działających podług tego ideału.

\*

\*

Z tego cośmy wyżej powiedzieli, możemy wyprowadzić ten wniosek, że sądy moralne, lubo zmienne i niejednostajne, mają znaczenie sądów absolutnych, bezwzględnych dla tych indywidualiów, które żywią te przekonania, te sądy; przypuszczamy przytém, że żywiący pewne sądy moralne przekonany jest, że sądy te są dobre, i że wszyscy ludzie moralni mają takie same zapatrywania i sądy moralne. To wielkie absolutne znaczenie sądów moralnych pozyskują wszakże tylko wtedy, jeżeli oprócz powyższego przymiotu, to jest szczerości, posiadają inne cechy sądów moralnych; do tych zaś cech, które nadają sądowi moralnym takie znaczenie, należy między innymi i ten warunek, żeby sądy te były niezależne od wszelkich względów, np. od względów osobistych, od względów korzyści lub przyjemności, zysków lub rozkoszy i t. d. Takie sądy, niezależne od osobistych i innych względów, nazywamy moralnymi. Ktoś np. nieświadomy sztuki pływania, rzuca się w wodę dla uratowania tonącego... Nie ulega wątpliwości, że człowiek ten postąpił nierozsądnie, bo narażał z jednej strony własne życie, z drugiej zaś, uprzedzając świadomych, dobrych pływaków, stanął im na przeszkodzie w niesieniu pomocy; ale nie ulega także i to wątpliwości, że czyn jego był dobry, moralny. Weźmijmy jeszcze jeden przykład. Rozsądną, roztrofną nazywamy tę działalność, która uwieńczyła się skutkiem lub która miała powodzenie; nierozsądną nazywamy tę, która nie uwieńczyła się pożądanym skutkiem. Człowiek rozsądny dla dopięcia swego celu użyje właściwych środków i potrafi wyzyskać każdą sprzyjającą jego celowi drobnostkę; ztąd pochodzi to, że dla człowieka rozsądnego, roztrofnego, każdy jest z uznaniem, i sam się on cieszy nie tylko z dopięcia celu, ale jeszcze więcej raduje go przeświadczenie o własnej przebiegłości i roztropności. Człowiek nierozsądny, głupi, nie umiejący chwycić się właściwego środka, nie umiejący wyzyskać okoliczności, nie dopnie zamierzonego celu; głupca ludzie wyśmiewają, a jego samego smuci nie tylko myśl o doznaném niepowodzeniu, ale może jeszcze więcej zasmuca go własna nieroztropność, budząc w nim uczucie to wstydu, to nieukontentowania. Trudno zapewne powiedzieć, które z tych dwu indywidualiów działało moralnie; ale to nie ulega wątpliwości, że nie możemy ani działania uwieńczonego dobrym skutkiem nazwać moralnym, ani też działania bez powodzenia niemoralnym.



Powyższe przykłady winny nas ostrzedz, że wartość moralna tkwi w czemś inném, niż w powodzeniu lub niepowodzeniu, i że sądy moralne nie powinny uwzględniać takich warunków i okoliczności działań ludzkich, jak osiągnięcie zamierzonego celu, zwycięstwo przebiegłości ludzkiej lub zręczne wyzyskanie przypadkowych okoliczności i t. d. Takie orzeczenia moralne, jak „dobry“, „zły“ lub „dobrze“, „źle“, są zupełnie niezależne od względów powodzenia lub niepowodzenia, zyskanych korzyści, poniesionych strat, wygod osobistych i t. d. Jeżeli więc sądy moralne są niezależne od żadnych względów pobocznych, to są one również absolutne, bezwzględnie obowiązujące dla tych, którzy je w tej lub innej postaci uważają za najwyższe zasady moralności. Wychodząc z tego punktu widzenia, pojmiemy, że łatwo się tłómaczy różnorodność systematów moralnych, jaką spotykamy i obecnie i w ciągu dziejowego rozwoju; pojmiemy także, że niema narodu bez zasad moralnych, niema ludu bez pojęć o moralności. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jak nie można nazwać Hindusów, Egipcyan, Chińczyków, Greków i t. p., ludźmi bez religii, tak nie można powiedzieć, że najdzikszemu naród, który zabija własne ułonne dzieci, jest bez pojęć moralności: nie można bowiem zaprzeczyć, że starożytny Egipcyanin, który religijną cześć żywił dla kota lub krokodyla, i który nie poważyłby się nigdy zabić krokodyla, bo mu nie pozwalało na to sumienie: nie można powiadać zaprzeczyć, że ten Egipcyanin działa moralnie dla tych samych pobudek, dla jakich chrześcianin, który uważa za zbrodnią i grzech śmiertelny zabicie człowieka.

\*

Pozostaje nam odpowiedzieć na drugie powyżej postawione pytanie: czy ze względu na to, że pojęcia moralności zmieniają się, ma człowiek obowiązek postępować wedle wymagań swego sumienia? Kiedy znowu jeszcze raz potrącamy kwestyą zmienności wyobrażeń moralnych uważamy za stosowne powiedzieć kilka słów w tej materii. Moralność Greków (patrz: *Kurze pragmatische Geschichte der Philosophie*, von Chr. A. Thilo, Cöthen, 1876 i 1877) znana jest mniej więcej każdemu; wszyscy my wiemy, że dzieje Greków i Rzymian, ich literatura i sztuki piękne, ich nareszcie mądrość państwowa, są pełne idealnych pierwiastków. Napotykamy tutaj zwłaszcza w początkowych dziejach tych narodów, tyle przykładów poświęcenia się dla dobra ojczyzny i narodu, tyle typowych, że tak powiemy, wzorów cnoty, tylu bohaterów czynu, rozumu i serca, że wcale się nie dziwnym tym zwolennikom tak zwanego „klasycznego systemu wychowania publicznego.“ Albowiem istotnie bliższe i głębsze zaznajomienie się z temi dziejami, z tym zapadłym ale wykończonym światem, jest może jednym z najlepszych i najskuteczniejszych środków podtrzymania w uczącej się młodzieży nastroju idealnego... Wszakże w ustach filozofów greckich, czyto skutkiem upadku moralnego w ostatnich czasach, kiedy w Atenach niebyło prawie męża stanu nieprzedajnego (Kolb: *Historia cywilizacji*), czyto skutkiem tego, że starożytność nie mogła wydać ze swego łona genu-

sza-filozofa moralności, któryby potrafił wytknąć społeczeństwu tak ideał, wzór moralności, jak i ściśle go określić; w ustach filozofów pojęcia moralne Greków streszczają się w jednym wyrazie: eudajmonia—szczęśliwość. Mówią wprawdzie o cnocie i wyróżniają cztery kardynalne cnoty: mężstwo, skromność, sprawiedliwość i mądrość *Ανδρεία, Σωφροσύνη, Αιξασία, Ζοφία* ale cnota nie miała u nich znaczenia samoistnego. Cnotę, dopełnienie obowiązku, starożytni filozofowie uważali za środek prowadzący do szczęścia i szczęśliwości, t. j. do spokojnego, niezakłóconego używania i cieszenia się życiem. Żaden z filozofów starożytności, nawet „boski“ Plato nie wniósł się ponad to zapatrywanie, ponad eudajmonizm. W wiekach średnich widzimy to samo. Pomimo tego, że chrystyanizm wniósł szczytne pierwiastki moralności, wniósł pierwowzór moralności, w wiekach średnich, prawdopodobnie skutkiem przewagi scholastyizmu, panował ten sam system moralny, jaki widzieliśmy w starożytności, mianowicie system Arystotelesa (*juste milieu*); był to system szczęśliwości. Wieki średnie nie znały nawet nauki etyki, nauki o moralności, jako nauki odrębnej, samoistnej, a podciągały tę naukę w zakres prawa, które nazywano wtedy *jus naturale*. Idąc dalej ku końcowi wieków średnich i początkowi czasów nowożytnych, napotykamy znowu tak grube jeszcze poglądy, tak zmysłowe, pozbawione wszelkiej psychologicznej podstawy rozumowanie o moralności w etykach Bakona i Spinozy, że mimowoli wypada wzruszyć ramionami na to ubóstwo umysłowe owoczesnych mędrców i filozofów, w których bardzo szczupła garstka wiedzy jednostronnej zagłuszyła naturalny głos serca. Dopiero ku końcowi XVII i na początku XVIII wieku, tak zwani angielscy „moralisci:“ Clarke, Hutcheson, Hume, Shaftesbury i inni dają początek nauce etyki, opierając tę naukę na właściwych podstawach. Oni przede wszystkim rzucają nowe światło na duszę człowieka, odśtaniają jęj głębie i utrzymują, że cnota jest podstawą moralności, a popęd do cnoty tkwi w duchu człowieka. Wszakże, lubo moralisci angielscy wielkie położyli zasługi w dziedzinie etyki i psychologii, jednakże pojęć swych i zapatrywań dokładnie nie rozwinięli i w system wykończony nie ujęli. Było też jeszcze zawcześnie na takie wykończenie. Z jednej strony wiedza we wszystkich swych gałęziach nie stała jeszcze tak wysoko jak dzisiaj. Z drugiej, moralisci ci stali niemal osamotnieni wśród licznych szeregów empirystów, sceptyków, materyalistów i t. p. Mało kto ich wtedy pojmował i mało kto popierał ich zdania. Skutkiem tych i „wielu innych“ przyczyn, widzimy w ich zapatrywaniach chwiejność, w twierdzeniach nieokreśloność, w zasadach mieszanie pojęć moralnych z uczuciami przyjemności i nieprzyjemności. Widzimy jednem słowem pomieszanie moralności ze szczęśliwością, znaną już nam z wieków średnich i starożytności. Stale wszakże utrzymują oni, że pojęcia moralne tak samo jak uczucia estetyczne, tak samo nareszcie jak w ogóle sympatyje i antypatyje, są dla człowieka obowiązujące, mają moc zniewalającą i znaczenie absolutne. Pojęcia moralne, uczucia estetyczne

i humanitarne, są cechą duszy, stanowią jej istotę; dusza pragnie piękna, szuka dobra w tej lub innej postaci.

Dopiero od czasów Kanta, Fichtego, Herbarta i innych owoczesnych filozofów, etyka i psychologia zostały wprowadzone na właściwy tor badania. Idąc tym torem obecne pokolenie, nasi współcześni: młodszy Fichte <sup>1)</sup>, Ulrici <sup>2)</sup>, Kulmann <sup>3)</sup>, Lotze <sup>4)</sup>, Rothe, Fortlage <sup>5)</sup> i wielu innych, wzniesli naukę etyki i psychologii na wysoki szczebel, odslaniając z jednej strony niewyczerpaną głąb' ducha ludzkiego, z drugiej odkrywając prawa, wedle których duch ten postępuje i rozwija się. Ich ideami przejęty, napisał Moriz Carriere znakomite dzieło pod tyt.: *Die Kunst im Zusammenhang der Culturentwicklung und die Ideale der Menschheit* <sup>6)</sup>, którego piąty tom (str. 672) wyszedł w r. 1874 w Lipsku, a które to dzieło na rozwoju ludzkości, na powstaniu mitów, religii, języka, ideałów ludzkich, na rozwoju poezji, sztuk pięknych i t. d., wykazuje praktyczną wartość postępów dzisiejszej nauki psychologii i etyki. Dzieło to cenne i znakomite pod każdym względem, pokazuje nam, że niepodobieństwem jest wytłómaczyć tysiącznych zjawisk, jakie napotykamy w rozwoju ludzkości, jeśli będziemy trzymali się zasad Hobbes'a, Locke'a, Montesquieu'go i t. p. Oprócz powyżej wymienionych dzieł, powinniśmy wspomnieć o bardzo poważnem francuzkiem wydawnictwie p. t.: *Bibliothèque de philosophie contemporaine*, jako wydawnictwie, które stoi na wysokości rozwoju dzisiejszych zapatrywań filozoficznych i wiele się przyczynia do podtrzymania obecnego ruchu moralnego i filozoficznego.

\*

\*

Odbiegliśmy cokolwiek od naszego zadania; nie odpowiedzieliśmy jeszcze na zapytanie na czele poprzedniego rozdziału postawione. Teraz więc, kiedy przedstawiliśmy, wprawdzie tylko pobieżnie, tak rozwój nauki etyki, jak i pojęć moralnych, przystępujemy do naszego zadania. Dzisiejsi etycy i psychologowie powiadają, że zbyteczną zadawali sobie pracę empirycy ubiegłego i bieżącego stulecia, wyszukując różnic w pojęciach moralnych w aktach starożytnych lub w obyczajach plemion oddalonych Ameryki, Afryki lub Australii. Jeżeli na zasadzie tych różnic chcieli oni ugruntować wnioski, że moralność i sumienie nikogo nie obowiązują, w takim razie dostatecznie jest obejrzeć się naokoło siebie, obserwować własne społeczeństwo. Poco to wyprawdzać wnioski na podstawie danych częstokroć bardzo niepewnych,

1) *System der Ethik*, Leipzig, 1851. *Psychologie*, Leipzig, 1864.

2) *Leib und Seele*, Leipzig, 1866.

3) *Die Christliche Ethik*, Stuttgart, 1874.

4) *Mikrokosmos, Ideen zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit*, Leipzig, 1869.

5) *System der Psychologie*, Leipzig, 1855. Oprócz tego piękne są jego odczyty osobno wydane p. n. *Sechs philosophische Vorträge*, Jena, 1869.

6) Dzieło to p. Sokołowski tłómaczy obecnie na język polski.

o jakichś zapadłych ludach, dzikich plemionach, kiedy tysiączne przykłady spaczonych pojęć moralnych mamy naokół siebie? Istotnie, w każdym niemal społeczeństwie napotykamy pewne zbrocenia moralne mniej lub więcej rażące, i przytém uświęcone zwyczajem. Do kategorii takich zbroceń można zaliczyć np. tolerowanie podstępu przy kupnie i sprzedaży koni; najwięcej wszakże napotykamy zbroceń i wykroczeń przeciwko wstrzemięźliwości, rzetelności, uczciwości i t. d. Lud prosty inaczej zapatruje się na pewne uchybienia moralne, jak klasa inteligentna. Są nareszcie dziwnie drażliwe stanowiska w życiu społeczném, stanowiska, na których człowiek zdaje się wieczną prowadzi wojnę z sumieniem i moralnością; tak zdawać się może że taki np. dostawca trumien pragnąłby, żeby ludzie jak najczęściej umierali, żeby warsztaty jego pracowni nigdy nie ustawały.

Przykłady te, których rozmaitość moglibyśmy znacznie urozmaicić i powiększyć, gdyby tego była potrzeba, pokazują tylko, że zmienić się może środek ciężkości uczucia moralnego, ale samo uczucie i sąd moralny przez to ani się zmniejsza, ani zmienia. Jeżeli bowiem nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy jednakowo czują i myślą, to nie ulega wątpliwości, że wszyscy zdolni są wznieść się na najwyższe szczeble rozwoju moralnego. Czyn moralny, czyn poświęcenia i zapału, znajdzie wszędzie uznanie i wywoła podziw nawet wśród ludzi mało rozwiniętych; ztąd każdy naród ma w swych podaniach, w swych pieśniach, bohaterów cnoty, moralności; a pamięć tych bohaterów otacza wysoką czcią. Jeżeli naród nie miał takich bohaterów lub zapomniał o bohaterach rzeczywistych, cześć swą przelewa na zmyślane fantazyjne postaci.

Jedną z najważniejszych cech ludowej poezyi jest jej moralność; wszędzie tutaj cnota tryumfuje, a występki bywa zawsze ukarany; dobro i prawda zawsze tutaj po dłuższej częstokroć walce z fałszem, ostatecznie odnoszą zwycięstwo. Jednym słowem, poezya ludowa jestto poezya dobra, cnoty i prawdy; pociąg do idealizmu, jaki objawia się tutaj w panowaniu dobra i cnoty nad złem i fałszem, jest może najwymowniejszym potwierdzeniem téj myśli, że poczucie moralne tkwi w duszy człowieka jako popęd przyrodzony. Nietylko bowiem polska ludowa literatura, ale literatury ludowe wszystkich narodów odznaczają się głęboką moralnością. Zważywszy te cechy ludowej poezyi, przychodzi nam do wniosku, że lubo lud prosty ma całkiem inne pojęcia moralne, jak warstwy wykształcone, jednak żywi on poczucie dobra i prawdy, wspólne wszystkim warstwom narodu. Idea dobra i prawdy jest u niego zupełnie inna jak u nas, ale jest. Jeżeli więc napotykamy w wyobrażeniach moralnych pewną różnorodność i niejednostajność poglądu, to nie powinno nas to niepokoić; dosyć bowiem na obronę moralności jest powiedzieć, że jej poczucie każdy nosi w swém łonie.

Mówiliśmy już wyżej, że empirycy usiłują obalić znaczenie moralności, twierdząc, że niema żadnej moralności, ponieważ niema stałych ogólnych zasad moralności. Usiłowaliśmy właśnie w powyższym

wykladzie objaśnić, że brak stałych ogólnych form czyli zasad, nie wyłącza potrzeby i pociągu do tych naturalnie, wyższych, stałych zasad. Empirycy także utrzymują, że moralność jest rzeczą zupełnie przypadkową, sztuczną, ponieważ zasady moralne zaszczeplamy dzieciom w domu i w szkołach, ponieważ pojęcia moralne rozwijają się pod wpływem pewnych warunków otoczenia. Empirycy nie spostrzegają, że właśnie ten fakt wykształcalności pojęć moralnych, dowodzi, że człowiek nosi w sobie zarodki i popędy pojęć moralnych; gdyby takowych nie posiadał, nie byłby zdolny rozwijać się moralnie. Jeżeli rolnik niema odpowiedniej gleby dla zasiewu, to i najlepsza jego pszenica rzucona na zły, nieurodzajny grunt, nie wyda żadnego plonu.

Z pomiędzy wszystkich stworzeń, jeden tylko człowiek umiał sobie stworzyć i ulepszać otoczenie; pod wpływem ulepszeń otoczenia kształciły się następne generacje, ale też każde z nich te ulepszenia posuwało jeszcze dalej; tymczasem zwierzęta żyją dotychczas wśród tego samego otoczenia, jakie miały przed tysiącem lat; a nawet rozwój cywilizacji nie oddziaływał na ich życie, obyczaj i otoczenie, bo zwierzęta nie mają zdolności kształcenia się, nie mają idei.

Gdyby wszyscy ludzie żyli i rozwijali się pod jednakowemi warunkami, i to warunkami przyjaznemi, mieliby, nie ulega wątpliwości, zbliżone pojęcia moralne, i przytém mniej lub więcej doskonałe. Sądziłyśmy nawet, że doskonałość moralna nie jest bynajmniej marzeniem utopistów. Jeżeli wszyscy ludzie będą mieli sposobność wykształcić się moralnie, jeżeli stosunki państwowe i społeczne tak się ułożą, że każdemu będzie zapewniony niezależny, bezpieczny byt: nie trzeba będzie wtedy ani kodeksów kryminalnych, ani straży policyjnej. Jednym z warunków, najwięcej zdaniem naszym, sprzyjających rozwojowi moralności, jest zabezpieczenie indywidualnego rozwoju; rozwój ten indywidualny najlepiej maluje się w skłonnościach i powołaniu człowieka. Dla wielu przyczyn rozwój indywidualny jednostki w Europie jeszcze nie jest zabezpieczony; widzimy tutaj jeszcze albo nieproporcjonalność wynagrodzenia pracy, albo trudność znalezienia zatrudnienia, pracy wedle skłonności, wedle myśli. W wyrazach: skłonność, powołanie, streszcza się zapewne istota człowieka, jego najżywsze sympatye, jego cnota, jego wielkość! Jakże ciężko cierpią ci, którzy nie znaleźli stanowiska odpowiednio do swych skłonności!

\* \* \*

Empiryści, sceptycy i materyaliści dla poparcia swych wywodów zwykli powoływać się na krwawe, pełne mordów i okrucieństw stronne dziejów, utrzymując, że te straszne zbrodnie, jakich się w ciągu dziejów dopuszczali mocniejsi, dowodzą egoizmu i niemoralności przyrody ludzkiej. Muzulmanie w epoce rozszerzenia swego panowania i walk wewnętrznych, Nerony, Bordże, wzajemne prześladowanie się i wytypianie sekciarzy, rewolucya francuzka, liczne nareszcie przykłady despotyzmu i okrucieństw pojedynczych ludzi: wszystko to, zdaniem empirystów i sceptyków dowodzi, że człowiek z natury skłonny jest do

okrucieństwa, że przyroda człowieka jest samolubną, chciwą i egoistyczną. Lecz pytamy empirystów, dlaczego oni potępiają te dzieje, te mordy, te okrucieństwa? Dlaczego nas wszystkich te okrucieństwa oburzają, budząc naprzemian to uczucie bóleści, to wstydu? Sądzimy, że uczucie oburzenia i wstydu, na wspomnienie o tych wypadkach, jest także mimowolne i nieprzewyciężone, jak np. uczucie wstrętu i politowania dla potwora. Wprawdzie pojęcie potworności jest względne, ale i potwory mają poczucie potworności, mają pewne sympaty i antypaty...

Nie można zaprzeczyć, oprócz tego, że podobne barbarzyństwa, jakich się dawniej dopuszczali silniejsi lub zwycięzcy, dzisiaj stają się coraz rzadszemi; z rozwojem człowieka poczucie moralności, poczucie prawdy coraz to większe odnosi zwycięstwa nad pobudkami i interesami osobistemi i zmysłowemi namiętnościami. Rozważając nareszcie dzieje w ich całości, napotykamy obok tych tragicznych zbrodniczych scen, nierównie większą liczbę obrazów cnoty, miłości bliźniego, zapatu dla pewnej idei i poświęcenia się tak dla jednego, jak i drugiej. Obserwując społeczeństwo bezstronnie, widzimy, że przynajmniej znakomita większość ludzi jest zacna, dobra, gotowa do wszelkiego rodzaju wyrzeczeń się i poświęceń nie z potrzeby, nie z konieczności, ale z popędu, jakiegoś niewytłómaczonego pociągu do cnoty. Gdyby było inaczej, gdyby ludzie z natury byli źli i samolubni, nie byłoby na świecie ani zwyczajnej wymiany usług, ani bezpieczeństwa publicznego. Człowiek, mówiliśmy o tém wyżej, nie jest od przyrody ani zły, ani dobry; materyaliści, sceptycy i empirycy są to, zdaniem naszym ludzie, którym się nie podobają dzisiejsze stosunki społeczne, których nie zadawalnia dzisiejsza moralność społeczeństw europejskich, którzy sami zatem żywią wyższe jakieś ideały moralne; ludzie są źli, powiadają oni, bo nie są tacy, domyślamy się, jakimi, wedle ich ideału, powinni być.

Cechą czynu moralnego jest, jak mówiliśmy, poświęcenie i wyrzeczenie się. Przypatrzmy się człowiekowi w jego pochodzie życiowym... Ile otacza go pokus, ile ułudnych ponęt zachwiewa jego kroki i zamracza jego wzrok! Tu, jeśli zaniedba on swoich obowiązków, czeka go najwyższa rozkosz; tam, pod tym samym warunkiem, świetna przyszłość, niespodziewane korzyści; tu i tam znowu z siłą jakichś demonicznych piekielnych potęg wabią go: blask, świetność, powodzenie, używanie i t. d. Z pomiędzy tych pokus, jedne mówią do człowieka: „wszak wielu nie dopełniło swych obowiązków,” a drugie wołają: „Korzystaj z okoliczności! Tyś szczęśliwy, tobie uśmiecha się szczęście!”

Wśród tych ponęt, wśród tych pokus, miotających duszą człowieka, jak burza jesienna zwiedłym, oderwanym listkiem, człowiek pozostaby bezsilną, bezbronną istotą, gdyby nie posiadał w łonie swém siły większej, jak demoniczna potęga pokusy, siły, która jest dla niego punktem oparcia w tych okropnych, męczących i zdradliwych chwilah życia. Siła ta czyni człowieka bohaterem; kobietę dobrą córką, żoną i matką; mężczyznę dobrym synem, ojcem i obywatelem kraju: siła ta nareszcie znie-

wala człowieka do wyrzeczenia się, do ponoszenia przykrości, smutków i boleści wszelkiego rodzaju. Któż nie zna tych skromnych bohaterów życia, którzy zawsze, wśród najzmienniejszych kolei życia, pozostali wierni danemu słowu? Kto nie zna tych skromnych, zacnych ludzi, którzy wszystko poświęcili: bogactwa, stanowisko w świecie i nawet rozgłos dla wywiązania się należytego z poleconej im roli lub dopełnienia roli, którą czują, że powinni odegrać w świecie? I cóż tych ludzi i nas wszystkich zniewala do dotrzymania słowa, do wytrwania na stanowisku, do poświęceń i wyrzeczeń się? Sumienie: ono jest tą potężną siłą, która czyni człowieka bohaterem, bez której on byłby istotą słabą i marną. Ileżto jest męczenników cnoty, t. j. męczenników tych idei, dla których żyli naprzykład święci, anachoreci! Ile w ich życiu wyrzeczenia się, jakie poddanie się czemuś wyższemu, jakimś idealnym celom! Oto jeden z nich, pędząc życie na modłach i rozmyślaniach, przez całe życie swoje spożywa tylko Komunię Świętą i pije wodę; drugi nigdy nie używa pokarmów mięsnych, a inny znowu żywi się korą drzew lub korzeniami i łodygami roślin. Przypomnijmy sobie tych męczenników, których palili, ścinali, wieszali; przypomnijmy sobie tych mędrców i nie mędrców, którzy woleli umrzeć, jak odstąpić od swych zasad lub na jotę zmienić swe przekonania. Zastanówmy się narzeczcie, że każdy z nas ma także pewne swoje przekonania, od których odstąpić sumienie mu nie dozwala; zestawivszy to wszystko, musimy przyznać, że jest w człowieku jakiś wewnętrzny, tajemniczy i głęboki głos, który dla niego jest najwyższą wyrocznią. Głos ten sumienia nakazuje człowiekowi działać i żyć moralnie, bez względu na wszelkie okoliczności; głos ten nieraz staje w sprzeczności z opinią publiczną i nie zgadza się z panującymi zwyczajami, stanowczo nakazując postępowanie wbrew przeciwnym opiniom lub obyczajom, a żądając dopełnienia tego, „co powinno być.” Kto słyszał, w godzinach udrećzającego wahaniasię, w sobie ten głos; kto doświadczył siły tego głosu w chwilach bolesnej, rozpaczliwej walki egoizmu z cnotą, popędów moralnych z olśniewającą potęgą pokus, przyznać winien, że głos ten, że sumienie i sąd moralny nie jest w nim jakieś sztuczne, przypadkowo zaszczerpione mniemanie. Rozważając rozwój swego sumienia, obliczając wszelkie wpływy wychowania i otoczenia, on widzi, że sumienie to istotnie ciągle się doskonaliło, że stawało się coraz to wrażliwszem i szlachetniejszym, ale przyzna, że zawsze to była ta sama siła poczucia dobrego i złego, która, jako taka, w niczem się nie zmieniła od chwili, kiedy pierwszy raz człowiek o nią świadomość pozyskał. Sumienie posiada każdy człowiek i niema, o ile wiemy, narodu bez sumienia, bez pojęć moralnych, lubo sumienie i pojęcia moralne w rozmaitej objawiają się postaci. Kiedy wszakże człowiek postępuje i działa wedle własnego sumienia, on mniema, że wszyscy ludzie sumienni, dobrzy, postępowałiby tak samo; ten ostatni objaw jest także charakterystyczną cechą sumienia. Siła ta, będąc w nas poczuciem indywidualnem, jest zarazem po-

czuciem uniwersalném, poczuciem wszechludzkości; sumienie, jak to usiłowaliśmy przedstawić, leży poza obrębem naszej woli i świadomości. Ztąd sumienie nazywają słusznie jednym z przyrodzonych popędów; jako taki, jest on uniwersalny, bo właściwy wszystkim ludziom. Z drugiej strony jest on indywidualnym, bo dajemy mu przewagę, bo dobrowolnie i ze świadomością idziemy za jego nawoływaniem w godzinach walki lub wahania się, w godzinach, kiedy mogliśmy działać przeciwko sumieniu. Sumienie objawia się, zapala i wybucha w nas także mimowoli i bezwiednie (t. j. mimo naszej woli i wiedzy), jak mimowoli budzi się zapal i natchnienie, jak mimowoli sobie coś przypominamy, czego przedtém nie mogliśmy przypomnieć, pomimo całego wysiłku woli; objawia się sumienie także mimowoli, jak wielkie myśli w duszy wielkich ludzi. Do rzędu tychże mimowolnych objawów, należy zaliczyć i to, że mimowoli uznajemy prawdę cudzych twierdzeń, prawdę aksyomatów i t. d.

#### ZABOBONY METEOROLOGICZNE

### ludu nadnarwiańskiego.

PRZEZ

*Zygmunta Glogera.*

W dalszym ciągu tego, cośmy jako cząstkę materiału etnograficznego przez nas zebranego w okolicach Tykocina, Białegostoku, Wizny i Łomży, a zacierającego się z dniem każdym pod wpływem oświaty i nowszych pojęć, drukowali w *Bibliotece Warszawskiej*: (*Zabobony rolnicze*, r. 1876, t. II str. 376 i *Przesady pszczolarskie, myśliwskie i rolnicze*, r. 1876, t. IV str. 552), tudzież w wydanym przez Akademię Umiejętności, w pierwszym tomie, *Zbioru wiadomości do Antropologii krajowej* (*Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego, tyjące: platków, plazów i owadów*), podajemy dziś *Zabobony meteorologiczne* starych ludzi z okolic powyżej wymienionych.

#### Słońce, miesiąc (księżyc) i gwiazdy.

1. W wigilią św. Jana Chrzciciela słońce przy wschodzie i zachodzie trzy razy „igra” czyli skacze. Niektórzy utrzymują, że to bywa przy wschodzie w wigilią św. Piotra i Pawła.

2. Kto pszenicę sieje w dniu, w którym słońce i miesiąc jednocześnie (rano lub nad wieczorem) widziane są na niebie, będzie miał plon nienamętny, bo wiele kłosów będzie pustyich.



3. Pracować w polu po zachodzie słońca nie godzi się, a kto jakiegokolwiek ziarno w tej porze rzuci w ziemię, temu plon zniszczą mrówki lub inne robactwo.

4. Każdy człowiek ma na błękanie nieba swoją gwiazdę, a gdy umiera, gwiazda jego wtedy spada. I tém lud sobie tłumaczy gwiazdy spadające <sup>1)</sup>.

5. Drzewo do budowy ścinać należy na nowiu księżyca <sup>2)</sup>.

6. Kołtun obcinać można tylko w chwili zachodu słońca, aby złych skutków obcięcia nie sprowadzić.

7. Kto się urodzi pod konstelacją raka, będzie mu w życiu wszystko szło rakiem; doświadczy samych niepowodzeń.

### Piorun, błyskawica i grzmoty.

8. Gaszenie pożaru wszczętego przez piorun, starzy wieśniacy uważali za grzech, utrzymując, że to ogień z woli Bożej, którego człowiek nie powinien i zresztą nie jest w stanie ugasić, chyba drugi piorun gdy w to miejsce uderzy i ugasi, gdy Bóg tego chce.

9. Drzewo, w które piorun uderzył, ani na budowlę, ani na żaden sprzęt i statek domowy użytém być nie powinno, tylko na ogień.

10. Dusza człowieka zabitego przez piorun, szczęśliwą jest, gdyż piorun zabija z ciałem jego grzechy ziemskie.

11. Młodzież wiejska usłyszawszy pierwsze grzmoty na wiosnę, przewraca na trawie koziołki, aby krzyż ją nie bolał przy sierpnie na żniwa.

12. Kto w dzień Przemienienia Pańskiego lub św. Piotra żnie zboże przed południem, temu piorun zboże w kopach spali. Ztąd św. Piotr w okowach (dnia 1 sierpnia) otrzymał u ludu nazwę *Piotra palikopy*.

13. Jeżeli podczas kwitnięcia leszczyny na wiosnę, zdarzy się daleka, sucha błyskawica zwana *malanką*, to urodzaju na orzechy nie będzie.

### Burza, dészcz, tęcza i pogoda.

14. Przed burzą okadzają niekiedy dom wiankami (z macierzanki, rozchodniku, kopytniku i nawrótki) poświęcanemi w oktawę Bożego Ciała, czyli w ostatni nieszpór. Dochowała się także tradycja obchodzenia domu z dzwonkiem loretańskim.

<sup>1)</sup> W myśl tego wierzenia Słowacki mówi w *Śnie srebrnym Salomei*:  
 „A czwarta — ach! a czwarta spada,  
 I nad Gruszczyńcami zgasła?  
 Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,  
 Widząc tę gwiazdę przy zgonie.”

<sup>2)</sup> Kato zaleca ścinać drzewo tylko w pewnych kwadratach księżyca. Tyberyusz strzyże sobie głowę tylko na nowiu (Tacyt, XVI, 75).

15. Żeby grad przestał padać, należy wyrzucić przez okno srebrną łyżkę.

16. Gdy jednocześnie dęszcz pada i słońce świeci, wtedy królowa płacze a czarownica masło robi.

17. W dzień Przemienienia Pańskiego dęszcz zawsze musi padać lub popryskać przynajmniej.

18. Tęczę uważa lud jako trąbę, przez którą chmura wciąga w siebie wodę z rzek, jezior i stawów. Z wodą porwane bywają i ryby, które po zniknięciu tęczy spadają i można je znaleźć na polach <sup>1)</sup>.

19. Przepowiednią dęszczu jest kąpanie się wróbla w piasku, kaczek w kałużach, niski lot jaskółek, pianie koguta, w czasie zimy ukazanie się komara w izbie. Wysoki lot jaskółek wróży pogodę. (Lud wotyński mniema, że aby w czasie suszy dęszcz sprowadzić, należy bądź raka żywego w ziemię zakopać, bądź wyczyścić z błota krynicę, bądź wsypać do źródła garść maku).

20. Na pierwszy, ciepły dęszcz wiosenny, rada wybiega działwa miejska, powiadając, że prędkiej urośnie.

### M r ó z.

21. Siadanie wron na wierzchołkach drzew, jest w porze zimowej przepowiednią mrozu, a siadanie wśród gałęzi przepowiednią odwilży i snoty.

22. Ażebymróż ustał, należy wyliczyć bez przerwy „dziewięć dziewięciu” czyli 81 nazwisk osób łysych.

### Wróżby atmosferyczne inne.

23. Z sześciu dni ostatnich i tyłuż pierwszych w roku, to jest z dwunastu dni, licząc od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, bierze się prognostyk na dwanaście miesięcy nowego roku. Pogoda ranna, południowa i wieczorna, oznacza pogodę na początku, w środku i na końcu odpowiedniego miesiąca.

24. Na ile dni przed Zwiastowaniem Najśw. Panny pszczoła wyleci z ula, tyle tygodni po Zwiastowaniu będą trwać przymrozki i zimna.

25. Jeżeli kukułka zakuka przed rozwinięciem się drzew, czyli jak mówią „na suchy las,” to jeszcze długo będą trwały chłody wio-

<sup>1)</sup> Baer w swoim dziele: *Der Vorgeschichtliche Mensch*, str. 425, powiada, że w wielu stronach zachodniej Europy, lud utrzymuje, iż w miejscu gdzie tęcza dotyka się ziemi, spadają z niej cienie monety, które lud niemiecki zowie stąd: *Regenbogenschusselchen*. Są to starożytno brakteaty ludów celtyckich. Wnosić z tego trzeba, iż wszystkie ludy uważały niegdyś tęczę za rodzaj trąby, bądź wciągającej wodę z ziemi do chmur, bądź unoszącej inne przedmioty.

senne. Jeżeli zaś długo kuka po św. Janie (Chrzycielu), to wróżba długiej, cieplej jesieni.

26. Pory roku przybywają z dwu przeciwnych stron świata: jesień i zima z północy, wiosna i lato z południa. Jeżeli więc zauważano, że powracający z południa na wiosnę bocian przyleciał z suchymi piórami, to w lecie spodziewano się suszy, jeżeli zaś omokły i zaszargany, to lato dżdżyste wróżyło sobie.

### W i c h e r.

27. Gdy człowiek się powiesi, powstaje wicher kilkodniowy.

28. Podczas pogrzebu pocziwego człowieka, bywa pogoda, a złego, zawierucha. Gdy się to sprawdzi, mówią: „jakie życie, takie pochowanie.”

29. Wiatr wirowy wśród spokojnego powietrza unoszący słupek kurzu, lud zowie *dyablém weselem* lub *wichrem* i utrzymuje, że to szatan się żeni, a kto by dostał się tam, tego wicher porwie w taniec dyabelski i uniesie w powietrze. W czasie zawiei śnieżnej, mówią także, że się dyabli żenią.

### Komety i inne zjawiska na niebie.

30. Wszelkie zjawiska niezwykle na niebie, lud uważa za wróżbę wojny i wielkich wypadków w świecie, lub głodu powszechnego, nazywając: „znakami niebieskimi.” Słupy czerwone (zorzy północnej) lud nadnarwiański bierze za zapowiedź krwawej wojny, (lud zaś wołyński za przepowiednię trzęsienia ziemi).

### Strony świata.

31. Kto śpi głową zwrócony na *północ*, śpi twardo i nie postyży, gdy go okradną złodzieje. Na *zachód* sen także mocny. Kto głową śpi na *wschód*, śpi czujno i obudzi się o wschodzie słońca, a kto na *południe*, ma sen niespokojny i gorączkowy.

# Hieronim Spiczyński.

(wiadomość bibliograficzna).

PRZEZ

Gustawa Zielińskiego.

Porządkując moje książki, wpadły mi w ręce dwa starożytne folianty, bez kart tytułowych i znacznie uszkodzone, które po zdeterminowaniu okazały się, że to są druki krakowskie, z pierwszej połowy XVI-go wieku, pochodzące z drukarni Unglerowój, to jest:

1<sup>o</sup> Crescentyna Piotra: *O sprawach pożytków wiejskich albo rolnych, dwojenaście ksiąg*. Kraków, w drukarni Heleny Unglerowój, 1549 r. in folio.

2<sup>o</sup> *O ziołach tutecznych i zamorskich i o mocy ich, a k'temu księgi lekarskie, wedle rejestru niżej napisanego wsiem wielmi użyteczne*. Cracoviae apud viduam Floriani Unglerii Anno Domini 1542 cum gracia et privilegio. Kart 240 jedną stroną liczbowanych in folio <sup>1)</sup>.

Tytuł drugiego dzieła wypisałem z broszury Adama Tomasza Chłędowskiego p. t.: *Spis dzieł polskich, opuszczonych lub źle oznaczonych w Bentkowskiego Historji Literatury polskiej*. Lwów 1828 r., in 8-vo na str. 86 <sup>2)</sup>, gdzie Chłędowski obszerny artykuł poświęca opisowi tego dzieła i uważa je jako *bardzo rzadkie*. W szczegółowym opisie, Chłędowski daje tytuły wszystkich rozdziałów, mówiąc, że nauka barwierska kończy całe dzieło; nadmienia, że w bibliotece lwowskiej jest całkowity początek dzieła tego aż do karty 169, a w zmi-grodzkiej bibliotece hr. Stadnickich, jest ułamek od karty 100 aż do końca. Nareszcie domyśla się, że autorem tój księgi jest Hieronim Spiczyński, opierając swoje domysły na tém, że na karcie 216, mówiąc o różnych doświadczonych lekarstwach, pisze: „Czo gdy od nas za

1) Że obadwa te dzieła pochodzą z oficyny Heleny Unglerowój, na to mamy dowód w esach i floresach, które wierzch i spód każdej strony stanowią, a które w podobiznie dał Lelewel w *Dwojgu księgach bibliograficznych*, nazywając je kwiatasami (tom I, tab. X).

2) Ostrzedz winieniem, że broszura Chłędowskiego źło jest paginowana. Stronnice są porządkiem liczbowane do stron. 95, a po niej nanowo rozpoczyna się stronnica 86, na którą powołujemy się.

wdzięczne przyjęcie, a rychło rozkupicie, będziemy o tém myśleć, że wam jeszcze więcej tego skarbu pan H. S. przymnożyć będzie raczył;" dalej na karcie 225: „Jam téż Hieronimus z doktorów najniższy u ludzi szlachetnie a wysoce urodzonych, za łaską Boga miłego, wielką sławę wziął dla dowodu o jego pożyteczności, w niemo-cach przerzeczonych." W dedykacji zaś mówi Floryanowa do Gasztolda: „Nie chcę tu wyliczać przodki wielmożne W. W. Oycza tak mądrego, którego sprawa a mądrość niemal po wszystkich świecie słyneła. O których wszechrzeczach, dali mi są sprawę wielci panowie, y téż pan Hieronim Spiczynski rada miasta Krakowa herbowny Wielmożności Waszej."

Daléj powiada Chłędowski, że należy Spiczynskiemu wrócić sławę, iż był pierwszym pisarzem o botanice w języku polskim, albo przynajmniej razem z Falimierzem pracował. Słowa bowiem przedmowy w *Zielniku* Falimierza: „Mój wielki łaskawiec Pan H. S. i wiele innych dobrych przyjaciół za to mię żądali i prac swych przy mnie... nie litowali," pewnie do kogo innego nie odnoszą się, tylko do Spiczynskiego, który dla sławy swojej jako lekarz, w obydwu dziełach z uszanowaniem wspomniany, więcej zdaje się mieć powagi, niżeli Falimierz. Zresztą rozkład dzieł obudwu jest tenże sam.

Nareszcie Chłędowski wylicza wydania *Zielnika* Spiczynskiego, wszystkie odznaczające się rzadkością.

1. *Zielnik*, wydany przez Falimierza i Spiczynskiego u Floryana Unglera, 1534 r.

2. Tenże sam u wdowy Unglerowej, 1542 r.

3. Tenże sam u Łazarza, r. 1554 (o téj edycji wątpi, znana mu tylko z Janockiego).

4. Tenże sam *Zielnik* u dziedziców Marka Szarfenbergera, r. 1556 in fol., kart jedną stroną liczbowanych 247, znajdujący się w bibliotece hr. Ossolińskiego.

5. Tenże sam pomnożony i wydany przez Marcina Siennika (Heuwercher) u Mik. Szarfenbergera, r. 1568.

Lelewel uważa <sup>1)</sup>, że wiadomość, podana przez Chłędowskiego, o wydaniu 1542 r. przez Spiczynskiego, zdaje mu się być wielce objaśniającą i mocno stanowiącą; daléj Maciejowski w *Piśmiennictwie polskiem* <sup>2)</sup> wspomina o egzemplarzu Sieniawskim, kończącym się na karcie 229 i o późniejszych wydaniach w Krakowie w latach 1548, 1556 i 1568. Nareszcie Estreicher w *Bibliografii polskiej XV i XVI stulecia* <sup>3)</sup> powiada, że jest to przekład z L. Choulanta: *Hortus Sanitatis*, dedykowany Stanisławowi Gasztoldowi wojewodzie, który posiadają biblioteki Czartoryskich i Szembeka, nie podaje jednak z ilu kart egzemplarz powinien być złożony. Wymienia następnie późniejsze

<sup>1)</sup> *Bibliograficznych ksiąg dwoje*. Tom I, str. 175, w przypisku.

<sup>2)</sup> W tomie III, w dodatku na str. 346.

<sup>3)</sup> Na str. 27 i 197, oraz str. 37.

edycje tego dzieła w różnych bibliotekach znajdujące się, a mianowicie edycją z r. 1552 u spadkobierców Marka Szarffenbergera w Krakowie, następnie u tychże w roku 1556 dokonaną, w której na herbie Szarffenbergerów wyryty jest rok 1554, nareszcie inną edycją w Krakowie, noszącą rok 1542 czy 1552?

Zdaje się jednak, że Spicyzińskiego dzieła: *O ziołach tutecznych*, były tylko dwie edycje: jedna, dokonana przez wdowę Unglerową w roku 1542; druga, przez spadkobierców Marka Szarffenbergera w r. 1556, jako dosłowny przedruk pierwszej.

Z tych wszystkich zacytowanych wyżej wiadomości o *Zielniku* Spicyzińskiego z r. 1542 wniosłem, że żadnemu z naszych uczonych nie był znany całkowity egzemplarz tegoż *Zielnika* i wątpię nawet, czy która biblioteka cały, nieuszkodzony posiada.

Egzemplarz, moją własnością będący, również jak wszystkie inne powyżej przytoczone, jest mocno uszkodzony, a jak Lelewel twierdzi, to książkę tę, jako w użyciu będącą, wielka zachodzi trudność, znaleźć dobrze zachowaną. Otóż i mój egzemplarz nie posiada karty tytułowej, dedykacji, rejestru i początkowych kart dwudziestu, dalej wiele kart pojedynczych brakuje w tekście, aż do karty 227; ale odtąd aż do końca, reszta jest w zupełnej całości i ostatnia karta dzieła nie jest 240, jak utrzymuje Chłędowski, ale jest nosząca liczbę 247. Opis więc tych siedmiu kart, może najważniejszych z całego dzieła, podaję dla wiadomości naszych bibliofilów.

Ostatni rozdział téj książki, poczynający się na karcie 241, nosi tytuł: *Już teraz będziemy powieść o mierze Aptekarskiej, o sprawie, o purgowaniu, w ziołach, w prochach i też w korzeniu, które rzeczy są potrzebne każdemu Barwierzowi.*

Poniżej tytułu jest duży drzeworyt, wyobrażający ówczesną aptekę <sup>1)</sup>. Następnie aż do karty 246 idą rozmaite przepisy, na różne chorobliwe przypadłości. Na karcie 246, na stronie odwrotnej zamieszczony jest słowniczek wyrazów lekarskich łacińskich, na polskie przełożonych, które w całości i nie zmieniając pisowni zamieszczamy.

#### Wykład wrzodów i niemocy rozmaitych, z łacińskiego na polskie.

Asma, dychawicza. — Alopeticia, parchy. — Apoplexia, nagła śmierć. — Albugo, bielmo. — Artetica, bólenie w stawiech. — Apostema, bolączka.

Bolismus, fałszywa chęć ku jadłu. — Bocium, wol. — Bubones, dymienie.

Colica, kłócie. — Coriza, sapka albo niężyt. — Constipatio, zapiczenie. — Cephalica, bólenie głowne. — Cordiaca, tęskność serdeczna. —

<sup>1)</sup> Taki sam drzeworyt i téjże wielkości znajduje się w *Herbarzu* Marcina Siennika na str. 341, wydanie Mikołaja Szarffenbergera, w Krakowie 1568 roku.

Calculus, kamień.—Cambuca, kiła.—Cauterisatio, przepalenie.—Crepatus, rozpukłość.—Crisis, walczenie natury z wrzodem.

Dysinteria, czerwona biegunka.

Epaticus, który cierpi niedostatek w wątrobie.—Epilepsia, wielka niemoc.

Frenesis, każenie głowy.

Gibbositas, garbatość.—Gomorrea, wewnętrzne czyszczenie natury.

Herpestiomenos, wilk.—Hidropisis, puchlina.—Hemophtisicus, który pluje krwią.—Hemicraneia, bólenie poł główne.—Hordeolum, jęczmyk.—Herpete, liszaje.—Hemoroides, złote żyłki.—Halyets, przeciąganie.—Hectica, suchoty.

Intertrigo, osadnienie.—Ictericia, żółta niemoc.—Ignis persicus, piekielni ogień.—Incubus, duszenie noczne.—Impetigo, suchy swierzb.

Letargia, zapomnienie nad przyrodzenie.—Luxatio, wywinienie.

Lepra, trąd.—Lentigines, piegi.—Lumbrici, glisty.—Lienteria, biała biegunka.

Menstrua, niewieście przyrodzenie.—Malum mortuum, dziwe mięso.—Mola, kra albo zatwardzenie w macicy.

Nausea, brzydkość.

Oscitatio, poziwanie.—Orexis, zgaga.—Oregmon, gdy w piersiach kruczy (iako pospolicie mówią) z wilkości flegmistey, która drogę oddechowi zatyka.—Ophtalmia, bólenie oczne.

Pruritus, swierzbień.—Paralysis, powietrzem zarażenie.—Per-niones, łupienie albo odarcie, które bywa dla wielkiego zimna na pięciech u nog y na podszwach, y na palcach, także u rąk, a zowiemy je po polsku odziębienie.—Polipus, nożny wrzod.—Pleuresis, pleura.—Papule, węgry.—Pus, ropa.—Peripleumonia, wrzod płuczny.—Ptysis, dychawica z suchotami.—Podagra, łamanie nóg.

Ranula, sapka a ta iesth pospolita dzieciom.—Ruetus, rzyganie. Raucedo, ochrapienie.—Rascatio, charchanie.

Squinantia, slinogorz.—Spasmus, kurcz.—Suppuratio, nabieranie wrzodu abo gnoienie.—Scrophule, zoły.—Spleneticus, który cierpi boleść na sledzionie.—Singultus, szczkawka.—Suffosio, cataracta.—Stupor, cierpienie.—Sincopis, omdlenie.—Seotomia, zaćmienie oczu.—Strabo, rozooki.—Subet, głębokie spanie nad przyrodzenie.—Stranguria, uriny ciężkie puszczenie.—Sciatica, denna niemoc.

Tussis, kaszel.—Tenasmon, wydymanie.—Tortura oris, zakrzywienie ust.—Traulus, zaiękacz.

Variolę, ospicę.—Vertigo, wartogłowność.—Verute, brodawki.—Vuula, czopek.—Vleus, zagnięta rana.

Po tym słowniczku, na karcie 247 idzie rozdział, noszący nadpis: *Czasy zbierania ziół, kwiatków, korzenia, nasienia y owoczu.*

Kończy zaś całe dzieło odczwa Spiczyńskiego do czytelnika, na karcie 247, stronie odwrotniej zamieszczona, którą w całości podajemy: *Polskiemu Narodowi Hieronim Spiczyński R. C. (Rajca Krakowski) wiele dobrego.*

„*Juvenalis* zacny składacz, czasu onego ludzkie sthany y oby-  
 czaie ich szacując Narod Polski w swoich wierszoch wysoce wychwa-  
 lał. *Neque Sarmata* (powiada) *neque Trax qui sumpsit pennas, me-  
 diis sed natus Athenis*, to jest nie tylko grubym, a wolowatym ludzkiem  
 Sarmatas przekłada, ale w Atenach na ten czas w świecie między naj-  
 mędrszymi ludzmi im szrodek dawa. A ztąd pojąć możemy, przed  
 tym Narod Polski być wielkiew u ludzi powagi, y silney dostojności,  
 który też w mężności, w stałości, w wierności, w sprawiedliwości Na-  
 rody inne zawsze przewyssał. Aż u Alexandra wielkiego, y en był  
 język naszego, mało nie wszytkiego świata władza była? y czego do-  
 tichmiast na świecie pamiątka została, bociem bys też wszytek świat  
 chciał skrzyżować, wszędzie naydziesz temu językowi Słowaka towa-  
 rzysza. A gdzieby się chciał dostatecznie wywiedzieć o walkach, o bo-  
 jach, które ten narod nasz, tako na morzu iako na ziemi stale wycier-  
 piał, y sławne zwycięstwa otrzymał, snacby ku czcieniu a wywiado-  
 waniu wieku twego niestarczyło, o tym niecho na przodku w Kronice  
 Xiędza Wapowskiego, niecho w dzieiach narodu Słowieńskiego, w xię-  
 gach slachetnych, tymiras w Krainach Niemiecckich imprimowanych  
 przeczyć sobie z radością możesz. Thez w narodzie w thym slache-  
 tnym, wiele czynnych, cznotliwych, a świętych było: Ażasz Hieronim  
 święty nie Słowak był, Kacerski młoth, kościoła *Krzescijanskiego*  
 słup, y okrasa? y en slachetnie stary y nowy zakon z żydowskiego na  
 łacinę wyłożył, będąc k temu (iako święty Augustin o nim pisze) we  
 wszech trzech językach doskonale uczony, ktorim też z objawienia Du-  
 cha świętego w iedney epistole (ktorą czedł w starym druku) pisze,  
 iż Angioł Gabriel zwiastował syna Bożego rzekąc, Zdrowas Maria łaski  
 pełna etc. Ażasz święty Marcin Słowak przykładem wielkiew łaski  
 y miłosierdzia przeciw bliźniemu swemu, nam *Krzescijanom* na przy-  
 kład nie był? ktorego świętosci sława wiecznie słynąc będzie. Takież  
 święty Wojciech, święty Stanisław, wielebny Jacek, y mnostwo innych  
 w Narodzie w thym świętych, y przykładem y naukami, Kosciół  
 Christusow oświećili. Nie słyhać zaiste, aby w tym świętym Naro-  
 dzie kiedy ludzie od wiary Krzesciańskiej odstępowali albo w niey  
 błędzili, y owszem Kosciół Krzesciański temu samemu Słowieńskiemu  
 językowi iakoby dufając dopuścić msze y inne urzędy koscielne spra-  
 wować. O rządzie, o sprawiedliwości Narodu tego, Krolow, Książąt,  
 Woiewod byłoby wiele pisać, *co dali Bóg co rychle osobliwemi księ-  
 gami wam opisze*. Wszakoz y dzisia Sigmuntá Krola Polskiego  
 y rad jego, rząd, świętosc, miłosierdzie, sprawiedliwość, niemal wszit-  
 ki inne Krzesciańskie Krole y pany przewyssa. Przetoż y na then  
 czas za to mniemam, aby sie czo od onych przodkow wyrodziło. A ie-  
 sliżeby się czo odmienić chciało, proszę za to y pilnie upominam, pá-  
 miętaymy na przodki nasze, ktorzy o sławę swą, y potomkow swych,  
 ni státkow, ni zdrowia swego nie litowali, język swoy mówali, wys-  
 szyli, bronili, obcemu językowi nigdy go potłumiać niedopuszczali,  
 strzegąc w tym z pilnością, czci swej, prawa przirodzonego y ustawy



Pana Boga wszechmogącego, Ktoremu samemu bądź cześć i chwała wiekuista. Tym Księgom koniec.”

Gdyby Chłędowski znał był tę odezwę Spiczyńskiego, nie byłby w potrzebie dowodzić, że on a nie kto inny był autorem tej księgi.

O Spiczyńskim nie wiele potrafimy powiedzieć. Janocki <sup>1)</sup> podaje, że był lekarzem Zygmunta Augusta króla, i to powtarzają w swoich Historyach literatury, Bentkowski, Wiszniewski i Bartoszewicz <sup>2)</sup>. Ostatni nawet dodaje, że wiele się zajmował botaniką i drukował różne dzieła o ziołach. Że był rajcą krakowskim, to nie ulega wątpliwości, ale czy był lekarzem króla Zygmunta, to nader wątpliwe, albowiem sam Spiczyński raczej za astrologa aniżeli za medyka się uważał <sup>3)</sup>. Z odezwy zaś wyżej przytoczonej wnosząc, przyznać musimy, że był to człowiek, odnośnie do pojęć swojego wieku wyżej wykształcony, który oprócz botaniki, astrologii a może i medycyny, zajmował się jeszcze historią własnego kraju. Co się stało z tém jego dziełem, czy ono ujrzało kiedy światło dzienne, o tém nie mamy żadnej wiadomości. Dalej z tej odezwy widzimy, że Spiczyński był dobrym katolikiem i gorliwym miłośnikiem rzeczy ojczystych. Apostrofa do narodu, kończąca jego odezwę, jest tak zacna i piękna, że dziś, po upływie przeszło trzech wieków, bez zmiany do potomków zastosować się daje. I nic dziwnego, że się Spiczyński tak gorliwie za językiem ojczystym upomina, kiedy ten język podówczas był już tak piękny i jedrny, tak znakomicie wyrobiony i dochodzący już prawie do pełni swojego rozwinięcia. Jeżeli bowiem weźmiemy do porównania pieśń Boga Rodzica zamieszczoną w Statucie Łaskiego (1506), to podziwiać musimy, jak w przeciągu lat trzydziestu kilku, język się ogładził i jak znakomite ortografia zrobiła postępy, która jakkolwiek jeszcze niezupełnie ustalona, śmiało wyrzec można, że mało się różni od dzisiejszój, jak się przekonać można z podanej wyżej odezwy Spiczyńskiego, którą z zachowaniem najściślejszém pisowni, znaków pisarskich a nawet błędów drukarskich, zgodnie z oryginałem, zamieściliśmy.

Officyna Unglerowska obadwa te dzieła, to jest *Zielnik Spiczyńskiego* i *O pożytkach wiejskich* Krescentyna, drukowała literami gockiem i ale do mowy polskiej zastosowanemi. Znajdujemy bowiem: *ç, ê, ċ, ł, ŋ, ź, i á* kreskowane, pisownia jak nadmieniliśmy wyżej, nie była jeszcze dosyć ustalona, najwięcej trudności przedstawiało właściwe użycie liter *i* i *y*; dostrzegamy nawet pierwsze próby wprowadzenia joty do pisowni, jak to wyżej w dwu wyrazach *Krzęścijański* przez

<sup>1)</sup> *In Janocianis* t. II, str. 263.

<sup>2)</sup> Tom I, str. 87 (nowe wydanie 1877 r.).

<sup>3)</sup> W *Herbarzu Siennika* z r. 1568 na str. 417 znajduje się przedmowa Hieronima doktora tego, który stary Herbarz ten pisał. Przedmowa ta zaczyna się w tych wyrazach: „Za to mam, iż żaden mądry lekarz nie będzie się o to gniewał, gdyż my *choć nie lekarze* ale w nauce gwiazdecznój nieco rozumiejąoy, w lekarskie nauki nieco się wmiatamy.

podkreślenie zaznaczyliśmy. Użycie litery *h* także było dowolne, w jednym i tym samym wierszu, znajdujemy wyrazy *thez* i *iesth* drukowane obok *tez* i *iest*, nareszcie wyrazy *Xiądz*, *Xiąże*, *Xięga* bywają także pisane przez *Kwiądz*, *Kwiąże*, *Kwięga*. Ponieważ obadwa wyżej cytowane dzieła, należą do najwcześniejszych druków polskich, jako z pierwszej połowy wieku XVI pochodzące, i zawierają bogaty materiał językowy, przeto doniosłe powinny mieć znaczenie, mianowicie dla badaczy mowy ojczystej.

Na zakończenie wypada nam kilka słów powiedzieć o owem dziele *Hortus Sanitatis*, którego Zielnik Spiczyńskiego ma być tłómaczeniem. Zdaje nam się, że myli się Estreicher nazywając *Choulanda* autorem tego dzieła; był nim bowiem *Johannes Cuba*, Medicus Augustanus, jak o tém pisze Jerzy Arnold w uczonej swojej rozprawie <sup>1)</sup> i jak to potwierdza J. Ch. Brunet w *Manuel du Libraire* <sup>2)</sup>. *Hortus Sanitatis* było to dzieło bardzo popularne w drugiej połowie XV wieku. Wkrótce po sobie ukazały się cztery edycje łacińskie, dwie pierwsze bez miejsca druku i daty; trzecia w Moguncyi 1491 roku nakładem Jakóba Maydenbach, i wkrótce czwarta, piękniejsza od poprzedniej i co do druku i co do sztychów, z których niektóre illuminowane. Dzieło to, miało czternaście edycji w tłómaczeniu niemieckim <sup>3)</sup> i dwie we francuzkiem. Nic więc dziwnego, że Floryan Ungler bawar, założywszy w Krakowie księgarnią i drukarnią, mając przykład z wydawców innych krajów, jak zyskowne dla nich było wydawnictwo owego *Hortus Sanitatis*, zapragnął także dla siebie korzyści, wydając pierwszy w tłómaczeniu polskiem *Ogród zdrowia*.

Przekład ten, którego dokonał Stefan Falimierz, sekretarz Jana Tarnowskiego, posiłkowany przez Hieronima Spiczyńskiego i kilku innych, wydawany był w Krakowie 1534 roku i przypisany Janowi z Tenczyna wojewodzie podolskiemu, a Ungler wydawca, żeby zachęcić obywateli korony polskiej, do rozpowszechnienia téj księgi, tak się do nich przy końcu odzywa.

„Gdy to obaczył (to jest, że język polski w niedbałość ludzką przyszedł), nie thak pożytku swego szukając, jako thego wielmi lutując, praczem się tej naprzód i przed innemi podiał, zem księgi polskie, nigdy nie bywałemi buksztaby drukował. Jusz teraz to pismo

<sup>1)</sup> De Monumentis historiae naturalis polonae ad finem Saeculi XVI. D. Georgius Christianus Arnold 1818 Varsav. typis Schol. Piar. in 16<sup>o</sup> na str. 11.

<sup>2)</sup> Tom II, str. 486.

<sup>3)</sup> Repertorium Bibliographicum, in quo libri omnes ab arte typographica inventa usque ad annum 1500, przez Ludwika Stain. W tomie II części pierwszej, na str. 95 obszernie daje sprawozdanie o tém dziele, wymienia wszystkie edycje tak łacińskie jak i niemieckie, z których początkowo noszą tytuł *Garten der Gesundheit* a następne, *Herbarius*. Wspomina i o francuzkiem tłómaczeniu Verarda w dwu tomach.

na wsze strony rozszerziło się i rozszerzać się będzie. Jedno wy mili Polacy, rozmyślcie się języka swego. Ten niech przodkuje, ten niech dziedziczy. Bociem muszę prawdę powiedzieć, przez obczy język w obcze ręce państwa zachodziły. Mieycie się dobrze" <sup>1)</sup>).

Oprócz zasługi, jaką sobie Ungler przypisuje w krzewieniu krajowego języka, pokazuje się, że i spekulacya na dobrej rachubie była oparta. W kraju bowiem, gdzie brakowało i lekarzy i aptek, pożądaniem musiało być dzieło, które każdemu umięjącemu czytać otwierało szerokie pole do praktyki lekarskiej, i to w sposób jak najmniej kosztowny, bo rośliny krajowe po większej części dziko rosnące, na wszelkiego rodzaju choroby, podawały odpowiednie lekarstwa. To też *Zielnik Falimierza* został prędko wyczerpany i okazała się potrzeba wydania nowej edycji. Tego dopełniła już wdowa Unglerowa w r. 1542, przy pomocy Hieronima Spiczyńskiego; a późniejszych kilka edycji tegoż samego dzieła, w krótkich po sobie odstępach czasu wydanych, wymownie świadczy, jakiej to dzieło w naszym kraju doznało wziętości i jak było rozpowszechnione.

Że jednak te zielniki nie były dosłownym tłómaczeniem dzieła *Hortus Sanitatis*, ale właściwie kompilacyą różnych podówczas krążących wiadomości lekarskich i astrologicznych, najlepiej wykaże zestawienie przedmiotów, jakie zawiera *Hortus Sanitatis* a jego polskie naśladowania.

Oryginalny *Hortus Sanitatis*, ma następujące rozdziały: 1. *De Herbis et plantis*. 2. *De Animalibus et reptilibus*. 3. *De Avibus et Volatilibus*. 4. *De piscibus et natatilibus*. 5. *De lapidibus et in terrae venis nascentibus*. 6. *De Urinis et earum speciebus*.

Zielniki Falimierza i Spiczyńskiego traktują też same przedmioty, jako wprost z *Ogrodu zdrowia* wytlómaczone, ale oprócz tych mieszczą wiadomości astrologiczne, o przyrodzeniu planet, konstelacyi i pór roku; o ich wpływie na życie człowieka, co ma i kiedy czynić, a czego strzedz się powinien, nareszcie jak poznawać przemienność powietrza według aspektów. Tych wiadomości *Hortus Sanitatis* nie posiada, jako i innych czysto lekarskich, które do polskich zielników wprowadzono, to jest, o rodzeniu człowieczém, o puszczaniu krwi, o zachowaniu się w czasie powietrza morowego, o znamionach w czasie niemocy, o lekarstwach doświadczonych, o nauce barwierskiej i o mierze aptekarskiej.

Po wydaniu *Zielnika* H. Spiczyńskiego przez Unglerową, dalsze wydawnictwo tego dzieła przeszło na spadkobierców Marka Szarfenbergera, którzy w ciągu lat czterdziestu wydali jedną czy też dwie edycje, będące dosłownym przedrukiem edycji z r. 1542. Nareszcie w r. 1568 ukazała się z oficyny Mikołaja Szarfenbergera, nowa edycya wydana i pomnożona przez Marcina Siennika.

<sup>1)</sup> *Historia literatury Bentkowskiego* 1814 r., t. II, str. 392.

Drukarz powiada w swój przedmowie, że nie litując ani nakładu, ani pracy, *znowu* ten Herbarz drukuje, ponieważ o niego często się ludzie dopytują (widać że poprzednie edycje zostały wyczerpane); miał nawet zamiar wydać Herbarz nowy, oparty na badaniach późniejszych lekarzy, ale nie mógł znaleźć człowieka któryby chciał podjąć się tej pracy, a co ważniejsza bał się nakładu, a zwłaszcza *gdyby figury ziół nowo właśnie wykonterfelowane były*. Odkładając więc ten zamiar na stronę, a z uwagi że się ludzie do tego Herbarza przyzwyczaili, wydaje go więc z małemi poprawkami czerpanemi z pism współczesnego lekarza Mathiola.

Herbarz więc Siennika, jest, z małemi zmianami, późniejszą edycją Spiczyńskiego; zmieniono wprawdzie porządek przedmiotów, ale tekst i ryciny zachowane też same co i w poprzednich wydaniach. Najważniejsza różnica leży w tém, że w wydaniu Siennika opuszczona została cała część astrologiczna, którą mieściły poprzednie Zielniki, a w to miejsce przydano Aleksego Pedemontana ksiąg ośmioro o tajemnych a skrytych lekarstwach, których tłumaczenie, jak uważa Bentkowski, było zupełną własnością Siennika.

Pod koniec wieku XVI to jest 1595 r. z drukarni Łazarzowej w Krakowie ukazał się nowy Herbarz polski ułożony przez Doktora Marcina z Urzędowa a wydany przez Jana Firlewicza.

W przedmowie doktor Marcin tak przemawia do czytelnika.

„U nas w Polsce ta nauka (o Ziołach) zakrytą dodad była. Naszych czasów udał się na to jeden, aby pracą swą ludziom pożytek uczynił, wyłożył zioła na polszczyznę z łacińskiego języka, z wielką wprawdzie pracą, jedno że też sam ziół niedobrze znał, ani podobno tego się uczył, i praca jego była niepożyteczna, a raczej szkodliwa; ponieważ inne zioła na polszczyznę wykładał, niżeli po łacinie znamionowały, lekarstwa i własności ciałom przypisywał te których nie miały.

„Drugi chciał go poprawić, ale i ten niewiele wskórał, bo i sam nie wiele mędrszy od pierwszego był”.

Zdaje się że w téj krytyce Dr. Marcin miał na myśli Falimierza i Spiczyńskiego, bowiem w przedmowie do księgi 2-ój powiada, że miał zamiar pisać tylko o ziołach krajowych, ale ponieważ my Polacy mamy obyczaj, ziół i korzenia zamorskiego używać, a ktemu że też *Stephanek* (Falimierz) wiele błędów o nich pisał, więc uważał za właściwe tego dotknąć przedmiotu.

Marcin z Urzędowa który był Jana z Tarnowa kasztelana krakowskiego i hetmana w. koronnego, nadwornym lekarzem, przy składaniu swojego Herbarza, z poważniejszego punktu zapatrywał się na ten przedmiot niż jego poprzednicy.

Widząc, jak powiada, że ludzie tych ksiąg z wielką chęcią się chwycili, starał się o wierne ziół wyłożenie z greckiego i łacińskiego języka, o zamieszczenie tych które w Herbarzach polskich były opuszczone, lub których dawniejsi lekarze nie znali, i aby okazać błędy jakie się weisnęły do Herbarzów polskich.

„Ja życzę tego, aby po mnie szczęśliwsze czasy były, aby kto był doskonalszy i uczeńszy (w chęci bowiem i życzliwości strychować mię nie może) któryby dla poratowania ludzkiego zdrowia, godniej niżeli ja pracował. Życzę tego, aby się narodu swego rozmiłowali, ku pożytkowi swemu prace swe obracali, i to coby najlepszego z daru Bózego, kto miał, ojczyźnie swój i ludziom narodu swego udzielali.”

Kończy zaś tém.

Że widząc tak wiele napisanych po łacinie Herbarzów, *a po polsku nie takiego z czegooby ludzie pomoc brali* i z uwagi że więcej miejsce w Polsce kędy Doktora żadnego a podobno Apteki niema, napisał tę księgę, aby naprzód Ojczyźnie swój przystojną powinność oddać, to co Pan Bóg dać raczył na pożytek pospolity obrócić, a współrodakom się przysłużyć za ich podziękowanie i wdzięczność zasobu.

Z tych słów doktora Marcina z Urzędowa widzimy, że mało ważył prace swoich poprzedników w przedmiocie botaniczno lekarskim w języku polskim wydane, zarzucając im nieznamość samego przedmiotu i błędny a tém samém szkodliwy wykład i samych ziół i ich lekarskich własności.

Zielnik atoli Spiczyńskiego, które mu głównie poświęciliśmy to badanie, chociaż pod względem botanicznym i lekarskim niewielkiego a może i żadnego jest znaczenia, z uwagi jeszcze na postępek jaki te nauki w ostatnich czasach uczyniły; zawsze jednak ciekawym będzie i ważnym jako materyał dla badaczy mowy ojczyściej, i jako rzadkość bibliograficzna.

---

## Kronika poznańska.

Zaczynam dzisiejszą kronikę nekrologiem obiecany w październiku, który tém jest ważniejszy, że opowieć wam losy ostatniej urzędowej instytucji polskiej, jaką dzielnica tutejsza posiadała, że nadto wspomnienie to stanowić będzie jakoby odłam historii naszego Księztwa, ilustrujący dosadnie obchodzenie się z nami.

Kiedy na mocy traktatu wiedeńskiego, część Księztwa Warszawskiego dostała się Prusom, nazwano ją W. Ks. Poznańskiem, a ster zarządu poruczono nominalnie osobnemu namiestnikowi, księciu Antoniemu Radziwiłłowi; w istocie przecież zarządzał Księstwem prezes naczelny Zerboni di Sposetti, który aczkolwiek nie rodak, był właścicielem dóbr w jednym z powiatów Księztwa, a posiadał to uczucie słuszości, jakie jedynie wartość nadać zdolne wysokim urzędom. Kraik nasz zubożały wojnami i wielkimi ofiarami, potrzebował tém gwał-

towniej ratunku, że coraz niższe ceny zboża ostateczną ruiną groziły większej części obywateli, nękanym subhastami w skutek niemożności opłacania procentów. Pomyślny stan handlu zbożowego i produkcji, podwyższającej nad miarę wartość dóbr za Prus t. z. Południowych, był przyczyną, że rząd znaczną ilość kapitałów z depozytów swych porożpóżycał był wówczas na dobra obywatelskie. Każdy właściciel ziemi stał się był o tyle zamożniejszym, o ile zwiększyły się jego dochody, ale żaden nie dostrzegł, że całe to dobre mienie polegało na cenach bieżących zboża. Jak tylko więc zmniejszyły się dochody, tak zaraz dobra tracić zaczęły na wartości, i pokazało się, że obywatele zaciągnęli na swe dobra więcej długu, aniżeli te dobra warte były. Zaniósł się na powszechne bankructwo. Upadek ceny dóbr za Księztwa Warszawskiego był tak znaczny, jak znaczną była różnica cen za Prus Południowych a po ukonstytuowaniu Księztwa Warszawskiego. Nikt nie płacił procentów, upadały całe familie, a bodaj były majątki, któreby nie uroniły znacznej części swego kapitału. Ówczesny rząd Ks. Warszawskiego zmuszony został ogłosić moratorium.

Po zajęciu Poznańskiego przez Prusy w r. 1815, zaczęli się tём natarczywiej domagać wierzyciele nie tylko procentów ale i kapitałów. Ale że właściciele nie mogli się uiszczyć ani z jednych, ani z drugich, zaczęli być jedni po drugich wywłaszczanymi. Ziemstwo Kredytowe było wówczas jedyną kotwicą ratunku, a motorem właściwym tój instytucji u nas był wzwyz wspomniany prezes naczelny Zerboni di Sposetti. Instytucja weszła w życie w r. 1822, a z zaciągniętej 4% pożyczki 13,000,000 talarów, poszła połowa na zapłacenie długów ciężających na dobrach członków Ziemstwa. Troskliwa o dobro Księztwa władza, pozwolewszy chętnie na samą instytucją, oddała nadto ster jój, na wzór innych ziemstw, w ręce obywateli, i zaforsusowała na fundusz żelazny 200,000 talarów. Stosownie do regulaminu, zamknięty został przystęp do ziemstwa po rok 1827. Odetchnęli obywatele, a chociaż odbywające się równocześnie usamowolnienie włóścian nie dozwoliło doprowadzić zaraz do ładu stosunków majątkowych, ułatwiło niezmiernie wprowadzenie w życie nowych agraryjnych stosunków przez dostarczenie funduszków na regulację chłopską.

Po roku 1830 ustaje urząd namiestnika, miejsce naczelnego prezesa otrzymuje Flotwell, czystej wody Prusak. Żywiół polski w imię „kultury“ uznany zostaje za niedostatecznie uzdolniony do postępu, i otóż władza naczelna Księztwa zajmować się zaczyna z wielką gorliwością szerzeniem, wbrew wszelkim zasadom moralnym, żywiolu niemieckiego, a przytłumianiem i upośledzaniem żywiolu polskiego. Mniejsza już, że w przeciągu roku oddała wszystkich naczelników powiatowych polskiego rodu, ale otrzymuje z kasy Państwa 1,000,000 talarów, za które zakupuje subhastowane majątki polskie na rachunek Państwa, aby ustąpić takowe potem Niemcom bądź w całości bądź częściami. Nadto wypowiada skwapliwie kapitały i podaje na sprzedaż dobra zastawami obciążone. (Rozkaz gabinetowy z 13 maja 1833 r.). Wzma-

ga się biurokracya. W komisjach generalnych i mnogich specjalnych, które weszły w życie z przyczyny regulacyi włościańskiej, sami niemal urzędują Niemcy. Regulowanie hipotek włościańskich i t. p. czynności, zwiększyły swoją drogą w czwórnasób liczbę sądowych urzędników, którzy wszyscy niemal z innych prowincyi Państwa pochodzili. System przeto ograniczenia działalności polskiego żywołu na ziemię, oto — z dodatkiem wymienionych wyżej manipulacyi przeciw zagrożonym większym właścicielom polskim—*system Flotwella*. System ten nie mógł naruszyć wówczas Instytutu Kredytowego Ziemstwa, chociaż mu był solą w oku. Donośną w tym względzie wskazówką jest fakt następujący: Kiedy po zamknięciu terminu pożyczek, podał był spadkobierca Zerboniego di Sposetti prośbę o wyjątkowe dla siebie dozwoleńie przystępu do Towarzystwa Kredytowego, i oparł swą prośbę na moralnym prawie korzystania z instytucyi, staraniem zmarłego spadkodawcy zaprowadzonój, odmowną od Flotwella otrzymał odpowiedź, z tém nadmienieniem, że Instytut Kredytowy Ziemstwa nie tylko żadnej Prusaczynie nie przyniósł korzyści, ale stanowi właśnie największą zaporę w przeprowadzeniu celów kulturowych pruskich.

Z wstąpieniem na tron nowego króla, położenie Księstwa znakomicie się polepsza, a polepszenie to w pierwszym zaraz rządzie odbija się w losach Ziemstwa Kredytowego. Aczkolwiek bowiem przystęp doń zamknięty został w r. 1827, rząd zwolniony spod wpływów Flotwella, zezwolił na dalsze rozszerzenie pożyczek, bacząc na istotną potrzebę obywateli. Chodziło zresztą przeciw tylko o to, aby dozwolone było właścicielom w system kredytowy związanym, zużytkować istniejący już kredyt w granicach przestrzeganych przy pożyczkach ziemskich. Ustalony kredyt ziemstwa dawał jak najlepszą rekojmią walorowi nowój seryi Listów zastawnych 3½ procentowych. Z rokiem 1842 nastąpiła więc druga emisya 3½% Listów zastawnych ziemstwa. Krajowy dobrobyt podniósł się, regulacya włościańska ostatecznie ułatwioną została, do sądownictwa garnąć się zaczęła młodzież.

Po roku 1848, gdy inny znów władza przyjęła system, inaczey też zaraz patrzeć się zaczęto na nasze Ziemstwo Kredytowe. Rozkaz gabinetowy z 4 i 11 maja 1849 r., zezwolił był instytutom Kredytu Ziemskiego dla Prus wschodnich i Szlązka, otworzyć pożyczkę dla tych posiadłości, które wyłączone dotąd były z pod stowarzyszenia kredytowego, a minister Spraw Wewnętrznych wydał cyrkularz w czerwcu tegoż roku do Dyrekcji Ziemstw w Prusach zachodnich, Pomeranii i Marchiach, w którym zalecał zwołanie walnych zgromadzeń, celem przedłożenia im pytania: czyby nie chciały przyjąć w pomoc interesom swych prowincyi, tworząc dla nich podobny kredyt ziemski, jak takowy już utworzyły ziemstwa szlązkie i Prus wschodnich. Jedyna tylko poznańska Dyrekcya Ziemstwa pominiętą została przez ministra, a pominięta jakoby dlatego, „że system kredytowy poznański z rokiem 1847 zamknięty został wedle prawa z r. 1842.“ Dyrekcya ziemstwa śpieszy więc z wnioskiem do ministra, aby ją upoważnił do zwołania walnego

zgromadzenia w tym samym celu, w jakim upoważnił dyrekcye innych prowincyi; i przytacza zarazem, że zamknięcie systemu kredytowego poznańskiego niemoże stanowić właściwej przyczyny, dla którejby właściciele t. z. nieszlacheckich majątków w W. Ks. Poznańskim, upośledzeni być mieli wobec tego samego rodzaju właścicieli w innych prowincjach; że skoro raz już dozwolone zostało rozszerzenie kredytu ziemstwa, nie widzi przyczyny, dla którejby powtórnie pozwolenia tego otrzymać nie można, mianowicie jeśli walne zgromadzenie na to przystanie, a decyzja jego uzyska sankcją królewską. Zrazu odpowiedział minister wymijająco; na drugi podobny wniosek Komitetu Ziemstwa oświadczył natomiast wyraźnie w końcu r. 1851: „że rząd po kilkukrotnój i gruntownój rozwadze stosunków poznańskich, *stanowczo* odmawia rozszerzenia instytutu, który zamknięty został z rokiem 1847.“—Mimo tę odmowną odpowiedź, ponawiano z naszej strony bezustannie z roku na rok prośbę o zwołanie walnego zgromadzenia, które gdyby już nie otrzymało polecenia przystać lub nie przystać na rozszerzenie działalności samegoż ziemstwa, to przynajmniej dało swą opinią, w jakich warunkach ziemstwo przystać będzie mogło na połączenie się z instytutem mu podobnym, nad którego utworzeniem rząd widocznie pracuje, jak niedwuznaczne dowodziły fakta. Ale minister trwał przy raz wypowiedzianej decyzji i nie zezwalał na zwołanie walnego zgromadzenia w jakimkolwiekby celu. Nie pozostała więc inna droga, jak osobiste poparcie sprawy w Berlinie. Ale zasłużony dyrektor ziemstwa Aleksander Brodowski, zapadł był obłożnie na zdrowiu a zastępca jego wrócił nie nie wskórawszy u ministra, który nadto oświadczył, że władza nie myślała nigdy o połączeniu ziemstwa z projektowanym nowym instytutem kredytowym. Wszystkie tedy nadzieje spełzły na niczém. Instytut nowy przyjsć miał koniecznie do skutku, przyczém rolę ziemstwa ograniczono na pomocnika nowego Instytutu, który niebawem otrzymał sankcją królewską w r. 1857, d. 12 maja.

Nieuznawało ministeryum przez lat 12 potrzeby dalszego kredytu z łona ziemstwa, a tymczasem wystąpiło z nowym Instytutem kredytowym. I czemużto? czy ze względów finansowych? Na kredycie nie zbywało bynajmniej naszemu ziemstwu; Listy jego zastawne miały owszem z pomiędzy *wszystkich* t. z. prowincjonalnych, *najwyższy* kurs. Ustalone dla niego zaufanie było faktem, posiadało ziemstwo już blisko półtora miliona talarów funduszu uzbieranego, umarzało za lat 6 pierwszą pożyczkę, umorzyło z drugiej 36%, rządziło się autonomicznie, celowało porządkiem uznanym nie tylko przez publiczność interesowaną, ale i przez każdorazowych delegatów królewskich, nie uchybiło ni razu swym zobowiązaniom. Było instytucją dzierżoną autonomicznie przez Polaków i to był jego grzech pierworodny.

Nowy instytut niemiał być autonomiczny, pożyczki miały być wypowiedzialne (§ I, nr. 4), właściciele zobowiązani i osobiście, do poręczenia pożyczki i t. d.



Potrzeba pożyczek tak była wielką, że instytut nowy uzyskał w niedługim czasie niespodzianą wziętość. Nasze stare ziemstwo węgowało odtąd tylko.

Tylko kto nie chce, ten nie widzi, że względy finansowe przemawiały *wszystkie* za złaniem się obu instytutów, z zatrzymaniem wszelako zasady naszego ziemstwa, t. j. autonomii.

Ale *system* miał coś więcej na oku, aniżeli względy finansowe. Flotwell ograniczyć zalecał żywioł nasz na ziemię, teraz już i autonomia ziemiańska, zachwiana została przez utworzenie nowego instytutu kredytowego. I otóż dlaczego tylu obywateli przeciwnych było w roku zeszłym połączeniu chłopskiego instytutu kredytowego z nowym instytutem kredytowym, funkcjonującym od lat dwudziestu w miejsce dawnego ziemstwa. Myśleli oni sobie: my, zmuszeni zostaliśmy przystąpić do instytutu tego, w braku innego. Zadowoleni wprawdzie jesteśmy z niego dotąd, ale któż zdoła przewidzieć przyszłość, chowającą w sobie nieraz niespodzianki? Instytut nieautonomiczny czyż nie może uleść w danych okolicznościach parciu tendencyjnemu Prusaczyni i czyż nie może nastać chwila, w której wypowiedzenie pożyczek, przewidziane statutami, przyjdzie do skutku i jednym zamachem ogołoci z siedzib, całe niemal obywatelstwo? Jeżeli zaś i chłopów-właścicieli egzystencya oddaną zostanie przez udzielenie pożyczek w moc instytutu, czyż nie będzie wtenczas, w danych razach i chłop zagrożony takim samym upadkiem?

Na tém kończymy wspomnienie pobieżne o działaniu i losach starego ziemstwa, które 14 października r. z. urzędowo żywoła swego dokonało, po 56 latach wytrwałej i chlubnej pracy, a dokonało nie dla braku żywotności, ale z przyczyny niełaski, w jaką popadło u *systemu*.

Zaledwie te słowa napisaliśmy, dochodzi nas wiadomość, że *Towarzystwo oświaty ludowej* zagrożone zostało w swém istnieniu, rozporządzeniem policyjnym z 23 grudnia r. z., zamykającym takowe tymczasowo, aż do decyzji sądu. Pytanie teraz, czy sąd zatwierdzi owo rozporządzenie, oparte na dowolnym tłómaczeniu instrukcyi, oraz odezwy dyrekcyi Towarzystwa, datujących od pół roku. Już w wrześniu r. z. uderzyło nas, że niemiecka gazeta poznańska, zwana wśród nas *Pozenerką*, a mająca w sferach wyższych urzędnikieryi swe stosunki, poczęła mocny kłaść przycisk na znaczenie niedobre Towarzystwa oświaty ludowej. *Pozenerka* uznała je wówczas za szkodliwe dlatego, że szerzyć usiłowało oświatę rodzimą, nawet w okolicach przeważnie niemieckich i że w ogóle rozbudzało ochotę do czytania w ojczystym języku.

Raziło to bardzo niemile animusz kulturowy tego organu, dla którego wykształcenie i wogóle cywilizacya znaczy to samo, co Niemczyzna. W końcu swych artykułów wzywała zacna *Pozenerka* współwyznawców germanizacyjnej swój tendencyi, aby dla ochrony Niemczyzny od grożącego jej polszczenia, tworzyli niemieckie stowarzyszenia

oświaty ludowej. Głos *Pozenerki* pozostał wszelako głosem wołającego na puszczy, ale *system* czyhać odtąd témbardziej zaczął na jakąś sposobność unicestwienia działalności Towarzystwa naszego, im mniej dostrzegał ofiarności u swoich. Sposobność tę nastreczyła mu nierozważna instrukcja, czy odezwa dyrekcji. Nazywamy ją nierozważną w obec *systemu*, bo zkadınad była ona naturalnym wypływem poczucia osób, dążących do wypełnienia podjętej myśli oświecenia ludu w sposób praktyczniejszy niż dotąd. Jakbądź wypadnie decyzja sądu, widzi nam się na czasie wspomnieć kilku słowami o działalności Towarzystwa tego i jego zakresie. W początkach zyskało dużo poparcia, ale po krótkim czasie zaczęły się spory i rozwój Towarzystwa osłabł znacznie. Później, a mianowicie roku zeszłego, zaczęła lepsza dla niego świtać przyszłość, w skutek przychylniejszego rozporządzenia władzy duchownej. W pierwszych trzech latach wynosił zbierany kapitał:

	47,450	marek
w 1876 roku	3,682	"
" 1877 "	3,147	"
" 1878 "	4,700	"
	razem 58,979	marek
remanent wynosił $\frac{1}{4}$ w 1878 roku	26,913	"

wydanych więc zostało 32,066 marek

W przeciągu lat sześciu wydało więc Towarzystwo 32,066 marek. Rezultat osiągnięty nie odpowiadał przecie wydanj kwocie, a to dlatego, że w zbyt rozmaitych kierunkach rozdrabniano siły, bo aż w dziewięciu. I tak: 1) na zakupno książek; 2) na konkursowe prace; 3) na kolporterów; 4) na zakup obrazów i obrazków; 5) na wspieranie ochronek; 6) na szkołę rzemieślniczą; 7) na pisemka ludowe; 8) na subwencją dla wędrownego nauczyciela w interesie kótek włościańskich; 9) na popieranie szkótek wedle wzoru francuzkich rzemieślniczych uczelni. Już w ostatnim roku dyrekeja pomiarkowała się, skoro ograniczyła znacznie wydatki na subwencye, konkursowe prace i zakup książek, a w ostatnim czasie umyśliła spotęgować się Towarzystwa przez nawoływanie do tworzenia po powiatach i miasteczkach komitetów, mających stanowić pomocnicze organa. Tworzenie podobnych komitetów było przewidziane statutami. To wywoływanie, chociaż dość bezskuteczne, stało się powodem, jak już nadmieniliśmy, do zamknięcia tymczasowo Towarzystwa.

Sama kwestya oświaty ludowej jest z stanowiska praktycznego daleko trudniejszą, aniżeli by się zdawać mogło. Pomyślny, jak niedawno temu ziemian naszych część przeważnie większa, mało dbała o czerpanie wiedzy w kierunkach nie-gospodarczych; jak dziś jeszcze jest wielu wśród nas, którzy przeczytawszy gazetę i jaki podręcznik gospodarczy, zadawałają się tym pokarmem jaknajzupelniej; pomyślny że pragnienie oświecania się idzie w regule, dopiero z polepszeniem bytu w porze; że ten byt polepszony małej przecięciowo części wieśniactwa jest udziałem, podczas gdy ludzie służebni, czeladź folwarcz-

na, pracą swą polepszanego bytu nie osiąga: pomyślmy to, „dośpiewajmy” sobie w duszy inne jeszcze okoliczności, a ujrzymy że kwestya oświaty sięga zarazem w dziedzinę całkowitą życia, a nie tylko w dziedzinę umysłową. Nie powiem, aby chłopca naszego zdrowy rozum nie umiał się poznać na korzyściach oświaty, ale potrzeby jej nie czuje jeszcze tak, aby ułatwienia sobie podawane chwycił skwapliwie. Trzeba przemawiać, nakłaniać, nękać, a to nie na wiele zda się. Najlepiej jest podawać mu pokarm wiedzy kanałem jego własnym, to jest wybrać jednego lub drugiego ochotniejszego i ciekawszego wpośród nich. Wtenczas zupełnie inaczej idzie propaganda, zyskuje grunt właściwy, mianowicie gdy jedna i druga rada zaczerpnięta u propagatora pokaże się korzystną. Z razu mniemaliśmy, że przemówka jedna i druga, że rozdanie książek zachwalonych cuda podziałają. Aliści cóż się wtenczas przytrafiło? Z własnego doświadczenia opowiem wam fakt następujący: po stosownej odezwie rozdane zostały książeczki tym i owym, którzy zdawali się być chętniejszymi. Po tygodniu czy dwu, pojawia się jeden z nich, dziękuje bardzo za mądrą książeczkę, z której się dużo nauczył. Mniemałem, że poprosi o inną podobną, a on tymczasem prosi o furkę ściółki w lesie, która w jego przekonaniu miała stanowić ekwiwalent za przeczytanie książeczki. Czytał więc książeczkę w swém mniemaniu nie dla siebie ale... dla mnie. Nawyknienie do oświecania się przez czytanie, da się ze skutkiem zaszczepiać w ludzie, tylko przez lud: to moje i wielu innych doświadczenie sprawdzone. Wyborną porą ku temu jest *gwiazdka* dla dzieci.

Mnożą się też wydawnictwa różne dla dzieci, ale niedostaje im pewnego w jednym kierunku oblicza. Doroślejsi z ludu czytują najchętniej *Wieczory pod Lipą*, *Pielgrzymą z Dobromiła*, *Mądrego Wachę*, *Żywoty świętych*. Literatura dla *dzieci* pozostawia dużo do życzenia. Pochodzi to ztąd, że talenta pisarskie nie poświęcają się u nas tej gałęzi literackiej.

W dziedzinie wydawnictwa poważnego, pierwsze i ten raz miejsce trzyma księgarnia J. K. Żupańskiego. Wyszły tam w końcu listopada następujące książki: 1) *Wskazówka abecadłowa do dziejów Polski*, przez Teodora Morawskiego; 2) *Oblężenie Poznania przez Patkula*, napisał Jarochowski; 3) *Chronologia dziejów i Królestwa Polskiego*, napisał Konopacki; 4) *Socjalizm*, napisał Au; 5) *Lelewela zasługi jako geografa*, napisał Stanisław Warnka; 6) *Listy Joachima Lelewela*. Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa, tom I; 7) *Instanty Polskie*.

Księgarnia Leitgebera wydała kalendarze dwa: jeden z nich zawiera życiorys I. J. Kraszewskiego, skreślony potoczystym i pełnym serdecznego przejęcia językiem przez p. Teodora Żychlińskiego, którego *Złotej księgi szlachty Polskiej*, *Rocznik 1-szy* wyszedł w końcu grudnia, z drukarni tegoż Leitgebera.

*Oblężenie Poznania przez Patkula* czytane było uprzednio w Towarzystwie Przyj. Nauk, a sam fakt druku podjętego przez p. Żupańskiego stanowi dowód, że to praca wytrawna. Wiemy zresztą z kom-

petentnego źródła, że osnutą jest nadto na nieznanym dotąd dokumencie, spoczywającym w archiwum Drezdeńskim. *Socjalizm* p. Aua jest odbitką z Dziennika Poznańskiego. Autor z nie małą erudycją rzecz obrobił i praca jego może posłużyć nielada naszój publiczności, obeznanój zaledwie powierzchownie z tym objawem czasu dzisiejszego.

Prywatne zwierzenia ludzi znakomych wielką zawsze budziły ciekawość i zajęcie. Znamy osoby, których np. panowanie Stanisława Augusta wcale nie obchodziło, a które z wielką żarliwością wertowały i komentowały jego pamiętniki. Listy, o których Lelewel nie przypuszczał że będą drukowane, stanowią dla tego cenny materiał, że nam odsłaniają historią umysłu i serca jego, że uzupełniają publicznego charakteru oblicze, dokonywają fizyologią duchową jego żywota. Wielki erudyta, znakomity krytyk, chromał gdy szło o pochwylenie historyzoficzne momentów dziejowych. Różnie to sobie tłómaczono. Listów jego ten tom pierwszy podnosi zasłonę w sposób nie pozostawiający nic do życzenia.

Już jako dziecko wprawiany był Lelewel do notowania najrozmaitszój wartości rzeczy, a nikt go nie uczył poznawań tych różnic. Poglądu filozoficznego na świat, społeczeństwo, naukę, nie zaczerpnął i później, chociaż zdawaćby się mogło, że taki Śniadecki i Czacki pchnąć go byli mogli na wyżynę, z której szeregi faktów układają się w jakieś prawa ogólne i erudycją podnoszą do znaczenia nauki. Na Lelewelu wycisnęła młodość piękno, którego się już nie pozbył. Wyrobił się na genialnego przeciętnie krytyka, zajaśniał bajeczną iście erudycją, ale nie sprostął zadaniu myśliciela, patrzącego się na przewroty dziejowe z stanowiska wyższój syntezy. Ciekawym i cennym dokumentem w tój mierze jest list księcia generała ziem podolskich, Czartoryskiego, który sam jeden usiłował młodego uczonego wprowadzić na drogę traktowania dziejów z wyższego stanowiska. Oto co sam Lelewel pisze o tym w liście do ojca, z Krzemieńca 1809 r. Pozwólcie, że przytoczę własne jego słowa. „Przybywszy do Krzemieńca, pisze Lelewel, odebrałem list od ks. Czartoryskiego. W liście tym, jak zwykle obszernym, wspomniawszy związki ojca jego z dziadem moim i ojcem, dorzuciwszy pochlebnych nieco wyrazów, przystępuje do pięciu myśli, które mnie jako dziejopisowi do rozpamiętywania podrzuca. Potém ze strony 8 i 9 mojego *Rzutu oka na dawność litewskich narodów*, zbiera i roztrząsa złe, jak mówi, wyrażenia; nakoniec, rozwodząc się nad stylem i polszczyzną, radzi czytać biblię po polsku tłómaczoną, w p. s. przytacza pochwałę z Ferranda Lengleta i odradza mi wydawanie krytyczne Kadłubka, o którym się zkądciś, z ubocza snać dowiedział i odradza gmeranie dla wydobycia *origenes gentium*. W całym liście radzi raczej do przyłożenia się do filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisarzem. Szerokie, pisze, krom tego masz pole do zjednania sobie stawy, do której nikt u nas dotąd nie doszedł, bo nikt nie umiał, ani chciał umieć, jak ją ściągać należy.

Ztąd się dzieje, że kronikarzy mamy kilku, którzy po większej części siebie jeden po drugim skracali, albo też *ad literam* przepisywali, ale *żadnym dziejopisem szczyścić się nie możemy. Widzisz tedy przed sobą wieńiec niezują dotąd nieltknięty ręką; możesz tedy być pierwszy w tym rodzaju, możesz stać się wzorem dla przyszło-piszących.*” Czyż to nie wielkiej wagi list? Ale Lelewel już stanowczo obrał był swój kierunek i odosobniona rada księcia pozostała bez skutku.

Z listów tych, wogóle wziętych, poznajemy pocziwe i proste serce Lelewela, jego szczerze synowskie uczucia, jego delikatność, zapal do uczenia się, skromność wielką życia. Co je i pije, o to mniejsza, głównie mu chodzi o pokarm dla umysłu. Jest swobodny, spokojny, życia i jego przyjemności używa z prostotą, ale ochoczo, niczém się nie kwasi, na żadne bombasty w myślach się nie sadzi. Jest sobie poufałym gawędziarzem, który z rodziną o codziennych rozmawia sprawach, a zarazem potrafi w naturalny całkiem sposób i o ważne, a nawet bardzo ważne sprawy.

Drugie dzieło, jakie przewertowaliśmy, ma tytuł: *Infanty polskie*. Wyszło niedawno, w obieg księgarski wchodzi teraz dopiero. P. Orda dał nam już w swym *Albumie* sposobność przypatrzenia się malowniczej téj krainie, w której zostawiła dawna Rzeczpospolita ślady siły swój cywilizacyjnej. Nie była to siła przymusowa i dlatego przyswoiła sobie żywioły tameczne obce i potrafiła zlać je z sobą. Musiało życie dawne nasze mieścić w sobie wielki urok, mimo niedomagań, jakie nam nieraz słusznie zarzucali inoplemieńcy, którzy jeszcze dziś, jak tylko usłyszą o polskiej szlachcie, zwykli tylko na ujemne jój patrzeć strony. Dawniej Rzeczypospolitej działanie pokojowe wygląda w dziele tém tak pociągająco, że z prawdziwą rozkoszą wtajemniczaliśmy się w przedstawiony obraz, który nadto i tę ma wartość, że wszystko co przed naszemi oczyma rozłącza, oparte jest na wiarogodnych statystycznych, etnograficznych i historycznych danych. Podobno już przed 10 laty wyszło dzieło to po niemiecku, ale nie miało być tak jak dzisiejsze polskie, wyczerpującem. Kraszewski w przedmowie, jaką je opatrzył, pisze, że *chwali się samo*. Istotnie, że treściwiej niepodobna wyrazić się. My dodamy tylko jeszcze, że zajmujący bardzo dział stanowią rodowody znakomitszych tamecznych rodów, które wszystkie tak żywy brały udział w żywocie dawniej Rzeczypospolitej, a już wielkiej wagi jest pogląd autora krytyczny na wszystkich pisarzy, jacy kiedykolwiek trudnili się Infantami.

*Złotój księgi szlachty polskiej* p. Teodora Żychlińskiego wyszedł rocznik pierwszy z końcem grudnia. Jestto początek dzieła heraldyczno-genealogicznego, z prawdziwie benedyktyńską, opracowany cierpliwością. Nie należymy do tych, którzy z góry już podobne prace lekceważą; przeciwnie, jesteśmy zdania, że mogą one przyczynić się do pobudzenia naszej szlachty, aby szanowała pamiątki rodzinne i trzymała się ziemi. Wartość takich prac polega na tém, że rzucają światło na szczegóły życia narodowego, mianowicie u nas, gdzie naród

składał się wyłącznie ze szlachty. Kto przyjrzał się uważniej tutejszej dzielnicy, musiał wynieść przekonanie, że dziwna apatya zapanowała w niej na związki rodowe. Tradycje dawne nie tylko nikną, ale niknie zarazem i chęć zapoznania się z niemi. Społeczeństwo nasze atomizuje się coraz bardziej pod względem poczuć rodzinnych. Sprawdzamy fakt, który się zaprzecić nie da, że dbamy coraz mniej o wzajemne poznanie się. Temu smutnemu objawowi chce zaradzić, choćby w części jakiegóż, praca p. T. Żychlińskiego. Autor corocznie posyła jeden wydawać zamierzył, wedle materiałów mu dostępnych, a każdy zawierać ma tak jak niniejszy pierwszy, monografię historyczną genealogicznych szereg. Tom czy zeszyt pierwszy, jaki mamy przed sobą, zawiera 65 monografię. Niektóre są nader wyczerpujące, inne mniej, co zapewne zależało nie tylko od materiałów, jakie autor miał pod ręką, ale i od roli mniej lub więcej głośniejszej, jaką grała ta lub owa rodzina, bądź dlatego, że miała dostojników wiele, bądź dlatego, że była liczną i ztąd stosunki miała rozgałęzione. Prawdziwość monografię tych, o ile dotyczą rodzin wielkopolskich, nie może podlegać wątpliwości i dlatego mniemamy, że autor *przedewszystkiem* rody wielkopolskie na uwadze mieć powinien. Akta grodzkie stoją dlań otworem. Niniejszy rocznik uwzględnił też przeważnie rody tutejsze. Mamy, między innymi, opracowane dokładnie aż do dziś, rody wielkopolskie Chełmskich, Cieleckich, Dąbskich, Grabowskich, Lipskich, Międzyńskich, Mielżyńskich, Niegolewskich, Górzeńskich, Szczanieckich, Sierakowskich, Szarzyńskich, Unrugów, Zakrzewskich, a przedewszystkiem Żychlińskich. Zakończy książkę nekrologiczną wzmianką o osobach, zmarłych w ciągu lat dwu ostatnich z rodów, które były opisywane. Dodatek załączony obejmuje tablice genealogiczne rodu Potockich, Pilawitów.

Poruszyłem w swych uwagach ogólnych nad *Złotą księgą szlachty* drażliwą materję, przyznałem bowiem słuszność pogładowi tych, którzy twierdzą, że ta swoboda ducha, która rodzicem była animuszu rodzimego, zamiera u nas. Ale czy potrafilibyśmy sprostać naciskowi, jakim przydusza nas germanizm, gdybyśmy przestali choć na chwilę trudzić się i znoić, obliczać i obliczać a krzątać się? Zapewne, że nie potrafilibyśmy, wszelako nie w tym znoju, nie w tém ciągłym obliczaniu leży smutna oznaka, ale w tém, że wysycha w tak wielu z nas to ciepło wiary rodzimej, które samo jedno nie daje przystępu wątpieniu w przyszłych pokoleń losy. Z małemi wyjątkami, smutno i cicho na naszych niwach, mimo tu i owdzie odbywających się polowań lub obchodzonych imienin i składkowych obiadów. Pałace, dwory i dworki jak gdyby drzémały, a jeśli usłyszysz o jakiej zmianie, to dotyczy takowa wyprowadzających się z swęj ojczyźstęj siedziby pokoleń. Od chwili kiedyśmy się obliczyli, t. j. od miesięcy 8, ubyło znów 48,000 morgów większej polskiej własności, a mniejszej ile, któż obliczy dziś jakotako dokładnie? Dość gdy powiem, że od 2 sierpnia do 15 wrześnias, w samym obwodzie rejencyjnym Bydgoskim, poszło aż sto kilka-

dziesiąt osad chłopskich na subhastę. W takim stanie rzeczy wszystko nam z trudnością przychodzi, co się nie tyczy bezpośrednio egzystencji. Chromieć więc zaczyna i niejedna z instytucyi, wielkim wzniesionych i podtrzymywanych dotąd wysiłkiem. Na teatr np. uczęszcza nieliczna publiczność, a dług ciężący na kosztach jego budowy, chociaż mały, upchnąć się nie daje. Na walnym zebraniu spółki jego akcyjnej radzono o tém i postanowioném zostało ściągnąć *koniecznie* od akcyonaryuszów pozostałe zaległości. Mozół to arcy-niemieły.

Przedsiębiorstwo sceny na lat trzy, t. j. do 1 października 1881 roku wziął, jak zapewne wam wiadomo, p. Doroszyński. Ale cóż? Zaledwie pobyl kilka miesięcy, przekonał się, że na wielkie naraża się straty, więc wniósł do dyrekcji teatru o zwolnienie z umowy lub o zaśnięk. Drugiego dyrekcya ani dać, ani obiecać że da, nie mogła, z kontraktu nie zwolniła. Wszystko co uczynić zdołała, to pocieszyć przedsiębiorcę nadzieją lepszej przyszłości.

Nadzieją lepszej przyszłości razem z p. Doroszyńskim my wszyscy podpierać się musimy.

Rolnicy, a przynajmniej część ich pewna mniema, że poruszona kwestya ceł ochronnych dla zboża, ulgę przynieść zdoła, jeśli zostanie rozwiązana po ich myśli; rozpoczynają się więc ruszać, dyskutują, petycyonują, aby zwrócić uwagę sfer decydujących na położenie rolnictwa. Wniosek o zaprowadzenie cla protekcyjnego na zboże, znajduje coraz liczniejsze i u Niemców poparcie. *My tutaj ostatkiem gonić zaczynamy!* Ależ gospodarstwo się podniosło, wołają pewne niemieckie głosy. Racya, ale dobra są w większej części do  $\frac{2}{3}$  wartości obdłużone. Nie potrzeba jak lat trzy lub cztery z tak niskimi cenami jak tegoroczne, a bardzo znaczny procent właścicieli dóbr u nas, pozbawionych znów będzie egzystencji, czyli Niemcy przez coraz dalsze *wykupno, zdobędą* nareszcie całkowicie tę najdawniejszą naszą ziemię, kolébkę narodu.

Petycye coraz liczniejsze rolników, jeśli nie sprowadzą ceł ochronnych (a zdaniem naszym, opartém na rozważeniu stosunków ogólnych, nadziei téj mieć nie można), to przynajmniej zobowiążą władzę, że obmyśli kompensaty, przez zniesienie taryf dyferencyalnych, przez zmianę w podatkowaniu i inne podobne środki. Program celny ks. Bismarcka, ogłoszony co dopióro, zdaje się zapowiadać korzystną jakąś zmianę systemu celnego.

Do téj kwestyi arcy-arcyważnej dla nas, powrócę obszerniej w przyszłej zapewne kronice, która oby pomyślniejsze rzeczy donieść mogła, niż dotychczas, tego wam i sobie życzę.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Alfred de Musset.* Szkic biograficzno-literacki, według nowych źródeł, przez Jadwigę Krausharową, Warszawa, 1879 r.

Mając przed sobą wielki tom ścisłego druku, w którym zawarto wszystkie płody natchnień znakomitego poety Francyi spółczesnej i spoglądając na szczupły tomik pani Krausharowej, mimowolnie pytamy się, jakim sposobem autorka tę obszerną treść w tak drobne naczynie przelała.

Ale czyżto rzeczywiście treść tak obszerna, jak się z pozoru wydaje? Musset niezaprzeczenie napawa wdziękiem, ale wdzięk jego pozabawiony jest męskięj siły; Musset goni za ideałem, ale ideał jego ma ciasne wymiary; Musset buntuje się, ale bunt jego jest zaledwie cichem echem Bajrona i Shelleya: to wprawdzie Prometeusz przymocowany do skały, tylko nie żelazem ale nitką jedwabną. Rozpacze jego odbywają się w czarnym fraku i białym krawacie, nie w draperyi bohaterów gigantycznych, z którymi i bogowie sami rachować się zwykli. Niemniej, uczucie jego jest prawdą, rzewnością, poezją; i niema strofy w jego stanach, któraby nie stanowiła jakiegoś obrazka, a więc która by nie miała wartości realnej w świecie sztuki: ale drobna ta moneta twórczości poetyckiej ma kurs na pewnej tylko przestrzeni i w pewnych warunkach.

Idea jego nie pobrzmiewa niczem nowém, niczem uderzającym, bo Musset miernym jest myślicielem; treść gorąca, barwna, promienna, grzeszy jednostajnością: to poeta przeważnie żądz zmysłowych, i wszystko się u niego obraca głównie około miłości Owidyuszowej. Najznaczniejsza część jego prac: mnóstwo wierszów, utwory dramatyczne lub dramatyzowane, jego nowelle, wszystko to jest tylko nowoczesną parafrazą ksiąg *amorum* i *artis amatoriae* z wieku Augustowego, z zarodami etyki i obyczajowości pozytywnej częstokroć sprzeczną, ale w każdym razie prawami namiętności wylegitymować się zdolną. Rozpustnik to w całym znaczeniu, zaszyty w skórę bogoboju idealisty: i takim przedstawia się Musset tak w poezji jak w życiu.

Goniąc za miłością, a powstrzymywany przeszkodami, poszedł dalej nizeli nasz wieszcz, który podobnąż trawiony gorączką, powiada o sobie: „już się mam rzucić w brudne uciech rzeki”, ale się nie rzucił. Musset odepchnięty zrazu od swego ideału (George Sand), rzuca się z głową; na przekór; i trzeba było aż tak znakomitej uczynności i abnegacyi, jakiejś dała dowód sławna powieściopisarka francuzka, ażeby go nie kochając, chwilowo ograniczyć, a potem, zdradziwszy, do szafu roz-



pusty, do złamania talentu i życia doprowadzić, iżby Musset chwilowo ustatkował się w myśli i żądry.

Słabe i kapryśne dziecko, Musset, wiecznie się nosił tylko z tém pragnieniem nienasyconém. i o sobie samym pisał jak najwięcej. Interesa społeczne, ludzkość, gra wielkich idei, słabe i rzadkie echo w twórczości jego znajdują; widzimy go zawsze zdala od tych spraw, w których koryfeusze postępu pierwsi nadstawiają czoło: z izdebki jego widok zawsze tylko na najbliższe punkta. Szyller, w zapasach z istniejącym stanem rzeczy swojego czasu, przeciwstawiający mu Tellów, Karlosów, Müllerów; Bajron zasycający wznioste požądania na polach Hellady; Shelley wstrząsający zuchwale okowami ludzkości całej, i rzucający groźne wyzwanie niebu; Moore kwilący swe melodye irlandzie, w takt poetom mniej upowszechnionego języka, nie mają w nim współtowarzysza. Czyliż w ciągu blisko trzydziestoletniej działalności, pomiędzy rokiem 1828 a 1857 nic takiego nie zaszło na świecie w otoczeniu bliższém lub dalszém, w myślach ludzkości i czynach, coby młodzieńcze serce poety wstrząsnęło i rzuciło na pola natchnień wyższych, czystych a trwałych, choćby takich które wywołują nieśmierlnie *Orientalles* jego współziomka i kolegi po piórze? Nie. Musset nigdy prawie nie wychodzi poza zakres spraw grubo erotycznych, i według wrażeń, jakie te sprawy czynią na jego sercu i umyśle, sądzi świat cały: próżniaka, marnotrawcę, szulera i rozpustnika, idealizując w „Rolli,” niby swoim autobohaterze, chrześcianinie, którego samobójstwo zgoła odmienném jest od samobójstwa pogańskiego Katona. I zda się jakby Musset w twórczości swój posłuchał głosu Getego, który w swoim *Vermächtniss* powiada:

Sofort nun wende dich nach innen,  
Das Centrum findest du da drinnen...  
Denn das selbstständige Gewissen  
Ist Sonne deinem Sittentag”

(Wciąż więc na wewnątrz się zwracaj, tam znajdziesz ognisko sobie; gdyż samodzielna świadomość jest słońcem dnia twojej moralności).

Tylko że prawo to zastosował w zgoła innym kierunku.

Szczupła sfera idei i drobne postacie bohaterów mieszczańskiej skali, nie przeszkadzają Mussetowi być prawdziwym poetą. I z tego też głównie punktu sądzi go autorka monografii, śledząc po jego biografiiach przyczyn takiego a nie innego kierunku, jaki muza jego w polocie swym rozwinęła. Postęp ten widzi autorka przeważnie w jego usposobieniu wewnętrzném, od dzieciństwa do niezadowoleń i melancholii skłonóm, w przygodach życia prywatnego i towarzyskiego oddziaływających na jego postanowienia summa pewnych wzruszeń; a z takiego przedstawienia rzeczy, popartego świadectwem znamion odbijających się w jego utworach, wychodzi istota dosyć bierna względnie do swych upodobań i namiętności. Jednej ważnej rzeczy zapomniała autorka, mianowicie, że człowiek, jakiegokolwiek miałby usposobienia, wszystkie one wchodzą w grę z otaczającą go wielką atmosferą

społeczną, która nie pozostaje i pozostawać nie może bez wpływu na usposobienia jednostek. Czas wychowania Musseta przypadł na okres smutnej reakcji, jak we wszystkich państwach Europy, tak też i we Francji, przeciwko prądom, które jakkolwiek miały swoje momenta zniszczeń wulkanicznych ale miały i ich wybuchów wspaniałość. To epoka we Francji ponura, mdła, *maussade*, wyziębiająca serca pod zimnym i obłudnym tchnieniem Restauracji; epoka, w której dzisiejszy stary radykalista Wiktor Hugo, za pieniądze Burbonów pisze im hymny pochwalne, co mu jeszcze niedawno z urąganiem przypominano z trybuny. Nie mogły wtedy umysły poetyczne karmić się wrażeniami i żyć życiem Andrzeja Chénier; a trzeba było wiele rozdrażnionej ambicji i niepomiarkowanej chęci odznaczenia się efektem niebывałym, ażeby Hugo rozkładał swego pegaza i puścił się z nim na manowce sztuki, tracąc miarę ale wybijając się zpod warunków otoczenia.

Nie miał tych powodów a zwłaszcza tej siły Musset. Jak W. Hugo, tak i on, stworzył swój świat sztuki dla siebie, bez oglądania się na zewnątrz. Hugo, nie oglądając się na swe otoczenie, albo raczej by rzucić mu pogardę w przeciwstawieniu go do własnego ideału, świat swój zaludnił bohaterami z błota i ognia, paradoksami ucieleśnionymi w Delormach i Ruyblasach, pierwowzorami wzniosłych nierządnic i genialnych włóczęgów: Musset, nie oglądając się ani na przeszłość ani na przyszłość, bohaterów tworzył na obraz i podobieństwo swoje. Nie odkrywa on pierwszych ministrów pod odzieżą lokajską, ani Bayardów pod łachmanami; nie przedsiębierze opiewać wielkości prawdziwych czy urojonych, i zda mu się obcym wszystko, co bądź wychodzi poza sferę jego własnej osoby. Każde uczucie jego pieśni, to on; każdy bohater jego muzy dramatycznej, to on: każda myśl jest jego myślą własną. Subiektywizm i powszedniość, to cechy twórczości Musseta, czyli, jak dobrze zauważyła autorka monografii: „Musset ma to wspólne z Bajronem, że bohaterowie jego przedstawiają się jak maski, z poza których wyglądają rysy samego autora”.

Autorka słusznie wskazuje „Lorenzaccio” jako najlepszy objaw jego usposobień polityczno-społecznych; lecz bohater ten o tyle tylko jest znacym, o ile *życzyłby* panowania sprawiedliwości: *działać* nie jest jego rzeczą, i pierwsza próba działania, powszednia i zużyta, wypada mu fałszywie.

Jakież jest stosunek poety do Boga, jaka jego filozofia?

„Jeżeli chciałeś poddać świat boleściom, których jest pełen, powiada on, nie powinieneś być mu pozwolić dopatrywać siebie w nieskończoności. Czemuż niedola nasza marzyć ma o Bogu i odgadywać Go? Zwątpienie udreńczyło ziemię: widzimy zawiłe albo zamało. Jeżeli Twój staby twór niegodzien zbliżyć się do Ciebie, należało sprawić ażeby natura osłoniła Cię i ukryła przed nim. Pozostałaby Ci potęga Twoja a my czulibyśmy jej pociski: ale spokój i bezświadomość mniżej dotkliwemi uczyniłyby nędzę naszą... Lecz jeżeli nasze bole śmiertelne mogą dochodzić aż do Ciebie; jeżeli w wiekiuistych przestworach słyszysz czasa-

mi jęki nasze, skrusz to głębokie sklepienie okrywające Twe dzieło; podnieś zastony świata, i ukaż się, Boże sprawiedliwy i dobry"! (Esp. en Dieu).

I cóż to wszystko znaczy? Poeta niezadowolony jest z Boga, w którego radby uwierzyć, niezadowolony jest z systematów filozoficznych, które Go, podług niego, źle tłómaczą; niema dość siły, ażeby albo bez względu na wszystko uwierzyć, albo bez względu na swe skłonności, odrzucić. Zawieszony między niebem i ziemią, powiada, w pięknych słowach, to tylko w gruncie, co powiada sobie każdy zwyczajny śmiertelnik drażniony wątpliwościami: Pokaż się, Panie Boże, zrób cud, a *uwierz* w Ciebie!.. I tożto jest filozofia poetów? poetów, którzy posiadają siłę, choćby siłę zwątpienia: sceptycyzm! Rzeczywiście, zapraszać Boga na świat, zachęcać i przekonywać Go, jak to będzie dobrze, kiedy On się pokaże, to coś dziwnie pospolitego w ustach myśliciela. Jakże to różne jest pod względem doniosłości myśli od innych poetów wyrażających się w podobnym przedmiocie; i jak inaczej budzą zastanowienie czytelnika, wstrząsając jego umysłem, zdania, że się raz jeszcze powołamy na Getego, w jego np. rozumowaniu noszącem tytuł *Proemion do Gott und Welt*.

„Was wär, ein Gott, der nur von aussen stiesse,  
Im Kreis das All am Finger laufen liesse!  
Ihm ziem's, die Welt im Innern zu bewegen,  
Natur in Sich, Sich in Natur zu hegen,  
So dass, was in Ihm lebt und webt und ist,  
Nie seine Kraft, nie seinen Geist vermisst.“

(Cóżby to był za Bóg, któryby występował tylko z zewnątrz, i wszystko wkółko obracał na palcu! Rzeczą godną Jego, świat poruszać wewnątrz Siebie, naturę w Sobie, Siebie ograniczać w naturze: tak że co w Nim żyje, snuje i istnieje, nie może nie być objawem Jego siły i ducha).

Toż to cała teorya! Panteistyczna, powiecie? Zgoda; ale to żaden zarzut: inne także nie są bez zarzutu. Dość, że ona uszczęśliwia poetę, nadaje myślom jego pogodę i spokój. On czuje się przez nią jednością z Istotą Najwyższą i z istotami najniższymi a w samowiedzy swęj Istotą samodzielną; widzi zatem wszędzie nierozzerwalność, zgodność, harmonią, wiekuistość (Kein Wesen, kann zu nichts zerfallen!). Kto tego nie rozumie, tém gorzej dla niego. Bo poeta powiada dalej:

„We wnętrzu ludzkim jest także Universum. A ztąd u ludów chwalebny zwyczaj, że każdy to co najlepszego zna, mieni Bogiem, i to *swaim* Bogiem; przenosi Go z nieba na ziemię i nawzajem, boi się Go, a gdzie może, kocha.“

Ten stanowczy, wielki i energiczny pogląd, jakże różnym jest od płacziwej niepewności Musseta, który napięra się Boga, jak dziecko szybki z okna!

Ale widzę, że zaczynam potrochu wchodzić w atrybucyę autorki monografii i po niej a po swojemu rozbierać Musseta; więc muszę się powstrzymać na tej drodze, któraby prowadziła wprost do napisania nowj książki, czego uczynić na ten raz nięmam wcale zamiaru. Bałamuci bo to są ci poeci, jeśli są prawdziwi: więkzy czy mniejszy, zawsze zięci ku sobie syrenim dźwiękiem głosu.

Otóż, autorka monografii poddała się tej przynęcie, i śnać nie na krótko, bo przeczytawszy całą księęę, streściła z nię wszystkie rzeczy najgłówniejsze, wykazując zasadnicze myśli pojedynczych utworów. Czy jednak z tych streszczeń wyszedł żywy obraz twórcy? Zaraz!

Ażęby dostatecznie ocenić dzieło sztuki, (rozumieimy przez to i poezyę), trzeba na nie spoglądać kolejno oczyma filozofa, artysty, poety, i nawet historyka, w miarę żywiołów jakie w nię wydatnieją i przeważają. Krytyka nie wypowiada jeszcze ostatniego słowa o utworze, przyznając mu formę mniej lub więcj doskonałą w sobie pod względem techniki, a bez względu na stosunki tej formy z ideą lub uczuciem stanowiącém treść. I krytyka nie może, jak chce mieć *Taine*, ograniczać się na wskazywaniu i tłómaczeniu; musi ona klasyfikować i przedewszystkiēm sądzić, jak to czyni wbrew swęmu zaleceniu wielki krytyk francuzki. A w tym drugim razie, krytyka ma bez zaprzeczenia zadanie bardzo delikatne. Ażęby je spełnić, niedosyć jest być uczonym i historykiem; potrzeba nadto ażęby historyka uzupełniał filozof, a ten podszyty był artystą, respective poetą.

Które z tych kwalifikacyi okazała autorka w krytyce Musseta? Zdaniem naszēm, w znaczeniu zupełnēm, w stopniu wymaganym w nauce, żadnej; częściowo, wszystkie, a pomiędy niemi przeważa gust i obęznanie się z duchem literatury spółczesnej. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że utwory wskazane przez p. Krausharową za najlepsze w Mussecie, lub za najslabsze, takimi są w gruncie i w uznaniu powszechnēm. Autorka umie nietylko trafić wybrać, ale i, streszczając, uwydatnić idee główne, lub przymioty przeważające. Gdybyśmy jednak zapytać chcieli o motywa sądu, o kryterium zdań aprobujących lub ganiących, niełatwo znaleźlibyśmy odpowiedź. Musset ze zdań autorki, w ogóle mówiąc, wychodzi poetą znakomitym, „najpierwszą i najjaśniejszą gwiazdą romantyki francuzkiej” (str. 17); i sąd opinii powszechnej wywód ten popiera, boć przecie we Francyi nie za byle co sadzają w krześle akademickiēm, i nie byle wierszopisem zajmują się literatury obce, tłómacząc, szperając po życiu, komentując. Chodzi tylko o to, jak usprawiedliwić fakt i własnego zachwytu i ogolnego konsensu. A w przedsięwzięciu takiēm nie można poprzestać na rozklasyfikowaniu chronologicznēm utworów z odniesieniem ich do życia pisarza, oraz na przedstawieniu treści, bodajby z ozdobieniem jej najpiękniejszemi cytatami.

Rzeczą główną co do tego musi być wykazanie, iż to co stworzył mistrz piękna, jest rzeczywiście *pięknem*. Ale tu właśnie przedstawia się zaraz to ciężkie pytanie: co jest piękno? Ponieważ pytania tego

nikt dotąd nie rozwiązał stanowczo, więc rozwiązanie każdy może sobie stworzyć dowolnie: niemniej jednak pojęcie jakie krytyk ma sam dla siebie w tym przedmiocie, będzie zarazem sprawdzianem w jego ocenianiu dzieł pretendujących do miana pięknych. Na mocy téj nieuniknionej konieczności, pytamy autorkę, jaki jest jój co do piękna sprawdzian, według którego ceniła utwory Musseta. Autorka zachowała co do tego milczenie; nam się jednak zdaje, żeśmy odkryli ten sprawdzian, według którego Musset, bądźco bądź, istnieje jako poeta. Tylko, ażeby to wykazać nie trzeba go odnosić do żadnego danego systematu estetycznego, do żadnego typu piękności doskonałej, tak jak mamy już pewne typy prawdy i dobra, dla których miara jest zewnątrz nas, gdy tymczasem nikt nie jest w stanie okazać miary zewnętrznej dla piękna, jedynéj i niezmiennéj. Można zapewne wymyślić piękno metafizyczne zlewające się z prawdą i dobrem; ale gdzież będzie stosunek bezpośredni tego piękna niewidzialnego z pięknem zmysłowym, które urzeczywistnia? Co większa, piękno tak jest kapryśnym, nieujętem i niezależnym od prawdy czy od dobra, że sztuka wytwarza kłamstwa piękne, przewrotność piękną, piękną zgrozę; zajrzyjmy tylko do Szekspira: naśladowanie szpetności (Żółtkowski gdy gra pijanego), tłumaczenie występku (Królikowski jako Franz Moore), mogą pewną swą stroną zléwać się z ideą piękna.

To zatem co nazywamy pięknem idealnym, nie jest, nakształt prawa moralnego lub rzeczywistości przyrodzonej, wyrazem zewnętrznym i niewzruszonym: to typ czysto wewnętrzny, czysto subiektywny, miara którą sobie tworzymy sami, i według której jużto wychowanie nasze, jużto wreszcie fantazja, ustanawia działy i poddziały najrozmaitsze, i nikt nigdy dosyć nie wysłyszysz, nie wypatry, nie wyczyta, nie wyporównywa arcydzieł, by mógł osiąść w sobie powszechny sprawdzian piękna w sztuce. Prawda i cnota jednakowe są dla wszystkich, gdy tymczasem instynkt piękna u pospólstwa, lubujący się w jaskrawościach i krzykliwych efektach, różni się wielce od instynktu ludzi artystycznie ukształconych, którzy nawet w prostéj arabesce widzą uosobioną gracyą doskonałą, a prostym wierszem Homera wzruszają się więcej niż retoryczną tyradą sensacyjnego wierszopisa.

Na téj więc zasadzie należy istotnie artyście i poecie pozostawić wybór typu takiego, jaki mu się podoba. Niechaj on tworzy sobie ideał swój jak może, niechaj to będzie jego ideał osobisty, nakształt tych ideałów osobistych, jakie i my posiadamy w sobie: a sąd nasz o tyle tylko będzie uzasadnionym, o ile miara ideałów nie wyniknie z doktryny, lecz z téj wzajemnéj koncesyi, tak w rozważaniu utworów piękna nieuniknionej. Oto pierwszy warunek sądu.

W zastosowaniu do Musseta, warunek ten znacznie wyjaśnia poglądy na niego, jako na poetę. Ideały jego mogą się nam niepodobać w zasadzie, czego my ze swéj strony nie taimy bynajmniej; ale że to są jego ideały osobiste, jego subiektywność, przeto zmuszeni jesteśmy uznać ich prawo bytu w sferze piękna.

Autorka przywodzi dwa zdania krytyków z różnych obozów: klerikalnego Veuillota i niepodległego Lindau'a, którzy, każdy po swojemu, odmawiają zalet bohaterom Musseta, w czym i my nie różnimy się od nich zasadniczo, ale z tego tylko punktu, że nie widzimy w nich żadnej dodatniej łączności ze społeczeństwem. Obstawiamy jednak przy tém, że ze względu na świat osobisty piękna, mają oni racją bytu (pod warunkiem spełnienia funkcji artystycznych), raz jako kreacya niezależna, powtóre jako pewne wyrazy danego społeczeństwa i danej chwili. Wszakże i bohater homerowski, Achilles, niema w sobie nic takiego, czémby się dzisiejszej społeczności człowiek moralnie zachwycić mógł; a wszelakoż wszyscy zachwycamy się i długo zapewne zachwycić się będziemy Achillem, jako wyrazem danego społeczeństwa i danej chwili: zależy to zaś tylko od form w jakie przybrała się idea. Jeżeli więc Lindau powiada, że: „są to po większej części młodzieńcy przeżyli, dzieci z doświadczeniem starców, niezadowolone, znudzone, pożałowania godne istoty, szukające zapomnienia w objęciach pierwszej lepszej zalotnicy i chcące obmyć alkoholem obrzydzenie, które same dla siebie czują,” zgadzamy się z nim zupełnie. Ale, gdyby przez to Lindau chciał im odmawiać prawa bytu, lekceważył, wyłączać; to zapytalibyśmy go, co w takim razie uczyni z potworami Szekspira? Co prawda, i oneć istnieją w sztuce, w sferze piękna, tylko na zasadzie formy.

Obowiązkiem, zdaje się, było autorki monografii przewidzieć te trudności, jakie napotykają się w uzasadnieniu ideałów jej poety, a zarzuty domniemane odeprzeć stosownym argumentem. Nie byłby wtedy potrzebnym cały nasz powyższy wywód, którym chcieliśmy niejako wyręczyć autorkę w odpowiedzi na zapytanie: jak możesz zachwalać nam poetę przedstawiającego samych urwisów zmysłowych, rozgorączkowanych, i malującego sceny często nazbyt ryzykowne? Ale autorka, nie mozoląc się nad wywodami estetycznymi, gustem niejako, instynktem, zdaje się odgadywać istotę argumentu; nicbo sprawiedliwszego i trafniejszego, jak to co powiada w formie postawienia zapytań bez rozwiązania.

„Nie zapuszczając się (mówi, str. 39), w rozbiór kwestyi, czy wolno poecie wyłamywać się zpod ustalonych praw moralnych, a kierować się natomiast własnymi namiętnościami, powiemy tylko że dzieło Musseta, to on sam... Czy ta subiektywność jego poezyi umniejsza jej wartość? Czy ten człowiek dumny, ponury, cyniczny, z nieufnością na twarzy, z żalem i gniewem tajonym w sercu, z umysłem rozdrażnionym, a jednak zdolnym do prawdziwego i głębokiego przywiązania, mógł stawiać się nam jako przykład (*to nie*), a raczej jako typ bohatera wieszczą dla przyszłych pokoleń? Czy tych bohaterów jego, te biédne dzieci wieku, które, jak on, potraciły na drodze życia, w wędrowce za ideałem, wiarę swą, illuzją, nadzieję; tak jak on, nauczyły się wątpić i bluźnić, i niestety, tak jak on, szukały zapomnienia w wirze hulaszczego życia i łatwych, upajających rozkoszy, będziemy roz-

bierać skalpelem chłodnego rozsądku i zimnego wyrachowania? Czy wolno nam sądzić i potępiać poetę? Czy wolno nakładać pęta wybranemu i namaszczoneму przez wyższe jakieś potęgi, i żądać ażeby życie swe i uczucia stosował do naszego mieszczańskiego (!) poziomu, umiarkowanego zapału oraz namiętności kodeksem prawnym i konwenansem towarzyskim ubezpieczonych? Nie będziemy się wdawać w rozbiór téj kwestyi."

Szkoda, bo to właśnie było miejsce odpowiednie, i co większa konieczne; i nie zaprowadziłoby autorki „zadaleko,” jak się obawia; ale tylko do punktu z którego należy zapatrywać się w ogóle na kreacye poetów, na ich swobody i ograniczenia, na to wreszcie co w twórczości artystycznej jest, pomimo niezwykłości, normalném, a co wręcz chorośliwém. I wtedy pokazałoby się, że Musset nie wyprowadzał bohaterów swych omackiem z głębi marzeń delirycznych, ale że tworzył na seryo, i to nie tylko na obraz i podobieństwo swoje, lecz zarazem na kanwie moralnej epoki; że przeto twory jego mają wartość historyczną. Historyczną, powiadamy, zgodnie z tém co napisał sam Musset (*Un mot sur l'art moderne*): „Kiedy wiek jest zły, kiedy człowiek żyje w czasie, w którym niema ani religii, ani moralności, ani wiary w przyszłość, ani względu na przeszłość; i kiedy ktoś pisze dla tego wieku, może on znieważyc wszelkie prawidła, wywrócić wszystkie posągi; może wziąć za boga zło i nieszczęście, może utworzyć *Zbójców* Szyllera, jeżeli przypadkiem jest Szyllerem, i z góry odpowiedzieć sądzącym go ludziom: Takim był mój wiek, namalowałem go takim, jakim go zastałem.” Oto sekret twórczości Musseta, oto kanwa jego scen nagięj przewrotności, scen marnowania życia na uciechy niskie i bezpłodne, talentów na igraszki: oto natura jego bohaterów denerwujących i zdenerwowanych, szydzących z zalet własnych i ze świata, w wieku gdy w ojczyźnie poety przyklaskiwano wyprawie księcia Angoulême do Hiszpanii, dla przywrócenia obalonéj Inkwizycyi, a wszędzie tłumiono chciwie zacne iskry rozdmuchane wiatrem przewrotów zbawiennych z końca przeszłego wieku, i agenturę policyjną postawiono w liczbie czynników pedagogicznych.

Cóżkolwiekby, autorka w powyższych pytaniach swych przeczuwała prawdę, tę prawdę, którą my przynajmniej podajemy za taką, a którą wolno każdemu dyskutować, jak się podoba i na miejsce jéj postawić inną, powszechniejszą.

Ale krytyka, uspokojona w ten sposób co do wyboru ideałów, ma przed sobą inne zadanie wielkie, równoległe do zadania sztuki. Przy swobodnym wyborze treści żądamy już koniecznie od sztuki i za cel jéj jedyny, za znamię charakterystyczne stawiamy, ażeby forma odpowiadała treści w mierze idealnej, na mocy praw sympatyj, symetrii, harmonii, proporcji i przedstawiała tę treść w obrazach różnych od prozaicznego kształtu, natchnionych uczuciem żywém i specjalném. Krytyka téż według tego powinna rozpatrzyć, czy dzieło poezyi jednoczy w przymierzu ścisłym i harmonijnym treść z formą, pomysł z wy-

razem i przez formę tylko, przez wyraz może krytyka wnikać w utwór piękna. Przypuściwszy bowiem, że krytyk wyłącznie zwraca uwagę na ideę, to jego pochwała lub nagana nie będzie dotyczyć samego dzieła, ale szczególnego pomysłu twórcy. Śmiało nawet pójść można dalej jeszcze i orzec, że krytyka artystyczna zwraca się głównie do formy i do jej związku z ideą, którą sądzi filozof, historyk lub moralista, nie zaś estetyk, czyli że nad wszystkimi innymi kwalifikacyami w krytyku piękna, obok względów sfery ogólnoludzkiej, przeważać ma zdolność objaśniania znaków wyrażających idee i tłumaczenia języka, którym przemawiają pomysły. A i w tej nawet sferze, roztropnie ograniczonej, niezawsze snadnym jest orientować się z zinną krwią pośród kapryśnych częstokroć wytworów imaginacji (Słowacki) i niejednokrotnie przyjdzie zboczyć na manowce, skutkiem różnaitości gustów i fantastyczności w tworzeniu.

W każdym jednak razie, ażeby dać poznać poetę, potrzeba posiadać klucz od jego języka i według tego znaki jego czytelnikom tłumaczyć.

Dziwna rzecz, jak nam łatwo zgodzić się z autorką na sąd o wartości tak pojedynczych utworów Musseta, jako i pewnych grup całkowitych. Nie zgadzamy się wprawdzie na to, co autorka mówi o grupie: *Contes d'Espagne et d'Italie*, że po ich wyjściu „pierwszy raz we Francji usłyszano głos narodowej pieśni w formie, pozbawionej sentymentalnej maniery, głos naturalny, żywy i namiętny (str. 18)”; bo za cóż znouu tak dalece postponować np. Bérangera, Chéniera, a dawniej jeszcze Ronsarda?... ale zgadzamy się na to, że grupa ta jest oryginalniejszą i najpoetyczniejszą w dziele Musseta. Przyjmujemy nawet wszystkie niemal wyrażenia zachwytu co do talentu, świeżości, młodzieńczości twórcy tych dzielnych erotyków; jednę, według tego cośmy tylko co wspomnieli o warunkach krytyki artystycznej, wymagamy rzeczy, to jest, ażeby autorka wyjaśniła nam, *dlaczego* to tak jest. Tymczasem autorka każe wierzyć sobie na słowo, wrazeniem swém przygotowuje czytelnika do wrażeń; co najwięcej, jak tu tak i indziej, przytoczy osnowę rzeczy, ale ani raz nie sięgnie po wytlómaczenie któregoś utworu poetycznego językiem poety, po objaśnienie tych znaków, któremi się właśnie poezya odróżnia od form zwyczajnego przedstawienia rzeczy. Zdanie zyskałoby wiele na powadze, gdyby autorka wybrała jedną lub kilka prób charakterystyczniejszych i na nich, jak to czynią naturaliści na pewnych okazach generycznych dla objaśnienia całego rodzaju, wykazała tę malowniczość form poetycznych i tę zadziwiającą zgodność ich z treścią, to bogactwo barw, którym młody piewca władał z takim talentem; ten ogień południowy, którym na zazdrość Anakreontów, Horacych i Owidyuszów wyłocili swe eleganckie strofy w sposób tak porywający, że Muza jego słusznie zajęła miejsce w narodowym panteonie Francji i zwróciła uwagę innych narodów. Rzeczywiście, Musseta brać trzeba z punktu ideałów osobistych i uważać o ile forma artystyczna zléwa się z ich treścią. Gdy-



by nie ten wytrysk czystej wody krynicznej, w której przezroczu, brylantów ogniem odbijają się jego obrazy zmysłowe przez grę światła południowych, buchających z ogniska jego natchnień, pomysły jego mogłyby się stać ściekowiskiem mętów światowych, jak to dzieje się u pisarzy równie swawolnych a mniej natchnionych.

Nic dowcipniejszego, jak to powiedzenie Sainte-Beuve'a, przytoczone przez autorkę, że Musset w pierwszych swych utworach wygląda jak Cherubin przebrany za Don Żuana. W dalszych, Don Żuan z Cherubina zwolna przeistacza się w demona, nie tracąc wszelako gruntu estetycznego aż do upadku idei moralnej. Przejście to notowane jest wprawdzie przez autorkę i tłumaczone dość skrzętnie wypadkami życia, ale w jej krytyce nie widać zgoła artystycznego odbicia tej ewolucji, przez umiejętne zestawienie kolejnych objawów faktu.

Cała więc praca autorki redukuje się do strony przeważnie informacyjnej zadania. Usposobienie psychiczne poety, jego życie, charakter ogólny prac, znajdują tu miejsce dostateczne. Tłumaczenie artystyczne chybia. Przedstawiając jednak co w tej pracy rzeczywiście jest, nie lekceważymy i tego zadania, jakie spełniła autorka monografii; zawszeż to jest najbardziej szczegółowa z prac, jakie dotąd u nas o Mussecie wyszły, a z tego powodu na uznanie w literaturze zasługuje, témbardziej iż, jako utwór kobiety, jestto jeden z pożądanych u nas objawów, zaszczytnie świadczących o kierunku, obranym przez umysł wybrańszego towarzystwa niewiast, dbałych o znaczenie płci swojej w społeczeństwie. Pełniejszą byłaby ta praca, gdyby autorka, scharakteryzowawszy ten rodzaj poezji Musseta, postawiła go w łączności z całym ogółem spóczesnej literatury francuzkiej i wpływ jej na kierunki społeczno-literackie wskazała.

*Kazimierz Kaszewski.*

*Artur Grottger.* Szkic biograficzny, przez Klemensa Kantackiego. Lwów. Nakładem „Przewodnika Naukowego i Literackiego.” 1879 r. (w 8-ce, str. 150).

Dwanaście lat mija, jak ten genialny artysta rysownik umarł, w kwiecie życia, z niemałą szkodą dla sztuki polskiej, bo był jedynym rysownikiem, który potęgą samego ołówka potrafił zastąpić obrazy olejne i zapomnieć o kolorycie. Urodzony d. 11 listopada 1837 roku. Ojciec jego Jan Józef Grottger i matka Krystyna z domu Blahao de Chodietów, z rodu Węgierka. Mały Artur od najmłodszych lat, pokazywał szczególne upodobanie do rysunku. Ojciec sam doskonały rysownik, podniecał umiejętnie ten zapal.

Autor rozpoczyna szkic swój zajmującym wstępem.

„Było to we Lwowie 1851 r. d. 16 października, około drugiej godziny z południa. Od Grodeckiego ku rynkowi ciągnął się świetny orszak dostojnych gości w towarzystwie władz, dygnitarzy i różnych matadorów miejscowych, a dalej roiła się różnobarwna rzesza ludu. Młody cesarz Franciszek Józef, bo na jego to przyjęcie wylały się te tłumy, dosiadłszy konia, przy koszarach Ferdynanda, zdążył do samego miasta, witany radosnymi okrzykami ludności, chciwój zawsze okazałych i uroczystych widoków.

„Mieszkańcy ulic, któremi postępowała ta ogromna kalwakata, zaległszy okna, wygodnie i bezpiecznie przypatrywali się pochodowi, pojąc wzrok obrazem, jaki się rzadko roztacza w prowincjonalnym mieście. Ale gdy tak wszyscy wyteżają ciekawe oko, dla odniesienia przelotnych wrażeń, w jednym z okien hotelu Drezner'a, na rogu ulicy Akademickiej i Maryackiego Placu, w pobliżu bramy tryumfalnej, ktoś, dla innego ważniejszego celu, stara się zatrzymać w pamięci główne zarysy cesarskiego otoczenia. Jestto młodziuchny, czternastoletni chłopiec, szczupły i wątyły, niskiego wzrostu, z którego drobnej twarzyczki biją rozum i żywiość. Z gorączkowym pośpiechem, a przytém ze zręcznością i rozwagą, starszą nad lata, przenosi on sposobem szkicowym na papier to, co widzi, a szybkość i pewność jego ołówka, zwłaszcza, gdy rzucając kontury koni, w kilku pobieżnych rysach nadaje im pewne charakterystyczne cechy, wskazuje wyjątkowe uzdolnienie w młodym rysowniku, pozwala się spodziewać, że dziecko to kiedyś wyrośnie na mistrza.”

Tym rysownikiem był Artur Grottger, który następnie z tego szkicu wykonał akwarelę, przedstawiającą wjazd Franciszka-Józefa do Lwowa, pełną ruchu i życia, z uderzającym podobieństwem tak samego cesarza, jak i znakomitszych osób, przez jeden dzień, na półtora łokcia szerokości, na której roiły się setki figur konnych i pieszych.

Ten niezwykły pośpiech był obecnie koniecznym, wszystko bowiem zależało od tego, ażeby praca ta, przedstawiona cesarzowi, wyjednała młodziutkiemu artyście stypendyum, na dalsze kształcenie się w sztuce.

Gdy Franciszek-Józef przybył do domu hr. Zabielskiego, akwarela pomieniona, obok widoków Galicyi z różnych okolic tego kraju, już wisiła na ścianie. Cesarz, przyjemnie zdziwiony tym obrazem, zapragnął poznać artystę. Jakoż, przedstawiony monarsze, z prywatnej jego szkatuły otrzymał pożądane stypendyum, z poleceniem, ażeby się najprzód udał do Szkoły malarstwa w Krakowie, następnie zaś do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu.

Autor *Szkicu* ze szczególnym zamięłowaniem, śledzi dalszy kierunek artystyczny Grottgera, a posiłkując się jego listami i pamiętnikiem współkolegi Grabowskiego, maluje nam w niezwykle zajmującym sposobie, tak ówczesną Szkołę malarstwa w Krakowie, pod przewodnictwem Stattlera, jak i pobyt w niej genialnego malarza. Tu pierw-

szymi jego nauczycielami, którym wiele zawdzięczał Grottger, był: Juliusz Kossak i zasłużony sztuce polskiej prof. Władysław Łuszczkiewicz. Ten odrazu poznał się na talencie młodzietkiego ucznia, wyróżnił go pochlebnie, okazywał mu życzliwość i wzbudził nawet między uczniami pewne uszanowanie, dla wiele rokującego ucznia, o którym już czytali w *Dzienniku Literackim*: „że bez żadnego prawie na wsi poprzedniego przysposobienia naukowego, robi ołówkiem i akwarelą nader trafne rysunki osób, koni, scen wiejskich, ruchów wojennych, wzbudzając podziw znawców i coraz liczniejszych, tak szczęśliwego talentu, wielbicieli.” Stypendyum nie wystarczało, brak dotkliwy uczuwał. Malował więc po nocach obrazy świętych, dla okolicznych chłopków, zarabiał w ten sposób na życie, przez dzień zaś natomiast pracował nad własnem ukształceniem. Ukończywszy Szkołę malarstwa w Krakowie, po stracie ojca przybył do Lwowa, gdzie znalazł chętnych nabywców na swoje prace. Opatrzność zesłała mu tu pomoc w czcigodnym pułkowniku Aleksandrze hr. Pappenheimie, z którym częste konno odbywał przejażdżki. Temu też, dziś już generałmajorowi, p. Kantecki pracę swoją przypisał, która nietylko wybornie odzwierciedla krótką pielgrzymkę artystycznego życia Grottgera, ale zarazem jest cennym materiałem do historii sztuki w Polsce. Co to za śliczne obrazki, gdy przedstawia nam autor życie młodych artystów w Szkole malarstwa w Krakowie. Jakie zajmujące studia nad rozwojem duszy, myśli i talentu naszego artysty. Z obfitego materiału, jaki zgromadził, umiejętną ręką dobiera szczegóły, malujące nam dokładnie drogę i polot tego geniuszu.

W Wiedniu rozpoczyna Grottger nowe życie, pełne trudów i trosk o potrzeby codzienne, bolesnych kłopotów i walk z niedostatkiem. Dużo malował i rysował w Wiedniu, w którym co miesiąc dwadzieścia dni przebywał o chłodzie i głodzie. *Dzienniczek*, jaki własnoręcznie artysta prowadził, a w nim spowiadał się szczerze, posłużył naszemu autorowi do wypełnienia wielu kart zajmujących. Hr. Pappenheim popłacił zaciągnięte długi przez Grottgera, aby mu ułatwić powrót do Krakowa. Nie przestał na tém szlachetny opiekun, zaopatrzył go nadto w fundusz, aby mógł pojechać do Monachium; w Wiedniu nie porzucił akwareli i wykonał jedną z najlepiej wykończonych: *Spacer na Kahlenberg*, mającą wysokości 28, a szerokości 39 centymetrów. Chudy Niemiec w cylindrze, na kasztanowatym koniu i jego żona w niebieskiej sukni i niebieskiej tunice, z parasolką w rękę, na siwej szkapie, jadą na Kahlenberg. Konie snąć bardzo zmęczone, ostatnich sił dobywają, ażeby się na szczyt dostać. Rosynauta Niemki poganiana chłopak. Przed tymi po drożynie, idzie kilka rodzin pieszo; po prawej stronie zpoza góry, wychyla się sam malarz z teką pod pachą, w cylindrze i laską na ramieniu. Niedaleko już widnieje historyczny kościółek, w którym się modlił król Jan III Sobieski.

Nieograniczając się na obrazach rodzajowych, próbował się Grottger już wtedy w historycznych kompozycjach, a za przewodnika

w tę trudną drogę obrał sobie Mickiewicza. Illustrował *Redutę Ordona*, później odważył się zaczerpnąć z *Konrada Wallenroda* motywów do dwu olejnych utworów, które na początku 1857 r. wystawił na wystawę Sztuk Pięknych do Krakowa. Na jednym z nich widzimy Krzyżaka na koniu, w białym płaszczu, na tle dzikiej okolicy i chmurnego nieba; koryto rzeki i krzyż na wzgórzu wskazują, że jestto wierna ilustracya początku sławnego poematu. Na drugim, Litwini konni i piesi z głębi lasu, przyglądają się Krzyżakom, przedzielonym od nich tylko korytem Niemna.

Przybywszy do Krakowa, przywiózł z sobą dwie nowe prace: *Pobudkę* i *Szkołę szlachecką*. Treść pierwszego olejnego obrazu następną: Pod cieniem wspaniałych drzew widać obozujący oddział jazdy staropolskiej; z pierwszym promieniem wschodzącego słońca, trębacz na koniu daje sygnał pobudki. Jedni ze snu się zrywają, inni już przypasują zbroje, drudzy śpią jeszcze. *Szkoła szlachecka*, pierwszy akwarelowy cyklus Grottgera, złożony z czterech oddziałów, zyskał wówczas w Krakowie powszechne uznanie.

Niedługo, wróciwszy do Wiednia, wybrał się ztąd do Monachium, przekonany, że pobyt jego w tém nawskroś artystyczném mieście, zawiernie wpłynie na rozwój jego talentu. Polecony przez swego opiekuna, królewskiemu dworowi, przez starożytny dom bawarski hrabiów na Pappenheimie, miał przystęp do króla. a sama królowa nabyła od niego przesliczny szkic albumowy, niewielkich rozmiarów, wyobrażający artystę z Muzą, postępujących drogą stromą, wśród skał i cierni, wierny obraz własnego życia malarza.

W Monachium stanowczo wziął nowy kierunek jego talent. Zaimponował Grottgerowi na tamecznej wystawie, pełen poezyi utwór Schwinda p. t. *Bajka o siedmiu krukach*, wedle następnej ludowej legendy. Przed wiekami, nieznany artysta w przystępie gniewu przeklął własną żonę, niebaczniemi słowy: „Bogdajbyś kruki powiła.” W złej godzinie rzucona kłątwa nie pozostała bez skutku; nieszczęśliwa kobieta wydała na świat siedmiu synków, w postaci kruków. Zabobonni sąsiedzi, zdumieni i oburzeni tak szczególnym wypadkiem, rozstrzygnęli wątpliwość, ogłaszając ją za czarownicę. Pod grozą tego straszego oskarżenia, stawiona przed sądem, wtrąconą została do ciężkiego więzienia. W kaźni objawia się niewinnej matce anioł Boży, zapowiadając że siebie i synów wybawi, jeżeli z nici uprzedzonych własną ręką, wyrobi płótno, a z tego płótna dla każdego syna uszyje koszulkę, przez cały zaś czas, w którym będzie zajęta tą pracą, nie wymówi do nikogo ani słowa. Niestrudzona matka dotrzymuje warunków, i już kończy siódmą z kolei koszulkę, kiedy zapada wyrok, że jako winna czarów, ma zginąć na stosie. Ale w chwili, gdy skazaną mają ogarnąć płomienie, wpada na miejsce tracenia konno siedmiu ślicznych chłopców, z których najmłodszy o kruczych skrzydełkach dla tego, że nie stało już czasu na przysycie rękawków do jego koszulki, i oswabadzają ukochaną matkę od niechybnój a sromotnej śmierci.

Téjto bajeczce naszkicowanój krédką Schwinda w dziesięciu obrazkach, równie jak krédkowym kartonom Kaulbacha, przypisać należy że Grottger, zarzuciwszy prawie akwarelle i olejne malowania, oddał się niemal wyłącznie rysunkowi krédą. Pierwszym w tym rodzaju utworem jego był *cykl* p. n. *Trzy dni z życia polskiego szlachcica*.

Utwór ten składający się z trzech części rysowanych na tle architektoniczném, nosi napisy: *Wczoraj, dziś, jutro*. W pierwszym obrazku rycerz żegna się z kochanką, na *drugim* widzimy go w zgiełku bitwy rannego śmiertelnie, na *trzecim* ukazującego się kochance po śmierci z raną w piersi. Ostatni pomysł, jak wiadomo, powtórzył później w *Lituanii*.

Nasz artysta odżył w stolicy Bawaryi. Obrazki jego chętnie rozkupowano. Rok 1861 stanowi epokę w twórczości Grottgera: w tym roku bowiem dał nam go poznać jako wielkiego artystę i wielkiego poetę w utworach które wydał: jak *Dolina płaczu, Lituania* i inne poemata krédkowe, które porywały widzów. Przybył do Paryża, pracował ciągle, ale były to już ostatnie połyski dogorywającej lampy. Umarł ten wielki artysta d. 13 grudnia 1867 r. w kwiecie wieku, bo dopiero kończył rok 30 życia. Zwłoki Grottgera staraniem i kosztem młodéj jego narzeczonéj sprowadzono na ojczystą ziemię. Dnia 4 lipca 1868 r. odbyły się uroczyste egzekwie i pogrzebanie na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Nad grobem otoczonym tłumami ludu, uczcił pamięć zmarłego wymownemi słowy, najznakomitszy z żyjących poetów polskich Kornel Ujejski.

Utwory jakie pozostawił, unieśmiertelniają imię Grottgera w dziejach sztuki polskéj, a wspomnienie, że młodo skończył pielgrzymkę ziemską rozbudza smutne uczucie, bacząc na tak wczesne przerwanie działalności rozwiniętego geniuszu.

Wdzięczni jesteśmy autorowi *Szkiecu biograficznego*, że nas bliżej zapoznał z artystą, co jak meteor świetny przeleciał tylko ponad naszą ziemią, wywołując zdziwienie i oklask powszechny. Cała monografia p. Kanteckiego wabi czytelnika, jako skreślona językiem czystym, stylem pięknym i jasnym.

R.

---

*Pamiętnik Instytutu Warszawskiego głuchoniemych i ociemniałych z r. szkolnego 1877/8*. Warszawa, w drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, 1878 r. (w 8-ce, str. 221, i LVI).

Rok dziesiąty już mija, jak rozpoczęło się to wydawnictwo, które obejmując szczegółowe sprawozdanie z rozwoju i funduszów swoich, dodaje oprócz tego i część naukową, w zakresie wychowawczym, tych nieszczęśliwych istot, pozbawionych słuchu, mowy, lub wzroku. Żywe

współczucie dla tego Zakładu, naszej społeczności objawia się w braniu licznego udziału, w czasie publicznych co rok egzaminów, i ofiar do stałych funduszów, ażeby podpierać tę dobroczynną a tak pożyteczną Instytucję, jedyną na nieszczęście w naszym kraju.

Wspominamy o tém z pewnym smutkiem, gdyż Zakład warszawski nie jest w stanie objąć wszystkich głuchoniemych i ślepotą dotkniętych, szczególniej po wsiach i małych miasteczkach, którzy przez to zostają na pastwę kalectwa nieszczęśliwego, w stanie idyotyzmu. Cyfry statystyczne już wykazały, że chcąc zapobiec tej niedoli społecznej, należy przynajmniej w każdym gubernialnym mieście, podobny mieć Zakład. Kierowników niemi, nie zabrakłoby pewnie, jak nie braknie u nas ludzi z poświęceniem, którzy za wskazówkami i praktyką w głównym Instytucie warszawskim, potrafiliby godnie odpowiedzieć położonemu w nich zaufaniu.

Lwów ma już swój Instytut głuchoniemych i korzysta nawet z dobrych rad Instytutu warszawskiego, jakich mu chętnie udzielają, tak dostojny a zasłużony dyrektor, jako też i profesorowie.

W Poznaniu takż Instytut otwarto w r. 1835, kiedy warszawski był już w pełnym rozwoju swój działalności. Monografią pomienionego Zakładu, mamy właśnie w tym *Pamiętniku*, o którym mówimy p. n.: *Historja poznańskiego Instytutu głuchoniemych. Przyczynek do nauki głuchoniemych w Wielkiem Księztwie Poznańskiem*. Przez Matuszewskiego, dyrektora Instytutu w Poznaniu (przekład z niemieckiego F. Szymańskiego). Że Instytut poznański ma już zdolnych profesorów, dowodzi rozprawa Marcelego Brzeskiego, nauczyciela tamecznego p. n.: *Kurs nauki głuchoniemych na sześć lat rozłożony*, która obejmuje jasny wykład, zaczynając od pierwszego domowego wychowania głuchoniemego, wskazuje mimiczną naukę poglądową, naukę wymawiania, z ust poznawania, pisanie i czytania, rozmowy z życia towarzyskiego, oraz różne zwroty mowy potocznej; rachunki, pisanie czyli kaligrafią i tak rok za rokiem wskazuje dalsze prowadzenie głuchoniemego: najtrudniejsze zadanie, pouczania religii, nie jest opuszczone. Tak przechodząc szczegółowo, dochodzi do ostatecznego wykształcenia głuchoniemego, które czyni go człowiekiem, nietylko mogącym się zrozumieć z ludźmi dobrze mówiacymi, ale mającego pojęcie Boga, nieśmiertelności duszy, nauki religii i moralności. Jakżeż to wielkie dobrodziejstwo dla istot, dotkniętych tak straszném kalectwem!

Dwie powyżjéj wzmiankowane rozprawy, stanowią część naukową *Pamiętnika*, dalej mamy: *Sprawozdanie z obrotu funduszu głuchoniemych i ociemniałych. Sprawozdanie z dochodów i rozchodów Instytutu warszawskiego. Wykaz legatów, poczynionych przez osoby prywatne, na korzyść tego Zakładu*. Następnie idzie *Kronika*, obejmująca uroczystości obchodzone i szczegóły bliżej obchodzące sam Instytut, jak wizyty, wydawnictwo książek, odbijanych w drukarni miejscowjéj. Wydawnictwo *Kalendarza* dla ociemniałych, drukiem wypukłym; pomieszczenie wychowaućów Instytutu w domu poaugustyańskim, przy

ulicy Piwniej od roku 1869, głównie dla ociemniałych. Czytamy w dalszym ciągu o ulepszeniach gospodarskich, a dalej wykaz legatów, poczynionych przez osoby prywatne na korzyść Instytutu warszawskiego. Zaczynają się od r. 1818 i wynoszą wogóle pokaźną sumę rs. 90,496 kop. 81 $\frac{1}{2}$ . Wdowi ten grosz napływa, chociaż drobnemi ofiarami. Pomienionym zasiłkom przychodzą jeszcze w pomoc warsztaty miejscowe i zarobek, pozyskany pracą samychże wychowañców. Wszystkie te dochody obracane są szczególnież na utrzymanie nadkompletniej liczby wychowañców, których w roku 1877/8 było 48. Słusznie też zarządzający naszym Instytutem R. R. St. Jan Papłoński, zakończy gorącą podzięką za wsparcia: „Aby Bóg sownie nagrodził hojność ofiarodawców.”

Zamyka ten *Pamiętnik*: *Sprawozdanie z części wychowawczo-naukowej za rok 1877/8*, obejmujące zarazem skład Instytutu, nauczycieli w oddziałach głuchoniemych i ociemniałych, służbę administracyjną, oraz listę wychowañców i wychowanic, z której widzimy, że w roku 1877/8 było głuchoniemych 204, ociemniałych 41, razem 245.

Po wykazaniu pomocy naukowych, następuje plan codziennych zatrudnień wychowañców płci obojęd; szczegółowy program wykładu nauk, sztuk i rzemiosł; porządek egzaminów w końcu roku szkolnego 1877/8. Zamyka całą treść *Pamiętnika* wykaz uczniów, którzy otrzymali nagrody, pochwały i patenta ze wszystkich klas i oddziałów.

Z przedstawionej tu treści widzimy, że *Pamiętnik* ten daje nam najdokładniejszy obraz stanu, postępu i rozwoju tego Instytutu, nad którym dobroczynną i pełną miłości pracą, czuwa troskliwie dostojny przewodnik.

K. WŁ. W.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

— *Styczeń 1879 r.* W sprawie „Szczerbca” Bolesławowego pisze J. I. Kraszewski do naszej redakcyi.

„Rysunek *Szczerbca* autentyczny, jest na obrazie Bacciarellego Bolesława Chrobrego: bo Bacciarelli mógł go widzieć. Jestto ważna wskazówka.” Pisał go d. 7 stycznia r. b. W dziesięć dni później nadesłał następny list do *Kuryera Warszawskiego*.

„W sprawie miecza, który był na wystawie paryzkiej w zbiorze Bazylewskiego, do wszystkich uwag nad nim czynionych (w *Kłosach* i *Bibliotece Warszawskiej, przyp. red.*), dodać należy tę jeszcze, że miecz *Szczerbce*m zwany, znajdujący się w skarbcu krakowskim, miał bez wątpienia podobną rękojęść i ornamentacyą u godła, ale nie idzie wcale zatém, aby p. Bazylewski *Szczerbiec* posiadał.

Rękojęść podobna z temi samemi godłami i napisami była wielokroć powtarzana w owój epoce, czego najlepszym dowodem żeśmy taką samą mieli w ręku tu w Dreźnie, którą, jeśli nas pamięć nie zawodzi, nabył nieboszczyk baron Rastawiecki.

Przytwierdzoną ona była do małych rozmiarów mieczyka.

Rękojęści takich z godłami czterech ewangielistów i napisem jednobrzmiącym znalazłoby się i więcej.

Wiemy teraz jak *Szczerbiec* wyglądał prawdopodobnie, ale gdzie on jest i co się z nim stało—będzie na długo tajemnicą.”

Drezno, dnia 17 stycznia 1879 r.

*J. I. Kraszewski.*

— Pomiedzy wielką liczbą kalendarzy, jakie wyszły na rok 1879, stoi na czele i odznacza się kalendarz Józefa Ungra tak częścią literacką, z niemałą liczbą pięknych drzeworytów, jako tóż i częścią informacyjną.

— Artyści malarze nasi bawiący w Rzymie, nie zapominają w swoich pracach o własnym kraju. Malarz Łaszczyński (jak się dowiadujemy z korespondencyi z Rzymu do *Gazety Warszawskiej*), kilka przygotował obrazów, treści narodowej. Małachowski i jego *Corda fidelium*. Pan kanclerz wielki koronny siedzi w krześle, i z największą



szem nateżeniem uwagi podaje swój sławny puhar owemu fluternemu Bernardynowi, który stał się już historyczną postacią. Hajduk nalewa węgryna do straszliwego roztruchana, a kucharz trzyma oburącz klęczącego i proszącego się niby Bernasia, aby nie umknął. Drugi hajduk odkorkowuje nową butelkę, a dworska kobieta załamuje ręce z rozpaczą, iż kwestarz narażony na tak srogie niebezpieczeństwo, czyli téż z podziwu, że mnisze gardło tyle starego napoju pochłonać może cudownie. Nigdy pamiętniki Kitowicza nic trafniejszego nie natchnęły.

Uderza widza następnie *Kyrie elejson*. W staropolskiej sypialni, przed łóżkiem, na którym świeci dziejowa konstellacya całość życia objaśniająca: obraz Najśw. Maryi Panny Częstochowskiej i karabela, klęczy wąsaty szlachcic z obnażonemi ramionami, szkaplerzem na piersiach i wyrazem skruszonej dumy i spóźnionego żalu za grzechy na obliczu, a klęczący również Bernardyn biczuje go ogórkami, odmawiając razem z pokutnikiem Psalmu Dawidowe i Litanią o Wszystkich Świętych. Jestto niby uplastyczniona stronica z niezrównanych przeszłowiecznych opowiadań, największego zdaniem mojem wskrzesiciela XVIII wieku i mistrza, nie wyjmując nawet Soplicy, Zygmunta Kackowskiego.

Tegoż rodzaju jest obraz historyczny, przepyszna *Scena z dziejów konfederacyi barskiej*. W przytomności Ogińskiego wojewody witebskiego, siedzącego przy stoliku, konfederat goli głowę kozakowi, aby przeczytać depezę napisaną na jego skórze pod włosiem. Między wojewodą a gołącym konfederatem stoi ksiądz karmelita, przypominający nieśmiertelnego Marka. W głębi obrazu Bohusz sekretarz generalicyi ostrożnie drzwi zamyka.

— Polacy w Ameryce postanowili obchodzić jubileusz J. I. Kraszewskiego w dniu 19 marca r. b., jako w dniu imienia jubilata. Rozesłano odezwy o składki do wszystkich towarzystw i kółek polskich w całej Ameryce. Fundusz ztąd zebrany ma posłużyć w połowie na zakupienie dzieła jubileuszowego wychodzącego w Warszawie i we Lwowie w kilkudziesięciu egzemplarzach, a w drugiej połowie na zrobienie upominku dla jubilata z napisem: „Od Polaków z Ameryki.”

— Pisma nasze doniosły już o zamierzonej publikacyi pięknej *Albumu Wita Stwosza* genialnego rzeźbiarza polskiego, którego imię wydobył z pleśni wiekowej, archeolog Ambroży Grabowski. W dziele wydanem w Jenie u Hermana Cutenoble'a, p. t. *Geschichte der bildenden Kunst*, mówiąc o słynnym naszym rzeźbiarzu nazywa go już nie Niemcem, ale „utalentowanym artystą krakowskim” (*der talentvoller Krakauer künstler*). Profesor Bergau wydał w Norymberdze pierwszy zeszyt fotograficznego albumu dzieł Wita Stwosza.

— Ś. p. Henryka z Ankwiczów, z pierwszego małżeństwa Sołtykowska, z drugiego Kuczkowska, zmarła w d. 7 stycznia w Krasnem pod Rzeszowem w Galicyi. Ś. p. Heuryka Ankwiczówna, podczas pobytu

w Rzymie w r. 1829, niepospolity wpływ wywarła na Mickiewicza, jak o tém obszernie pisze Odyniec w swych *Listach z Podróży*, oraz bezimienna autorka *Pamiętników Evuni* i jak o tém najlepiej świadczą nieliczne z owej doby własne utwory Mickiewicza. Dla niejto w albumie napisał poeta prześliczny wiersz o *cicerone* mającym „dziecinne lice, lecz starą mądrość nad czołem,” i może wiedzącym „przyszłość pielgrzyma.” Dla niej przetłómaczył z Goethego *Wezwanie do Neapolu*, które w *Listach* Odyńca znajdujemy w pierwotnym kształcie, znacznie różnym od późniejszej postaci nadanej w druku przez poetę. Ona dała temat do sceny „w domu wiejskim pod Lwowem” w *Dziadach*, i występuje tam jako „młoda panienska” Ewa. Ona wreszcie znów jako Ewa, ale już nieszczęśliwa ukochana Jacka Soplicy, występuje w *Panu Tadeuszu*, a w bolesnych wyznaniach Jacka odbiło się podobno nawet nieco rzeczywistości z pobytu w Rzymie. Ś. p. Henryka długo po poznaniu się korespondowała z Mickiewiczem i z Zygmuntem Krasińskim. Została jedną tylko córkę wydaną za hr. Bertelli-Allgarottego.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie; w miejsce zmarłego Lucyana Siemieńskiego przewodniczącego komisji historii, historii sztuki, zajął prof. Władysław Łuszczkiewicz, dobry znawca w tej gałęzi nauki.

— Muzeum techniczno - przemysłowe w Krakowie otrzymało w darze od prof. Władysława Klugera z Limy, rodem krakowiana, okazy śpilek, pierścionków i łyżek metalowych, wyrabianych obecnie przez Indyan z Boliwii, oraz część narodowego kroju tamtejszych mieszkańców, oraz lalki ozdobne z Puno w Peruwii, przez Indyan wyrabiane, a przedstawiające dzisiejsze ich stroje.

— Z funduszków kks. Czartoryskich w Krakowie, nagrody za prace z historii kościoła w Polsce i historii polskiej otrzymali: P. Jan Leniek nagrodę 200 złr. za pracę: *Zywoty biskupów krakowskich XVIII wieku*. P. M. Mikrot nagrodę 100 złr. za pracę: *Zestawienie chronologiczne i krytyczne objaśnienie dat kalendarza kapituły krakowskiej*; nakoniec p. Wiktor Czajeński nagrodę 50 złr. za pracę: *Dwukrotne poselstwo kardynała Franciszka Commendoniego do Polski*.

— Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich we Lwowie, ogłosił sprawozdanie z czynności swoich za rok 1878. Okazuje się z niego, że uratowana w r. 1854 część archiwów Mniszczów, jest już zupełnie uporządkowana i obejmuje około stu tomów. Zakład zakupił liczne materiały piśmienne do dziejów ojezystych, i kazał sporządzać kopie cenniejszych pomników, oraz przystąpił do druku pamiętnik Zbigniewa Oleśnickiego. Sporządzono kartki katalogowe do manuskryptów, uporządkowano dział mapp i atlasów, i prowadzono dalej pracę nad przedmiotowym katalogiem manuskryptów. Dla pomnożenia sił pracujących w Zakładzie, oraz dla spełnienia szlachetnej myśli fundatora, utworzono i obsadzono dwa nowe stypendya, szóste i siódme z kolei. Inwentarz

biblioteki obejmuje dzieł 72,285 pojedynczych, 4,692 duplikatów, 21,831 rycin, 665 obrazów, 2577 rękopismów, 2667 autografów i t. d. Z pracowni naukowej korzystało 1,520 czytelników, którym wydano w ciągu roku 710 rękopismów, 4,782 dzieł w 10,060 tomach, czyli o 1,658 dzieł a 3,284 tomów więcej niż w roku zeszłym. W czytelni było czytających 8,710 (najwięcej w styczniu 2,627, a najmniej w czerwcu 333), średnio dziennie 51 osób, o 13 więcej niż w roku poprzednim. Czysty majątek Zakładu wynosił z końcem roku administracyjnego w papierach wartościowych 149,835 złr., a w majątku nieruchomym, zapisach, zbiorach i w gotówce 487,131 złr. Do sprawozdania dołączono odczytaną na ostatniem posiedzeniu rozprawę d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego, dyrektora Zakładu: *O Zbigniewie Oleśnickim wojewodzie sandomirskim.*

— Dnia 20 stycznia r. b. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, w wydziale historycznym odbyło posiedzenie, na którém, wysadzona poprzednio komisya zdała sprawę, z rozprawy dr. K. Szulca: *Wyjaśnienie mitycznej historii Polskiej i mitologii Słowiańskiej.* W końcu ks. kanonik Korytkowski odczytał swą pracę pn. *Żywot Arcybiskupa Jana Łaskiego.* Tom trzeci *Kodeksu Wielkopolskiego* już jest na ukończeniu. W Gnieźnie rozpoczął się druk *Libri Beneficiorum* Arcyb. Łaskiego. Obszerne przypiski które daje ks. kanonik Korytkowski podwoją wartość tego dzieła.

— Hr. Aleksander Orłowski z Jarmoliniec, na Podolu galicyjskiém, nabył po Ojcu Theinerze, bibliotekarzu watykańskim, nieocenione rękopisma odnoszące się do historii polskiej. Są to jedyne kopie dokumentów z tajnego archiwum watykańskiego, niewydane w dziele: *Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae*, obejmujące korespondencye dziewiętnastu papieży z królami i Rzeczpospolitą.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu ogłasza następujący konkurs:

„Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnéj Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.”

W rozwiązaniu tego zadania pożądanym jest szczególny wzgląd na: a) związek etnograficzny między pomienionymi plemionami słowiańskimi a ludnością Polski Piastowéj; b) stan kultury tychże plemion w owéj epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnéj w ogóle; c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególném uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniéj ostateczną zagładę rozmaitych plemion; d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten, oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1,500 marek nagrody.

Jeśliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania, otrzyma 900 marek nagrody.

Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem, albo też rozdziela się między rozprawy, przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, zarząd, jeśli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa; manuskrypt przeto musi pozostać w rękach zarządu.

Każdy rękopism opatrzone być winien dewizą lub jakim innym znakiem a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1 października 1879 roku pod adresem: Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, Młyńska ulica, 35.

Wszystkie pisma nasze upraszamy o łaskawe powtórzenie powyższego ogłoszenia.

Poznań, w czerwcu 1877 r.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.

— Konkurs dramatyczny z zapisu ś. p. Norberta Bredkrajca w Poznaniu. Z funduszu przeznaczanego na konkurs dramatyczny poznański, rozstrzygnięty w czerwcu 1877 roku, pozostało 900 marek, ponieważ przyznano jedną tylko pieniężną i to najniższą nagrodę. Z tego powodu komisya konkursowa wynurzyła życzenie, aby sumę tę przeznaczono na nowy konkurs, którego przedmiotem byłaby komedia obyczajowa o dążności moralnej, wytykająca śmieszności lub wady obecnych czasów.

W myśl tego polecenia ogłaszamy konkurs na komedię wierszem lub prozą, odpowiadającą powyższemu życzeniu, najmnj w 3 aktach, zdolną cały wieczór wypełnić.

Komedia taka, uznana bezwzględnie dobrą, otrzyma pełną nagrodę to jest 900 marek.

W braku bezwzględnie dobrego utworu, komisya konkursowa podzieli powyższą sumę między inne sztuki, jeżeli te w przeważnej mierze odpowiadać będą wyluszczonej warunkom, to jest między najlepsze i wedle ich wartości. W żadnym razie nagroda nie będzie niższą od 800 marek.

Sztukom kwalifikującym się do pieniężnej nagrody, ta ostatecznie przyznana nie będzie, aż dopiero po przedstawieniu w teatrze poznańskim, to jest skoro się komisya przekona, że sztuka równie dobrze

wydaje się na scenie, jak przy czytaniu, że pozyskała przychylny sąd znawców.

Sztuki, nie uwzględniające żądanych warunków, scenicznym nie odpowiadające wymaganiom i zaletom, ale odznaczające się trafnym pomysłem lub charakterystyką osób, lub wzorowym stylem i udatnem opracowaniem, otrzymają pochwałę.

Tłómaczone z obcych języków, albo już grane lub drukowane, albo takie co się już ubiegały o nagrodę gdziekolwiekindziej, nie będą przyjętymi.

Komisją konkursową składać będą pp.: dr. Rymarkiewicz, Stanisław Motty, Józef Kościelski, Władysław Bentkowski, Marcei Motty, A. hr. Softan, B. Studniarski, dr. Cybichowski, J. K. Żupański, Stanisław Koźmian, dr. W. Łebski, Hieronim Feldmanowski.

W miarę ilości nadesłanych utworów, powyższa komisya będzie upoważnioną do przybrania sobie nowych członków, a według liczby członków oznaczy komplet konieczny do prawomocnych uchwał. Utwór uwieńczony pieniężną nagrodą, autor zezwoli oprócz pierwszej próby, trzy razy odegrać miejscowemu teatrowi bez żądania honorarium. Zresztą zostanie jego praca tak co do ogłoszenia drukiem, jak co do oddania na inną scenę zupełną jego własnością.

Sztuki winny być nadsyłane franko przed 1 października 1879 r. do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, 25 ulica Młyńska.

Przesyłkom winien towarzyszyć list zapieczętowany, zawierający adres i nazwisko autora, a opatrzony tą samą dewizą co rękopis. Żadna sztuka z nadesłanych nie może być wycofaną przed rozstrzygnięciem konkursu. Żadna też autorowi zwróconą nie będzie, chyba że się sam po nią osobiście, lub przez upoważnioną osobę zgłosi w przeciągu trzech miesięcy. Inaczej będzie zniszczoną, lub jeśli ma jaką wartość, oddaną zbiorom teatru poznańskiego. W każdym razie listy zapieczętowane spalonymi wprzód zostaną.

Wszystkie pisma nasze, mianowicie literaturze poświęcone, upraszamy o łaskawe powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

Poznań, w grudniu 1877 r.

Zarząd Towarzystwa Poznańskiego Przyjaciół Nauk.

— W Lipsku wyszło z druku tłómaczenie niemieckie powieści J. Korzeniowskiego: *Kollokacya*, przekład ten, noszący tytuł *Unsere Schlacht*, dokonany został przez p. Filipa Loebenstein'a.

— Akademia Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu ogłosiła szereg konkursów otwartych dla wszystkich pisarzy świata. W szeregu tych konkursów sekcya ekonomii, finansów i statystyki, zaprojektowała a akademia przyjęła następujący temat: „Życie, prace i dzieła Ludwika Wołowskiego. Wykazać jego oryginalność i zasługi na polu prawa i ekonomii politycznej.“ Wołowski, jak wiadomo, był Warszawianinem, synem znakomitego adwokata i posła na sejm z Warszawy.

Temat więc powyższy zapewne nie będzie obojętny dla uczonych ziomków Ludwika Wołowskiego. Autor najlepszej rozprawy nadesłanej do Akademii Nauk Mor. i Pol. w Paryżu, otrzyma trzy tysiące franków nagrody. Rękopisma mają być składane po dzień 31 grudnia 1879 r., w kancelaryi Instytutu Francuzkiego. Prace konkursowe mają być pisane w języku francuzkim lub łacińskim. Należy je posyłać do Paryża franco i zbroszurowane. Nadsyłanych rękopismów akademii nie zwraca.

— Herbert A. Giles: *Zarysy chińskie (the Chinese Sketches)*, przez urzędnika angielskiego konsulatu w Chinach.

Niesłychanie pouczająca książka. Autor spędził w Chinach lat ośm, a że stosunki, przez tyloletni pobyt wyrobione, zjednały mu wstęp do przeróżnych warstw społeczności chińskiej, przeto zebrał mnóstwo mało dotąd znanych lub wcale nieznanych szczegółów, dotyczących domowego i publicznego bytu. Czytelnik nie spotka się tu wprawdzie z ogólnymi poglądami na typy, o co nam właśnie najmniej idzie w podobnego rodzaju przedmiotach, ale znajdzie plastyczny obraz żywota na wszystkich szczeblach od kolébki, wychowania, małżeństwa, aż do trumny i od urzędów wychowawczych, medycyny, religii, etykiety, aż do toalety stołu Jego Niebieskiej Mości. Szczególniej zajmującemi są ustępy, dotyczące literatury peryodycznej, salonowości chińskiej i religii, z wybornym odmalowaniem Dyogenesa, owiej społeczności kapłana buddyjskiego.

— Adolf Ebeling: *Obrazy Kairu (Bilder aus Kairo)*. Stuttgart, 1878 r., żywym pędzlem i pouczająco dokonane opisy kraju Piramid z uwzględnieniem obecnego stanu Egiptu.

— Otto Schneider: *Od Algeru do Oranu i Tlemcenu* (Drezno, 1878 r.). W dziele tém (obecnie wydana książka, stanowi tom III) mamy ciekawą charakterystykę Araba, dowodzącą, że Maurowie i Kabylowie, przyjmując formy kultury europejskiej, bynajmniej pierwotnego ducha nie pozbywają się i że tak mniemana assymilacya na długo jeszcze, zdaniem naszym, ku chlubię podbitych, zostanie jedynie poboznym zadaniem. Koran niezmiennie dotąd jest alfą i omegą dla Araba. Kultury dwóch szczepów: Semityckiego i Jafetyckiego, zdaniem Araba, z którym autor dotykał tej kwestyi: „są to dwa żywioły, przypominające wodę i oliwę, które się nigdy z sobą nie zleją.” Autor jednak marzy o możliwości odkrycia kiedyś *mydła* (na dotychczasową oliwę i wodę), któreby ich jednolitość sprowadzić mogło, a tym sposobem „rzucić most ku ostatecznemu zbrataniu wszystkich ludzi.”

— Bastian A.; *Kraje kultury w starożytniej Ameryce (die Kulturländer des alten America)*, Berlin, 1878 r.). W obszerniej pracy swojej (o przeszło 1600 stronicach), autor podaje ciekawe wyniki z badań swoich dziejowych i archeologicznych, dokonanych podczas podróży po Ameryce, które to badania przeznaczył dla Muzeum berliń-

skiego. Pierwsze dwie części dzieła, poświęcone są badaniom kultury Inkasów; dalej jest mowa pierwotnej ludności staro-amerykańskiej. Autor odszukuje zabytków mowy, religii, sztuki wymierającego plemienia.

— *Cypr, jego historia, jego obecne środki i przyszłość* p. R. Hamiltona (*Cyprus, its presens resources and futur prospects*), Londyn, 1878 r.

Autor w kwestyi ważności Cypru, utrzymuje się na stanowisku produkującym, pomiędzy przesadzonym pesymizmem, a egzaltowaniami rodzajami publiczności i rządu. Nie uważając Cypru za tajemniczą ziemię złotego runa, wykazuje przeciw szereg ponętnych widoków, jakie wyspa otworzyć może pod względem produktów, przy rozumnie pomyślanej i wytrwale prowadzonej organizacji pracy. Klimat wyspy, wbrew upowszechnionym mniemaniom, zdrowy; miejscowości malownicze, stanowisko geograficzne wyborne, tak we względach politycznych, jak i handlowych, bogactwo mineralne (bogate kopalnie węgla); są to fakta, budzące otuchę, zrazu zbyt wygórowaną, a następnie zbyt złamaną w skutek niedokładnych sprawozdań. Autor, pełniący długo obowiązki konsula, a następnie szefa cesarsko-ottomańskiego banku w Larnakka, głębiej i welostronniej, niż ktokolwiek inny wniknąć mógł w stosunki polityczne i ekonomiczne Cypru. Poświęcił przytém cały rozdział opisowi starożytności i dokonanych przez siebie wykopalisk, pomiędzy którymi są i napisy cypryjskimi i fenickimi głoskami.

— J. Finn: *Czasy zawiechrzeń; wspomnienia z Jerozolimy* (*Stirring Times, or Records from Jerusalem*). Są to wspomnienia z czasu, kiedy autor pełnił obowiązki konsula w Jerozolimie, a więc był w stanie zdobyć sobie jasny pogląd na stosunki w Syrii, pod panowaniem mużulmańskim i dlatego też słusznie nadaje działowi swego pisma tytuł: *Kroniki konsularnej od r. 1853—1856*. Za najpraktyczniejszy środek polepszenia bytu chrześcian w Syrii autor uważa: powiększenie liczby konsułów (naturalnie *angielskich*) w Syrii i rozszerzenie ich kompetencyi (!).

Czcicielom Shelley'a nadmieniamy o ważnym studyum, dotyczącym osoby i utworów wielkiego satelity Bajronizmu. Jestto dzieło Symonds'a J. A. p. n.: *Shelley* (Londyn, 1878 r.). Autor daje nam wyczerpujący obraz życia poety, jak wiadomo spójnie zrośnięty z duchem jego utworów. „Czyni Shelley'a, mówi Symonds, były tém samém, co i jego myśli, a jego poemata były niczém inném, jeno poruszeniami jego pojęć i dążności.” W opowiadaniu swoim, bo taki ma krój jego studyum, autor niejednokrotnie daje nam klucz do zrozumienia ciemniejszych miejsc w poezjach Shelley'a. Ciekawe to są rysy żywota, który, mówiąc słowy autora, był „trzydziestoletnim cudem.”

J. Pisani: *Państwa i Religie* (*Stati e Religioni*). Rzym, 1877 r.

Książka w najwyższym stopniu wyzywająca; nigdy ultramontanizm najdalej wysunięty nie doszedł tak daleko w swoim kierunku, jak Pisani w kierunku skrajnej lewicy. Z flegmą człowieka strefy północnej, w najzimniejszej dyalektyce, autor występuje z teoriami Feuerbacha, tém radykalniejszymi, że je przeprowadza na tle spraw państwowo-społecznych. Wszystko, co technicznie idealną świętością, uważa za wymysł subiektywności; wszystko, od Marsa do Neptuna, od Jowisza do gromowładcy i t. d. Byt i wielkość dzisiejszych Włoch, przypisuje właśnie wyzoleniu się ich od tradycji, zapominając o tém, że niczemu, jedno majestatowi tradycji (dziejowej, artystycznej, naukowej i religijnej), Włochy winne są to, że śluby wszystkich ludów świata, były i są za niemi. O takiej Italii, jakiej ideał wytwarza sobie autor, Dante nigdy zamarzyłby nie śmiał. Cavour, zdaniem autora, stawiając ową zasadę, „wolny kościół w wolnym państwie, albo był oszukanym, albo był oszukańcem!” Oczywiście i naturalną ilustracją do podobnych poglądów, muszą być nieodzownie umizgi do „wielkiej monarchii,” odrzucającej zasadę Cavoura, którą to monarchię (pruską), jako *dobrze urządzoną*, uważa za niezwykłą, „*chybaby* ewentualnie przez jakiegoś Napoleona, naturalnie I.” Według niego niezwykłościami są państwa protestanckie i t. d. Życzyłoby należało, aby ludzie pióra podnieśli rękawicę, rzucając tradycyjnym teorjom, właśnie z tej krainy, którą dotąd zaliczaliśmy i zaliczać będziemy do grupy, nie budującej swojego majestatu na podwalinach sofizmu: do grupy celtyckiej.

— Demetrius Bikelas: *Grecja wieków średnich i jej wpływ na kulturę europejską*. Przekład Wilhelma Wagnera, 1878 r. Jestto całość, ułożona na zasadzie pierwotnych prelekcji p. Bikelas'a, wypowiedzianych w Londynie w r. 1877, pod napisem: *O Bizantynach (peri Bizantinon)*. Autor prelekcji, p. Bikelas podjął się tu rehabilitować świat bizantyjski, z ciężącego nad nim tradycyjnemu piętna wsteczności, formalizmu i podstępności. Główny nacisk kładzie p. Bikelas na ofiarność państwa Bizantyjskiego, które zastąpiło Europę tak długo od powodzi barbarzyństwa wschodniego. W zawodzie kultury naukowej, Byzancyum, zdaniem autora, jakkolwiek nie twórcze samo przez się, przechowało przecież dla nas skarby wiedzy i sztuki starożytnej.

— W dziedzinie Kantyanizmu nader ważną nowością jest praca Benno Erdmanna: *Krytycyzm Kanta w pierwszym i drugim wydaniu jego krytyki Czystego Rozumu (Kant's Criticism)*. Badanie historyczne, Lipsk, 1878 r. Ciekawe zapytanie o stosunku (wewnętrzny) dwóch edycji *Krytyki* i zachodzących pomiędzy nimi różnicach, a raczej modyfikacjach, autor wyświeca w sposób nader zręczny. Według niego zmiany, jakie Kant wprowadził w wydaniu późniejszym, w małej tylko liczbie mają charakter zmian organicznych, któreby samego ducha systematu dotyczyć mogły. Większa zaś ich część, spowodowana ogólnym wrażeniem, jakie wywołała jego *Krytyka* w świecie myślicieli, jest raczej wyjaśnieniem, a rzadko kiedy ustępstwem. W ostatecznym



sformułowaniu ducha filozofii Kantowskiej, do czego otwierały się przypuszczalnie trzy drogi: albo tytuł bezwzględne idealizmu, albo formalnego racjonalizmu, albo krytycyzmu; autor zatrzymuje dla Kanta tytuł ostatni (krytycyzm) a to, jako protest przeciw dogmatyzmowi. Główną przyczyną jednostronności, albo niedokładności w dotychczasowych ocenach Kanta, autor upatruje w tém, że te oceny nie uwzględniały należycie Kantyanizmu w jego historycznym przebiegu, że się ograniczano jedynie na roztrząsaniu *rzeczowem* jego systemu, zapominając o *genezie*, o różnych okresach, w jakich się ten system budował. Po pracach C. Fiszera, który tak wydatnie poodróżniał historyczne warstwy w filozofii Kanta, będzie to podobno studyum najważniejsze, wyjąwszy chyba rzecz Szopenhauera, który, jak wiadomo, nigdy zapomnieć nie może Kantowi tych ustępstw, jakie zrobił w drugim wydaniu, pod naciskiem publicznej opinii myślicieli.

† Dnia 8 stycznia r. b., we Włoszech w Sinigalii zmarł *Józef Mianowski*, b. Rektor b. Szkoły głównej, mąż znakomitych zasług, zacny i szlachetny przewodnik młodzieży, dobry obywatel kraju. Wieść o jego zgonie wywołała powszechny smutek w naszej społeczności. Z inicjatywy uczniów b. Szkoły głównej i profesorów tej naukowej Instytucji, odprawioném zostało nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego w kościele Św. Krzyża w naszym mieście. Świątynię Pańską napełniły tłumy wielbicieli zgasłego męża. Na wyniosłym katafalku ustawiono trumnę, na nią złożono wieniec laurowy z napisem na białych wstęgach: „B. Rektorowi ś. p. Józefowi Mianowskiemu, uczniowie i koledzy.“ Skromna ozdoba, ale jakże wymowna i zaszczytna dla zmarłego! Katafalk otaczały egzotyczne rośliny, wśród jarzącego światła. Mszę wielką odprawiał ks. kanonik Sotkiewicz administrator archidiecezyi Warszawskiej w asystencyi kleru. Z ambony wymownie przemówił ks. Chełmicki rektor kościoła Św. Ducha (po-paulińskiego), przypominając zasługi zgasłego męża, którego śmierć wywołała tyle szczerego a bolesnego żalu i trwałej żałoby w sercach naszych. Po wielu miastach naszego kraju urządzone nabożeństwa za duszę zmarłego, są *dowodem ogólnej czei i żałoby*.

— Dnia 14 stycznia r. b. zakończył życie *Jan Jasiński*, artysta i autor dramatyczny, oraz b. Dyrektor Teatrów Warszawskich.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.